

Marek Koszur

TVSiódemka

internetowy miesięcznik
niesformatowany

04/2025 (004) Kwiecień 2025
Szczecin i Świat (& Mars)
ISBN: 978-83-974443-3-1
cena: 25,00

Jaźń urzędnika
albo siła niemocy
wobec niemocy siły
Prawda o konkursie
na dyrektora Muzeum

Nierząd rozrządu
Prawdziwi urzędnicy
umarli...
Ze śmiechu

Temat miesiąca

Szczecińskie bramy... donikąd
80 lat nieratowania miasta
Raport
Małgorzaty Wrzosek

Za miłość!
„Lalka" niedoczytana.
W Teatrze Współczesnym
spektakl kompromitujący

Starym niemrom d... podcierać
Pokaż mi takie miejsca
w Polsce

Dwa wyroki śmierci...
Za odbudowę Szczecina...

Twarze miasta
Szczecinianie w wymiarze
światowym

Patrz i krzycz!
Nie odwracaj oczu!
To naprawdę jest
Szczecin!

26. 04. 1945 80 lat Szczecina

List pierwszy… stworzenia

Tekst i zdjęcia - ***Małgorzata Wrzosek***

Dzień dobry.
Pozwoli Pan, że się przedstawię…
Nazywam się W. – R.
To inicjały mojego początku i kresu.
Dwa znaki… ja jestem między nimi.
Od chwili, gdy słońce po raz pierwszy wzeszło we mnie…
Wtedy zaczęła się moja podróż, między literami, które zakreśliły wymiar mojej egzystencji. Tam jestem

Nie, nie pisałam pamiętnika. Żałuję!? Nie! Przeżycia, wspomnienia, refleksje są w mojej pamięci, na dowód wysyłam Panu te zdjęcia.

Oooo!

Ledwie je pokazałam, a Pan już mi je skradł. Niewłaściwe słowo? No, tak… rzeczywiście, pokazałam je Panu, ale czy to znaczy, że dałam?

Muszę przyznać, że w swoim liście pięknie uchwycił Pan słowem moje emocje. Jak zawsze na najwyższym poziomie. Prawdę mówiąc, nigdy ich od tej, uzewnętrznionej strony nie przeżywałam.

Moje rowerowe ucieczki…? Te o świcie? Proszę nie przyglądać mi się tak podejrzliwie. Nigdy nie odczułam ich trudu czy wysiłku, nigdy nie okryłam się lękiem, gdy burza lub mrok stawały wprost na mojej drodze. Bo zawsze droga wiła się przede mną tak, jak moje życie, po bezludnych równinach. Często, wzdłuż rzeki.

– Mój Boże, mój Boże, biedne dziecko!

To mama. Załamywała ręce na mój widok, na te, swobodnie płynące emocje, otulone wiosennym wiatrem, ogrzane letnim słońcem, dotknięte mroźnym powiewem późnej jesieni…

Ale ja zawsze wracałam silna. Można odpoczywać jadąc kilkaset i więcej kilometrów…

Pyta Pan, co znaczy „zapętlać marzenia”? Wiążę nimi wizję kolejnej wyprawy, gdy ta obecna dobiega końca. Żeby mi nie umknęła, a z drugiej strony, aby przypominała mi, że mam nowy cel. Najbardziej ekscytuje mnie to, co jest jeszcze przede mną. Byle nie za daleko! Nigdy nie zapominam, że ważne jest „dziś”.

Zaskoczyłam Pana? To dobrze. Taki był mój cel.

Muszę jechać!



Zamiast ~~wstępu~~ / wstydu

- Szok! Okropieństwo! To... obrzydliwe!

- Eh... Można mocniej, bardzo proszę, śmiało! Widziałem gorsze obrazki. Mogę pdopowiedzieć kilka adresów. W samym centrum!

Ale, zastanówmy się… Co Państwa tak wzburzyło? Ta okładka to naprawdę jest … Szczecin. Zdjęcie zostało wykonane kilka dni temu, w kwietniu 2025 roku. W kamienicy przy jednej z najbardziej rozpoznawalnych ulic naszego miasta. Każdego dnia przed drzwiami tego budynku, w którym mieszka chyba dziewięć rodzin, przechodzą setki, tysiące osób. Przejeżdża o wiele więcej pojazdów. W okolicznych firmach, biurach, sklepach, punktach usługowych załatwiane są najróżniejsze sprawy.

To serce miasta!

Nie można wykluczyć, że za ścianą tej ubikacji ktoś właśnie się wzrusza, inny odpoczywa, kolejny pisze wiersz, następny wyznaje miłość albo - żegna się z życiem.

Niestety, nie mamy fotografii tej kamienicy z 1945 roku. Może wszystko wyglądało tu tak jak dziś? A może nie?

Sfotografowaliśmy wiele takich szczecińskich intymności. Te ujęcia są równie naturalne jak fotografie krokusów, podświetlonych kolorami mostów albo lampionowej filharmonii. Nie wspomnę o najsprytniej nazwanym obiekcie, który tyle służy morzu co nauce, czyli niczemu.

Przez osiemdziesiąt lat podnosiliśmy nasze miasto z gruzów, budowaliśmy domy, które zupełnie nie pasują do natywnej architektury miasta. Wnętrza starych kamienic oczyszczaliśmy z ich niemieckości. A jakże często mieliśmy w nich do czynienia z okazami kunsztu i sztuki. Zniszczyliśmy rzemieślnicze, artystyczne, jubilerskie wręcz zdobnictwo mieszkań i części wspólnych domów Śródmieścia.

Po osiemdziesięciu latach to serce Szczecina, Śródmieście - jest bardziej jeszcze niż w 1945 roku poobijane, powyginane, udziwnione, odkształcone. Nie uczyniliśmy w Centrum ruchu kołowego płynnym, nie stworzyliśmy przejść bezkolizyjnych, najmniej wykorzystywane ścieżki rowerowe uzyskały status uprzywilejownych szlaków, na trasach wjazdowych i wylotowych stoimy w coraz większych korkach. Nowe obwodnice nie rozwiążą problemu. One na chwilę odsuną punkt krytyczny. Dlaczego tak się dzieje?

Bo nikt nie ma wizji miasta i determinacji, by tę wizję wreszcie, konsekwentnie urzeczywistnić.

W tym numerze miesięcznika TVSiódemka znajdą Państwo urodzinowy album ze ścisłego centrum miasta. Takie ono **też** jest. Od wielu, wielu lat. I długo jeszcze takim pozostanie. Zgroza!

Ta demolka jest dziełem chuliganów? Nie! A kogo? Dobre pytanie, prawda?

Pozdrowienia z okazji osiemdziesiątej rocznicy polskiego Szczecina!
Redakcja





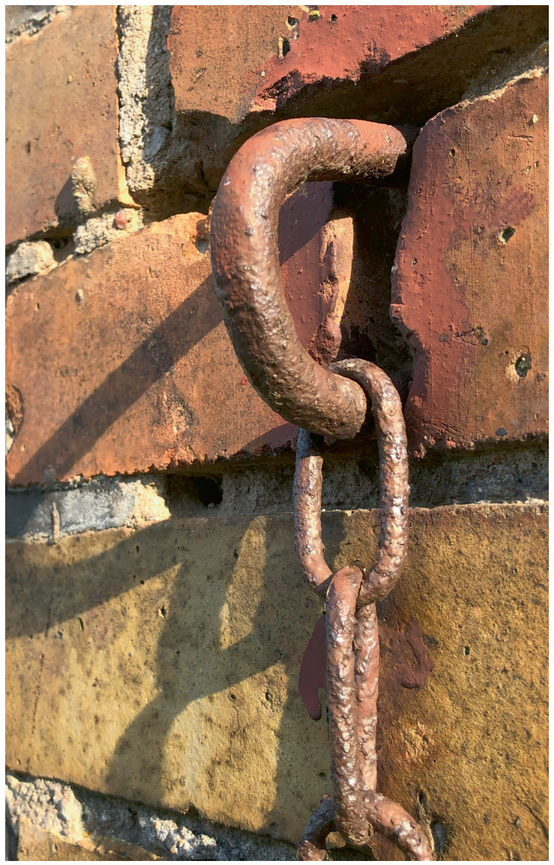

Czy ja „mam problem”? Mam. I nie mam. Ale raczej mam. Chociaż często tłumaczę sam sobie: daj spokój, problemu nie ma.
W czym rzecz? W tym, że nawet z nazwaniem owego problemu mam… problem.

Jaźń urzędnika

albo siła niemocy wobec niemocy siły

W szkole lubiłem wypracowania poświęcone tworzeniu charakterystyki postaci. Chyba każdego czytelnika fascynuje sposób „kreowania” osobowości i charakterów bohaterów powieści. Często znajdujemy wśród nich przyjaciół na całe życie. W sposób mistrzowski dar kreacji opanowali m.in. Czechow, Gogol i Kafka.

Ot, choćby „Płaszcz” Gogola. Przykład zupełnie nieadekwatny do tematu felietonu, ale… ciekawy.

Akakij Akakijewicz Baszmaczkin (w innych tłumaczeniach: Akakiusz Akakiuszowicz Kamaszkin) „**żyje po to, by przepisywać dokumenty**”. Jedno zdanie – i o człowieku wiemy już wszystko.

Baszmaczkin to osobnik całkowicie uległy wobec zwierzchników, niezdolny do sprzeciwu. Kiedy kupuje nowy płaszcz, zyskuje chwilowe poczucie godności i tożsamości. Ale system szybko odbiera mu ten „awans” – płaszcz zostaje skradziony, a Akakij umiera.

Gogol sugeruje: **system zabija jednostkę, ale nie niweluje potrzeby sprawiedliwości społecznej.**

Niestety, pisarz nie nazywa systemu, w którym jego diagnoza ma zastosowanie. Bo jeśli jego twierdzenie odnosi się tylko do caratu, to – pan daruje, Artysto, u nas właśnie mamy demokrację.

Co prawda atrybuty zewnętrzne niby się zgadzają, bo i u nas urzędnik ma pieczątkę i podpis. Ma tytuł i rangę. Jest nieprzekraczalnym progiem w procedurze. Jeśli on się uprze – choćbyś drogi Nikołaju Wasiljewiczu pękł, nie przeskoczysz. U nas króluje sprawiedliwość społeczna, o! tę mamy na najwyższym poziomie! Jak to, po czyjej ona opowiada się stronie? No, wiadomo – po stronie urzędnika!

> Mikołaj Gogol traktuje "jaźń urzędnika" jako zdegradowaną i podporządkowaną, niemal ontologicznie pustą – **człowiek istnieje tylko w funkcji.**

Byłem urzędnikiem

Chyba lepiej niż półtora roku. W magistracie. Pierwsza myśl, jaką mi ktoś zasugerował, a legła ona u podstawy mojej urzędniczej jaźni była sugestia, abym auto stawiał na głównym parkingu, z możliwością częstego spoglądania na nie podczas pracy przy biurku.

Popukałem w czoło, ale… następnego dnia kwadrans wcześniej przyjechałem do pracy. Postawiłem auto w miejscu, gdzie było ledwie kilkanaście boksów. Ze sto razy w ciągu dnia spoglądałem przez okno. Auto stało i cieszyło mój wzrok. Wszyscy widzieli to auto. O, mówili, jest w pracy. Jego auto stoi na parkingu. Synergia, harmonia, zadowolenie i poczucie wyjątkowej równowagi urzędniczej kreowało moją osobowość, a w konsekwencji wypełniało jaźń głębokim przekonaniem, że jestem tu kimś ważnym. Jestem w biurze. Wiadomo, bo moje auto stoi na parkingu.

Nie inaczej było w ORiTV. Miejsce w parkingu podziemnym świadczyło o randze pracownika. A blaszak garażowy w latach 70. XX wieku na osiedlu? Ba! To dopiero było wyróżnienie.

Jak można to jeszcze spieprzyć, panowie?

Zatem jaźń rasowego urzędnika... Weźmy pod uwagę przykład pierwszy z brzegu - ot, sytuację tę z Muzeum Narodowym w Szczecinie. To już pół roku jak rzecz się „wykopyrtnęła” i końca impasu nie widać. A sprawy szły tak dobrze.

Jeszcze raz, od początku?

O tym, że dyrektor muzeum odejdzie na emeryturę wiedzieli wszyscy – włącznie z nim samym. Wiedzieli od chwili, gdy ten osiadł na dyrektorskim stanowisku. W styczniu 2024 rozmawiałem z Lechem Karwowskim.



- (…) – i tyle mi na temat sukcesji powiedział.

Procedura jest jasna - nowego dyrektora postanowiono wyłonić na drodze konkursu. Określa się warunki, jakim musi sprostać kandydat, wyznacza terminy składania aplikacji, rozpatruje się proponowane wizje instytucji, wybiera najlepszą, mianuje jej autora na najbliższą kadencję.

Banalne.

Ale nie u nas. Zasady zasadami, parafrazując Pawlaka, jednak wybór musi być po urzędniczej myśli. Jeszcze mi tu jakiego specjalistę lub człowieka kompetentnego wybiorą. Będę się z nim wykłócał, on będzie mi się stawiał. A to ja nie mam nic lepszego do roboty, tylko zajmować się uciszaniem pieniacza? Tylko dlatego, że on się na czymś zna?

Jesienią 2024 i dziś słyszałem pogląd: nie można ogłosić konkursu, zanim urzędujący dyrektor nie odejdzie na emeryturę. Ciemny naród kupował te słowa jak świeże bułeczki.

Sprawdziłem. Otóż nie ma takiego wymogu. Można było przenieść urzędującego dyrektora na dowolne stanowisko z zakresem obowiązków jak dotychczas. Można było terminy idealnie zgrać, aby dzień odejścia poprzedniego był pierwszym oficjalnym dniem nowego kierownika placówki.

> Hallo, Urząd Marszałkowski, hallo Ziemia! Tak można było zrobić. Jeśli w tym jednym przypadku obowiązywały inne, wybitnie indywidualne przepisy, to można je było zmienić.

Podstawa prawna
Kwestie te reguluje przede wszystkim ustawa z dnia 25 października 1991 r. o organizowaniu i prowadzeniu działalności kulturalnej (Dz.U. 2020 poz. 194 ze zm.)
Organizator może ogłosić konkurs na dyrektora instytucji:
- po zakończeniu kadencji,
- wcześniej – jeśli np. zamierza rozwiązać umowę z obecnym dyrektorem (z ważnych powodów),
- również wtedy, gdy kończy się kadencja i chce dać innym kandydatom możliwość aplikowania.

Obowiązek przeprowadzenia konkursu istnieje tylko w niektórych sytuacjach:
zgodnie z rozporządzeniem Ministra Kultury z 2012 r. ws. trybu ogłaszania konkursu na kandydata na stanowisko dyrektora instytucji kultury (Dz.U. 2012 poz. 718), konkurs bywa wymagany np. w instytucjach współprowadzonych przez MKiDN (tak jest w Szczecinie), w innych przypadkach zależy to od decyzji organizatora, chyba że statut instytucji stanowi inaczej.
Przykład: Jeśli dyrektor muzeum ma kadencję do sierpnia 2025 roku, a nie osiągnął wieku emerytalnego, organizator może już wiosną 2025 r. ogłosić konkurs, by wyłonić następcę z odpowiednim wyprzedzeniem.

Ale nie w Szczecinie

Kilka dni po ogłoszeniu konkursu, po niezwykle krytycznej ocenie opisanych w nim warunków, jakie musi spełnić kandydat na dyrektora Muzeum Narodowego – konkurs odwołano!

> Z miasta, ze środowiska poszedł sygnał – nie ma zgody na byle kogo, tylko dlatego, że ten odpowiada organowi. Ha, ha, ha… Nie ma zgody! Jakby od tej zgody cokolwiek zależało!

Organ w zaiste operetkowym stylu powiedział: nic się nie stało, warunki konkursu dostosujemy do wymogów ministerialnych, a i tak wybierzemy „najlepszego” kandydata.

Kogo? Miejskie plotki na ten temat zaczynały się okrzykiem: „O rany boskie, ten?”. Ale to tylko plotki.

Kto pyta, ten wśród odpowiedzi przebiera

Cudowne media szczecińskie, które są bamboszami pana marszałka, owszem – napisały o odwołaniu konkursu. Ale o to, dlaczego konkurs odwołano – nikt nie zapytał.

Nad miastem krążyły wtedy małe upiorki, mówiące o dumie upokorzonej, o gabinetowych pyskówkach na szczeblu regionalno-ministerialnym, o dyplomacji i łowach, o sporach dalece przewyższających pana Tadeuszowe rozważania o chybkości chartów: Kusego i Sokoła.

Na antenie Radia Szczecin, pan Olgierd Geblewicz:

„Kapituła rekomenduje, natomiast ostatecznie kandydaturę musi zatwierdzić Zarząd Województwa, bo to my ponosimy pełną odpowiedzialność za tę instytucję.”

Dalej pan marszałek mówił o tym, że ta instytucja „wymaga szczególnej troski”. Te zagadkowe słowa wybrzmiały bez rozwinięcia. Typowa „mowa-trawa”.

Zatem sprawa jasna: my ponosimy odpowiedzialność, więc, *per silentio*, decyzja kto i jak zostanie szefem Muzeum Narodowego należy do nas. A jaka jest liczba pojedyncza od „nas”?

Postanowiłem zapytać u źródła.

21 stycznia 2025 otrzymałem odpowiedź, w którym Urząd Marszałkowski potwierdza, że:

„…dokonał uzgodnień w przedmiotowym zakresie z Ministerstwem Kultury i Dziedzictwa Narodowego. To Zarząd Województwa Zachodniopomorskiego 25 listopada 2024 r. podjął uchwałę nr 1949/24 w sprawie ogłoszenia konkursu na kandydata na stanowisko Dyrektora Muzeum Narodowego w Szczecinie.
Dokumenty konkursowe zostały zaakceptowane przez MKiDN pismem z dnia 20 listopada 2024 r.
W piśmie z 13 grudnia 2024 roku Minister Kultury i Dziedzictwa Narodowego **wskazano na omyłkowe zamieszczenie nieprawidłowego załącznika z kwalifikacjami dla kandydatów,** dlatego Zarząd Województwa zdecydował o unieważnieniu konkursu”.

Boski urząd. Zarząd zdecydował o unieważnieniu. A nie było tak, że otrzymał polecenie, aby konkurs odwołać, ponieważ przerobił uzgodnione dokumenty?

Nieprawidłowy załącznik

Zrekapitulujmy: ministerstwo zaakceptowało warunki i dokumentację, a trzy tygodnie później to samo ministerstwo natknęło się na omyłkowy załącznik w tej **zatwierdzanej i uzgodnionej** dokumentacji? Dziś ten załącznik jest niedostępny. Został przesunięty na strony BIP. Na stronie urzędu mamy więc tylko odwołanie konkursu, ale nie wiemy jakiego? Tylko, że na dyrektora. Czytelnik archeolog (sic!) znajdzie ślad przesuniętych dokumentów w sieci.

Pani minister... tańczy

Świetny film.

Zatem pani minister uzgodniła warunki konkursu, dokument i ogłoszenie podpisała i o sprawie zapomniała. Urząd Marszałkowski „zaklepany” komunikat opublikował. I wtedy rozległy się syreny alarmowe środowiska. Protesty dotarły do pani minister. Rzecznik pani minister w mailu do redakcji TVSiódemka napisał, że:

W związku z istotną różnicą w treści ogłoszenia o konkursie, a treścią uzgodnioną z Ministrem Kultury i Dziedzictwa Narodowego (na co Minister zwróciła uwagę w piśmie z dn. 13 grudnia 2024 r skierowanym do samorządu), Zarząd Województwa Zachodniopomorskiego podjął decyzję o unieważnieniu konkursu na kandydata na Dyrektora Muzeum Narodowego w Szczecinie. Marszałek Województwa Zachodniopomorskiego pismem z dn. 19 grudnia 2024 r. poinformował, że procedura konkursowa zostanie powtórzona, a treść ogłoszenia zostanie ponownie przesłana do Ministerstwa Kultury i Dziedzictwa Narodowego w celu uzgodnienia.

O liście wystosowanym przez naukowców i artystów, w tym także o wypowiedzi prorektora Akademii Sztuki w Szczecinie, pana Kamila

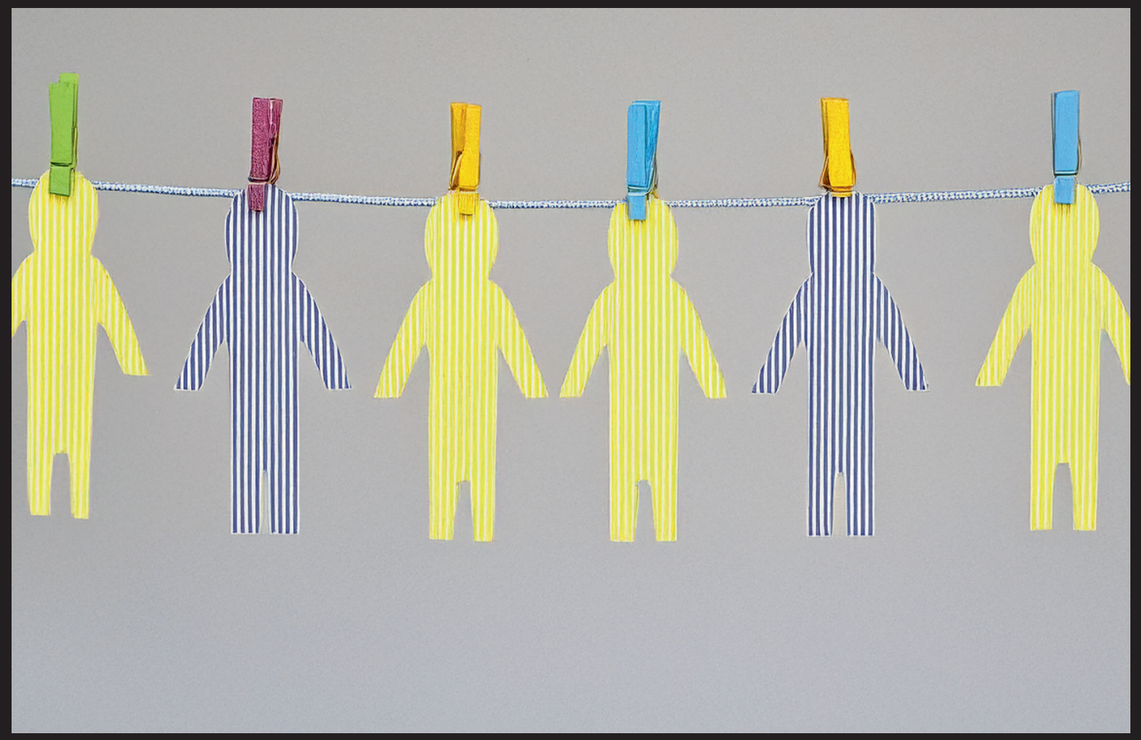

Kuskowskiego, popierających kandydaturę dotychczasowego zastępcy dyrektora muzeum – już w TVSiódemka mówiliśmy. Piękny, solidarnościowy akt, bardzo merytorycznie uzasadniony, ale nie po myśli Zarządu Regionu! Sześćdziesięciu niekwestionowanych fachowców zostało przepędzonych z marszałkowskiego lasu, jak czynił to był przed wielu laty niejaki gajowy Marucha w radiowym kabarecie „Rodzina Poszepczyńskich".

Zatem poświęćmy kilka akapitów innym, wybranych reakcjach, w większości wywołanych naszą, TVSiódemki aktywnością. Bo praktycznie poza wymienionymi sygnatariuszami listu - nikt w mieście nie poczuł się sam z siebie w obowiązku, aby zabrać głos w sprawie obsady kierownictwa muzeum.

Muzeum Narodowe w Warszawie – odcięło się od sprawy – nie nasza broszka!

Nie wiedziałem o tym, że poszczególne Muzea Narodowe to całkiem odrębne i niezależne od siebie instytucje. Ale zawodowa, profesjonalna solidarność - pytałem? Ta - nic nie znaczy.

Zapukałem do **Towarzystwa Przyjaciół Muzeum Narodowego w Szczecinie.** Jego sekretarz, pan Maciej Luszawski w mailu z lutego 2025 napisał:

> **6 listopada** ubiegłego roku zwróciliśmy się do Przewodniczących Rady Miasta i Sejmiku Województwa, a także do Prezydenta Szczecina i Zarządu Województwa wnosząc **o uwzględnianie** naszego Towarzystwa we wszelkich spotkaniach, obradach i konsultacjach dotyczących tej kwestii. (…) Dotychczas nie poinformowano nas o żadnym z nich, w którym moglibyśmy wziąć udział.

Jak widać – to gremium nie ma wśród władzy najmniejszego poważania. A wspomniane Towarzystwo tworzą ludzie, którzy **kupują dla muzeum eksponaty** o milionowej wartości! Towarzystwo udostępnia muzealnikom swoje własne zbiory. Ma istotny wpływ na poziom merytoryczny wystaw. A tym samym - prestiż miasta jako ośrdka kultury.

Czy te działania Towarzystwa to za mało, by uwzględniać jego opinię w sprawach związanych z profesjonalną obsadą stanowisk kierowniczych Muzeum Narodowego? Wiem, że pewni członkowie Towarzystwa rozmawiali z marszałkiem na temat muzealnej sukcesji. W moich uszach jeszcze brzmi ta ich irytacja wywołana tym spotkaniem.

Uznałem, że kolejnym „sprzymierzeńcem" profesjonalnego obsadzenia stanowiska dyrektora muzeum może być Zachodniopomorski Oddział Stowarzyszenia Muzealników Polskich. I w odpowiedzi na mój list przeczytałem co następuje:

> Szanowny Panie Redaktorze
> Zachodniopomorski Oddział SMP **w żaden sposób nie jest zaangażowany** w proces wyłaniania nowego dyrektora Muzeum Narodowego w Szczecinie. Żadna ze stron nie zwracała się do nas w tej sprawie. Nie mam także wiedzy, aby w ów proces zaangażowany był zarząd główny naszego stowarzyszenia.
> Z poważaniem
> Stanisław Horoszko
> Prezes Oddziału Zachodniopomorskiego SMP
> Dyrektor
> Muzeum Techniki i Komunikacji – Zajezdnia Sztuki w Szczecinie

Panie prezesie i dyrektorze. Solidarność! Jest Pan muzealnikiem. Kolegów sztachetami piorą. A Pan czeka, czy ktoś Go o ocenę tego stanu zapyta? Reprezentuje Pan wielką, organizację, a do tego jest szczecińskim muzealnikiem! Jaki jeszcze mandat jest Panu potrzebny, aby ruszyć z odsieczą?

Zapukałem więc do krajowego biura Stowarzyszenia Muzealników Polskich, zwierzchników pana Stanisława Horoszko.

> Szanowny Panie,
> Dziękujemy za Pańskiego maila oraz sformułowane w nim pytania, które odczytujemy jako wyraz troski o przyszłość Muzeum Narodowego w Szczecinie.
> Opisana przez Pana sytuacja jest znana Stowarzyszeniu. **W lipcu 2024 roku,** nasza organizacja wyraziła zaniepokojenie sytuacją w tamtejszej instytucji, a także podjęła w porozumieniu z Towarzystwem Przyjaciół Muzeum Narodowego w Szczecinie działanie, w ramach którego zarekomendowaliśmy Ministerstwu oraz Samorządowi Województwa Zachodniopomorskiego Pana dra Dariusza Kacprzaka do objęcia stanowiska p.o. dyrektora Muzeum do czasu otwarcia postępowania konkursowego. Niestety Pan Marszałek nie przyjął naszej rekomendacji, powołując na stanowisko p.o. dyrektora Panią Agnieszkę Bortnowską.
> Z przykrością, przyjęliśmy następnie informację o rezygnacji Pana dra Dariusza Kacprzaka z pracy w tamtejszej instytucji.
> Niewątpliwie nasz niepokój oraz sprzeciw budzą sygnały, które zdają się sugerować, że **Samorząd Województwa Zachodniopomorskiego nie rozumie autonomii instytucji kultury, a z faktu bycia organizatorem dla Muzeum Narodowego w Szczecinie, wyciąga wnioski o charakterze wywłaszczeniowym.** Chcielibyśmy się mylić w tej sprawie, ale niestety na w/w korespondencję Pan Marszałek nie odpowiedział. Mamy najgłębsze przekonanie, że Muzeum Narodowe w Szczecinie zasługuje na profesjonalnego dyrektora/kę. Pozostajemy otwarci na współpracę z redakcją.
> Decyzja Zarządu Województwa o unieważnieniu ogłoszonego w listopadzie konkursu na dyrektora jest również znana Stowarzyszeniu. Pragniemy zapewnić, iż Zarząd Główny naszej organizacji będzie śledził sytuację w przedmiotowej sprawie, a także dołoży wszelkich starań, aby zarekomendować na w/w stanowisko kandydata, który zagwarantuje stabilność i rozwój Muzeum Narodowemu w Szczecinie.
> Z wyrazami szacunku
> Dominik Oleksy

W kolejnym mailu od pana Dominika Oleksego przeczytałem:

> Zarząd Główny Stowarzyszenia planuje zwrócić się w najbliższych dniach z oficjalnym pismem skierowanym do zarządu oddziału zachodniopomorskiego naszej organizacji, z prośbą o zajęcie stanowiska w tej sprawie.
> Trudno w jednoznaczny sposób odnieść się do pytania o analogiczną sytuację w minionych kilku latach w innych instytucjach muzealnych. Niestety, ale sytuacja MNS nie jest odosobnionym przypadkiem.

Stanowczy, ważny i odważny głos. Merytoryczny i społecznie umotywowany. Z Krakowa! A tam nasze mewy nie dolatują. Wiadomości nie przeniosą. Niczym jednak jest tego poziomu kompetencja jaką reprezentuje organizacja pana Dominika Oleksego wobec omnipotencji marszałkowskiej.

„Istotna różnica…"

Zatem – jak można byłoby zinterpretować tę wiadomość z 15 stycznia 2025 roku od rzecznika Ministerstwa Dziedzictwa Narodowego i Kultury, w odpowiedzi na moje pytanie o powód odwołania konkursu?

W związku z istotną różnicą w treści ogłoszenia o konkursie, a treścią uzgodnioną z Ministrem Kultury i Dziedzictwa Narodowego…

Co w języku urzędowym znaczyć może określenie: istotna różnica.

Czy możliwa jest interpertacja: dokument – po uzgodnieniu – został przerobiony?! A gdyby tak, to czy mielibyśmy do czynienia z urzędniczą niegodziwością? Ocena moralna takiego posunięcia byłaby poza jakąkolwiek dyskusją.

Poprosiłem rzeczniczkę prasową marszałka o udostępnienie dokumentacji.

Nawet nie odpowiedziała.

I tu wracam do felietonu z numeru trzeciego miesięcznika TVSiódemka. Kim są pracownicy biura prasowego? Chciałem ich poznać, odwiedzić, nawiązać kontakt. Spojrzeć w ich młode twarze, stachanowskie i ochocze do wykonania każdego polecenia ich zwierzchnika. A jednocześnie powiedzieć dwa słowa o zawodzie dziennikarza, o jego społecznej randze. Rzecznik prasowy i dziennikarz to kiedyś… bracia.

Bycie rzecznikiem prasowym to bardzo dumne zajęcie, jeśli podmiot lub osoba reprezentowana przez rzecznika legitymuje się nienaganną postawą etyczną. Jest zawodowcem. Służy prawdzie. W innym przypadku – **rzecznik jest poddawany moralnej presji, jest wręcz ofiarą mobbingu.**

> Jest też inny aspekt sprawy. Ludzie „stamtąd", z urzędu, znają od podszewki te wszystkie dokumenty, te załączniki, sami je tworzą, przerabiają, uczestniczą w wielkim procesie jednak… mistyfikacji? Noszą w sobie dwie prawdy: urzędową i publiczną.

I myślę sobie w tym momencie o latach… „komuny". Tak, o systemie zniewalającym umysły i czyny. W każdym przypadku? Ciekawe… Ówczesne i obecne metody propagandy i polityki informacyjnej - niby te same, ale nazwy systemów społecznych – są różne. I to wystarcza, by także ocena myśli i czynów natychmiast się zmieniła?

Wracamy do sprawy

Powtórzę: W związku z istotną różnicą w treści ogłoszenia o konkursie, a treścią uzgodnioną…

Na którym etapie uzgodnień marszałek/minister doszło do pojawienia się istotnych różnic? Kto jest ich autorem? Kto po zatwierdzeniu uzgodnionej wersji – zmienił treść warunków konkursu?

Jeśli przyjąć wariant opisany w mailu do naszej redakcji, że to tuman-urzędnik (czy już zwolniony?) pomylił załączniki, to jak wytłumaczyć wypowiedź pana Olgierda Geblewicza w studiu Radia Szczecin z początku marca 2025:

> Ministerstwo kultury miało zastrzeżenia (…).

Kiedy ministerstwo zgłosiło zastrzeżenia? Po ukazaniu się ogłoszenia! A przecież treść komunikatu uzgodnił pan z panią minister. W ogłoszeniu stoi jak byk: że ogłasza pan konkurs w porozumieniu i uzgodnieniu z ministerstwem.

> My określiliśmy, że kandydat musi posiadać pełną wiedzę dotyczącą stanu prawnego, natomiast ministerstwo wskazało, że powinna być jeszcze wyszczególniona konkretnie ustawa o ochronie dziedzictwa kulturalnego. To dopisaliśmy to na prośbę ministerstwa, jeszcze raz daliśmy do uzgodnienia do ministerstwa, w niedługim czasie konkurs zostanie powtórzony.

Kto mija się z prawdą? Pani minister kłamliwie i oszczerczo atakuje marszałka czy marszałek do uzgodnionych treści, po kryjomu wrzuca swoje trzy grosze?

Oto lekcja logiki na poziomie pałowania się pańszczyźnianych parobków. Oficjalnie komunikat uzgodniono – prawda? I nagle do uzgodnionego komunikatu, jedna ze stron zgłasza istotne zastrzeżenia i mówi: chłopcy, a co wyście tu zmalowali? Przerobiliście uzgodniony dokument?

Sformułowanie mocne, ale jakiego innego użyć w miejsce stwierdzenia, że treść uzgodniona została nagle w istotny sposób i w takim też zakresie zmieniona? Nie przeredagowała dokumentu pani minister, bo to ona fakt przeróbki odkryła. Naprowadzili panią minister na ślad tego chłopięctwa pewnie specjaliści domagający się obsadzenia stanowiska dyrektora kandydatem merytorycznym, a nie osobą o doświadczeniach w pracy w klubie studenckim tudzież historyka, który czuje can-cana.

Już wystarczy

Nie zastanawiajmy się, jakim cudem – przyjmując wyjaśnienie marszałka - urzędnik miał na biurku dwa różne załączniki? Położono je tam w celu "się pomylenia"?

Ponownie zwróciłem się do rzecznika prasowego ministerstwa. Poprosiłem o udostępnienie dokumentacji rozbieżności i wgląd w poszczególne etapy tej jakże kompromitującej manipulacji.

I dostałem po łapach:

> Szanowny Panie Redaktorze,
> zgodnie z wyrokiem WSA we Wrocławiu z dnia 2 września 2014 r. IV SAB/Wr 75/14 pisma mające charakter uzgodnień mają walor jedynie informacji technicznej, czyli takiej, która służy do wymiany informacji, zgromadzenia niezbędnych materiałów czy uzgadniania stanowisk. Poddanie tego procesu ścisłej kontroli społecznej byłoby niecelowe i utrudniałoby wewnętrzny proces kształtowania się stanowisk uzgadniania i ścierania się opinii dotyczących istniejącego stanu rzeczy, jego oceny oraz ewentualnej potrzeby zmian.
> Z poważaniem

Próby zajrzenia przez ramię urzędnikom szczecińskim zakończyły się podobnym prychnięciem rzeczniczki szczecińskiej:

Na kolejne pytania, które pojawiają się w aktualnym mailu, będziemy niezwłocznie udzielać odpowiedzi w zakresie przewidzianym prawem.

Żeby nie było wątpliwości – prawo chroni urzędników. Prawo jest największą przeszkodą w dochodzeniu do prawdy. Prawo kryje i chroni nieudaczników i ignorantów, dyletantów i przechery, cwaniaków i kacyków. **To prawo oni sobie sami wymyślili.**

Ab ovo

Wszystko dzieje się w „jaźni urzędnika". Termin ten można interpretować jako specyficzny stan świadomości, tożsamości lub nastawienia psychicznego, który jednostka przyjmuje w momencie wejścia w rolę urzędową. Jest to socjologiczno-psychologiczny konstrukt, który opisuje przemianę człowieka – zwykle przeciętnego, „zwykłego" obywatela – reprezentanta instytucji i systemu biurokratycznego.

W ujęciu socjologicznym, jaźń kształtuje się przez interakcje społeczne. Człowiek jako urzędnik przestaje działać „własnym imieniem", a zaczyna funkcjonować jako „narzędzie instytucji". Urzędnik identyfikuje się z zasadami, procedurami, hierarchią i regułami urzędu, często odcinając się od emocji czy empatii. A petent... stoi w drzwiach.

Max Weber (ojciec socjologii, twórca socjologii rozumiejącej) uważał, że urzędnik działa racjonalnie, bezosobowo i zgodnie z zasadami. W takim ujęciu „jaźń urzędnika" to zinternalizowany ideał „bezstronnej maszyny administracyjnej". Jednak w praktyce może to prowadzić do alienacji i dehumanizacji kontaktów.

Ale zejdźmy na poziom języka potocznego.



Przypomina mi się ta scenka kabaretowa, którą nazywam „Nie da się". Petent chciał uzyskać zgodę na wycięcie drzewa. Nie da się – odpowiedział urzędnik. No tak, pan jako urzędnik jest „za krótki", aby podjąć taką decyzję.

Starzał w jedenastkę na dziesięciopunktowej tarczy.

Urzędnik dał popis tego, co on może, jeśli chce. Ale zazwyczaj nie chce, bo:

- „nie da się"
- jest silnie przywiązany do struktury, cechuje go niechęć do samodzielnych decyzji.
- unika ryzyka, faworyzuje rozwiązania zgodne z praktyką zamiast innowacyjne
- często ujawnia się w nim mikrowładza, czyli symboliczna dominacja nad obywatelem, wynikająca z „posiadania pieczątki" lub dostępu do informacji i decyzji.

Franz Kafka pokazuje, że urzędnicy nie tyle są źli, ile są beznadziejnie zrośnięci z absurdalnym systemem, który traktują jako rzeczywistość bardziej realną niż życie społeczne.

> Działania urzędników mają charakter religijny niemal. Kafka porównuje ich zachowania do liturgii, w której sens zanika, ale rytuał trwa.

Urzędnik to figura bez tożsamości – człowiek staje się narzędziem systemu, który nawet nie udaje, że służy człowiekowi.

Otóż NIE!

Wszystko co o urzędnikach napisałem, to bujda, propaganda i moja małostkowość!

Przepraszam!

Wchodzę oto do urzędu. Mam sprawę. Nie da się - słyszę. Trzeba to i tamto, tu i tam, wtedy, a wtedy, zanim to tamto, to jeszcze to, a w ogóle bez tego, to … Stoję na środku BOK, bezradny…

- Panie Mareczku, a co pan tu robi?

Cmok-cmok, przytulasek i kiwanie głową, skanowanie pięknej sylwetki, garsonki, fryzury…

- Pan też się nic nie zmienił, wręcz odwrotnie. A co pana sprowadza, panie Mareczku?
- Bo ja właśnie…

Nie dała mi dokończyć. Rzuciła okiem na papiery. Chwyciła mnie za mankiet, jak Krzyś swojego Kubusia Puchatka i powlokła przez urzędowe korytarze. Stukot jej obcasów był dalece bardziej doniosły niż werble poprzedzające wejście samego cesarza.

- Krysieńko, kochanie, o! – a co to? Tej bluzeczki nie widziałam! Mój Boże, kochanie, jaka ty jesteś laseczka (cmok-cmok)! Słuchaj, pan Maruś ma taką sprawę, wiesz, rzecz prosta, podpisz mu tutaj, proszę. No przecież znasz pana Marula, pamiętasz, no, właśnie, ten sam, tak. I popatrz tylko, jak nam wydorośla! Tak, już tu nie pracuje. A co tam u twojego Jureczka? O, tu, weź mój długopis. Nie pisze? No, no, dociśnij, skrobnij. I na kopii też. Ale ty się tu świetnie urządziłaś. I masz tyle słońca! Dobrze, dobrze, zostaw, nie dzwoń, ja pójdę do Małgoni to od razu swoją i twoją pieczątkę mi przybije. No, wpadaj, wpadaj do mnie. Jak będziesz coś potrzebowała (cmok-cmok). No, a jak widzisz ja ciągle w tej starej garsonce, ale najważniejsze, że się w nią wcisnęłam. Cha, cha, cha-cha!

Omal nie przytrzasnęła mnie drzwiami, które zamaszyście otwarte, zamknęły się z łoskotem, a ja jak ten Krzysiowy miś, wobec tej manifestacji urzędniczej antyjaźni – trzymałem w ręku papier, który w normalnej procedurze dostałbym za dwa, trzy miesiące.

I sprawy najważniejsze

Jak to się stało, że od 1950 roku w dumnym mieście Szczecin, przy zmieniającej się administracji politycznej – nie rozwiązano konfliktu interesów: Teatr Współczesny i Muzeum Narodowe. 75 lat to mało?

Skoro nie potrafiła sporu rozstrzygnąć administracja – to dlaczego tak wrażliwi i uduchowieni twórcy, artyści, ludzie sztuki targają się za szczęki i nieustannie robią sobie wbrew? Dlaczego kierownictwa obu placówek nie połączyły się i np. nie podjęły strajku artystycznego. Koniec. Dość. 75 lat to za mało na rozwód?



> Odpowiadam. Bo w instytucjach tych nigdy nie było osobowości charyzmatycznych, nie było autorytetów, z którymi władza musiałaby się liczyć.

Dyrektor Władysław Filipowiak – nie wiem, czy sam, czy wręcz nie z zachęty władzy pozostawał jednym z nielicznych bezpartyjnych dyrektorów (1955-2000) tak ważnej instytucji jak Muzeum Narodowe. Był opozycjonistą? Nie. Był politycznym radykałem? Absolutnie nie! **Był pragmatykiem.** Jeśli ktokolwiek zarzucał ówczesnej władzy: samych partyjniaków nominujecie, to wtedy partyjniacy mówili: a nie prawda. Bo kto kieruje tak fundamentalnie prestiżową instytucją jak Muzeum Narodowe? Towarzysz bezpartyjny!

A dyrektor Filipowiak nie jeden raz, zamiast powiedzieć – precz z partią, znajdował inne określenia. Potrafił zatelefonować do mnie o trzeciej nad ranem, aby wykładać swoje racje na temat zbędności Muzeum Morskiego czy bezcelowości mojej walki o zatrzymanie s/s „Sołdek" w Szczecinie. Nieprzejednany partner w sporach. I skuteczny. A od władzy wyciągnął wszystko, co chciał. A nawet więcej. Ale rozdziału muzeum i teatru – nie przeprowadził. Nie potrafił? Bzdura. **Miał w tym interes.** Bezpieczny aut. Temat zastępczy. Także dla teatru musiała ta sytuacja konfliktowa mieć więcej pozytywnych cech niż kłopotliwych.

Wiem, co mówię.

Ostatni dyrektor Muzeum z manifestowaną opinią na temat marszałka i tenże, krytycznie nie tylko w cytowanej już rozmowie przed radiowym mikrofonem wyrażający się o emerytowanym dyrektorze – nie rozumieją metafizyki sporu. Są zbyt mało finezyjnymi przeciwnikami. To tacy dwaj gladiatorzy z wiejskiej zabawy. Orkiestra – gra, a chłopaki się nawalają.

I druga sprawa.

Kiedy Muzeum w Szczecinie ostatni raz było na ustach Polski i Europy? Co ta placówka dokonała naprawdę ważnego? Wystawa dzieł Jacka Malczewskiego – dlaczego nie trafi do Szczecina? W Warszawie kolejki wielokilometrowe. W Poznaniu – nie wiem, właśnie się wybieram. A my, w Szczecinie? Podchody sobie urządza marszałek z historykami w sprawie skarbu Gryfitów. Panowie! Do piaskownicy! Szczeińskie Muzeum jest prostą, prowincjonalną instytucją, spełniającą ustawowe wymagania wobec lokalnej społeczności. Kiedyś tutejsi archeologowie próbowali zaistnieć. Co dało się znaleźć i wygrzebać – wykopali. I ponownie zasypali. I tak zakończyła się szczecińska przygoda z archeologią.

O sukcesach Teatru Współczesnego mówi tylko Teatr Współczesny. Pojedyncze spektakle giną w repertuarowej rutynie. Nawet Anna Augustynowicz nie miała autorytetu, z którym liczyłaby się władza. Gdyby sporządzić listę ważnych spektakli w Polsce, na którym miejscu byłby TW w Szczecinie? Ale bez odlotu, panowie, nie wsiadajcie na Pegaza, tylko rzetelnie - zróbmy taką listę. Bez "Odlotu", proszę.

Syndrom szczeciński

Byle tyle, byle jak. Głównie – na poprzeczny wznak. Ha! Skakankowe rymowanki.

Gdyby dyrektorem opery został – pomarzyć można - Piotr Beczała... Wiem, niemożliwe. Ale Katarzyna Dondalska…? Z tego co wiem, nasza Diva nie zna marszałka. Proszę Pani, to ten jegomość, który jakiś czas temu wręczał Pani odznakę Gryfa Pomorskiego. Ten sam, który kazał pani śpiewać na moście w Siekierkach! Ot, fantazja!

Tylko... który arysta chciałby współpracować z taką zwierzchnością?

Władza unika i rezygnuje z autorytetów i ludzi rzeczywiście kompetentnych. Ludzie utalentowani i zawodowcy nie widzą możliwości współpracy z władzą, która nie rozumie, że nie kumpel lub inny powolniak, ale ludzie z silną motywacją, doskonale wykształceni, obyci, rozpoznawalni w świecie są nam wszystkim potrzebni. Ci ludzie przyciągną tutaj swoich przyjaciół, współpracowników i partnerów. A ci z kolei pokażą nam na jakiej wysokości zaczyna się poziom obecności w świecie. Nie na blaszanym moście w Siekierkach, gdzie pan marszałek za setki tysięcy złotych organizuje koncert z udziałem orkiestry symfonicznej. Proszę pana, jakiś czas temu wymyślono filharmonię. W niej jest miejsce dla orkiestry symfonicznej. Nie na moście!

Jest taki dobry sposób nie tylko na czkawkę. Wlewamy do szklanki wodę. Szklankę ustawiamy na stole. Pochylamy się i zaczynamy pić wodę, ale od strony przeciwnego brzegu szklanki!

Powodzenia!

(cdn - czekmay na ogłoszenie nowego konkursu)

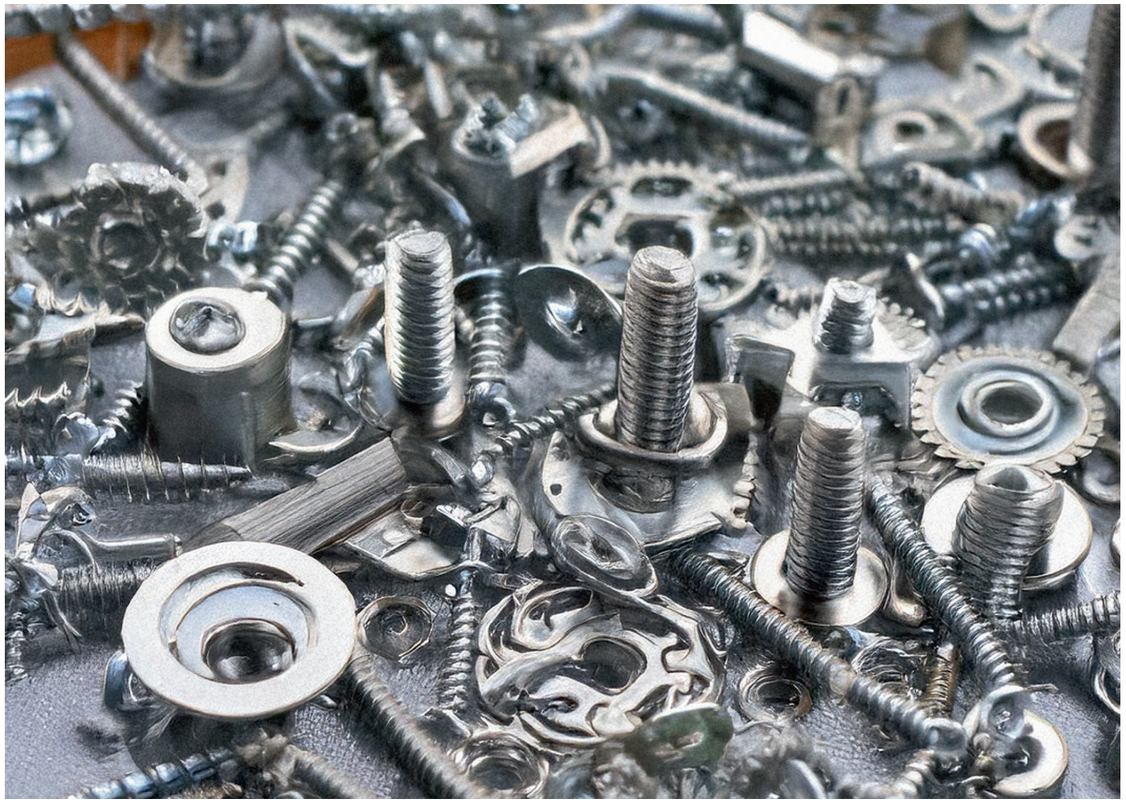

W Urzędzie Marszałkowskim doszło do awarii głównego silnika! Trzasnął łańcuch rozrządu.

Nierząd rozrządu

Sprawdzam w Internecie: co się stanie, gdy w trakcie jazdy (kadencji urzędnika) zerwie mu się łańcuch rozrządu?

> Zerwanie łańcucha rozrządu może doprowadzić do zniszczenia zaworów, tłoków, wykrzywienia prowadnic, korbowodów, wałków rozrządu a nawet uszkodzenia głowicy silnika.

Ale te komponenty już dawno się tam rozpadły. To jedyny taki przypadek, gdy rozpędzony w zapamiętaniu łańcuch trzaśnie jako ostatni.

Stary konkurs po nowemu

Ponownie ogłoszono konkurs na dyrektora Muzeum Narodowego.

Drugi kwietnia, myślałem, nie wykluczone, że jeszcze jakieś opary po Prima Aprilis nie pozwalają trzeźwo myśleć; zaczekam na rozwój wypadków. Może – na szczęście – znów się jakiś urzędnik pomylił i ta edycja konkursu też zostanie odwołana?

Napisałem do ministerstwa.

Ludzie, wg jakiego wzoru układa się takie ogłoszenie w celu znalezienia antydyrektora?

Cisza. W Urzędzie Marszałkowskim też nie ma już ludzi z poczuciem humoru. Wymarli. Ze śmiechu. Kto został? Dobre pytanie.

Odłamkowym – ładuj!

Kapitanem statku zostaje marynarz o najwyższych kwalifikacjach. Lancet podaje się chirurgowi wszechstronnie wykształconemu. Nr 9 umieszcza się na koszulce Roberta Lewandowskiego. A w Szczecinie, dyrektorem Muzeum Narodowego może zostać organizator ślubów i pogrzebów, dostawca cateringu i menedżer kapel na potańcówki, kierownik świetlicy wiejskiej albo pracowni plastycznej dla emerytów.

Nie nie, żeby była jasność – wspaniali, genialni, cudowni ludzie. Niebywale odważni i oddani sprawie. Oni nawet by do kokpitu F555 wsiedli, bo to ci z tych, co dla słusznej sprawy pić będą zimne mleko z gorącym kożuchem. Dla mnie – odwaga graniczącą z heroizmem.

> Chciałem uprzejmie Waszą Admiralicję Samorządową zapytać - który kretyn profesor, idiota badacz i odkrywca grobowców faraonów, piaskarz-betoniarz (dawniej: znany jako archeolog) naukowo przeczesujący wolińską ziemię w poszukiwaniu wybitych zębów wikińskich, wreszcie - muzealnik o rentgenowskim spojrzeniu na dzieło sztuki stanie w szranki i przegra rywalizację z kierownikiem klubu studenckiego? Bo to, zdaje się, jest ten typ akwarium, w którym przy Piłsudskiego hoduje się karasie postępu?

Poligloci? Ludzie czytający hieroglify, znający aramejski, starocerkiewnosłowiański – nigdy nie wygrają z ingliszmowamenem from stuetschsnina.

Niestety, najgorsze czego należałoby się ze strony niewłaściwego kandydata spodziewać jest to, że będzie – o zgrozo! - zarządzał placówką, nadawał jej kierunek i dążył - wykorzystując waści jako narzędzie - do osiągania swoich, muzealnych celów.

A tego to już żaden nieprofesjonalny zwierzchnik nie zniesie.

W jednym z ostatnich pism od rzecznika prasowego pytałem o kwalifikacje osób, które wybierały nowego starego dyrektora Opery na Zamku. Dowiedziałem się, że głównym atutem zespołu osób oceniających kandydatów były nazwy ich stanowisk w urzędzie marszałkowskim. A ja, przecież byłem w Hollywood, kupiłem dwa kubki z dzwonkami przy uchach i napisami: „Marlon Brando" i „Reżyser." Pierwszy, ze względu całkowitą zbieżność wdzięku, urody i bezpardonowości, a drugi – bo – bo się, kurczę, nadaję. I ciągle czekam na propozycje.

> Takie ogłoszenie to kpina ze świata nauki, autorytetów i ekspertów, znawców problematyki i praktyków. A więc całkowicie Wam – wasza Omnipotencjo – obcych! Bo o czym z takimi ludźmi rozmawiać? O pompkach rowerowych?

Ostatnio słyszałem słowa marszałka na antenie Radia Szczecin.… Kierowniczką wydziału kultury samorządowego konwentyklu została osoba – uwaga – która zapanuje nad procesami inwestycyjnymi w kulturę. Bo kierownicy placówek kultury to się do niczego nie nadają... **A kto ich tam postawił?**

A my - to kto?

Szczecinianie, to ta szara, w ciągłym ruchu i nieskoordynowana masa, która co jakiś czas idzie do urn głosować na tych, którzy ich tak pięknie mamią.

Czy obiecywali, że będzie cudne i profesjonalne Muzeum Narodowe? Że Szczecin stanie się kulturalną stolicą świata? Nie. Ale niewykluczone, że kiedyś… Na razie zdjęcie z kolarzem światowej sławy już mamy. A to już coś.

A jak przyjechał do Szczecina maestro Penderecki, to obaj wodzowie wyszli z wigwamów, w południe dłoń mistrzowi na powitanie uścisnęli i **nigdy więcej się na festiwalu Sacrum Non Profanum nie pojawili**. Obejmowali tę muzyczną i najważniejszą w kraju oraz na świecie prezentację polskiej muzyki współczesnej (20 edycji!!!!) przez wiele lat swoim urzędowym patronatem, pisząc, że to **święto nad świętami, niebo na ziemi, dzięki, kurczę, nim…** Dodawali swoje zdjęcia, a godności pisali pogrubioną czcionką.

Nic to.. Przyjdzie nam muzeum oddać do... muzeum.

Pracownikom muzeum podpowiadam: pan Władysław Garczyński, magister, zakopał na zamkowym dziedzińcu słowiańską łódź. A nawet chyba dwie. Bo tam, gdzie setki lat spoczywały było im lepiej niż w klimacie lokalnego muzealnictwa powierzchniowego. Może warto wygrzebać czółno, zadaszyć i na burcie nazwę „Arka Muzealna" napisać?

Ratujcie się, Państwo. Wszyscy do żagli!

Z ostatniej chwili:
9 kwietnia, rzecznik ministerstwa odpowiedział na mój mail:
Szanowny Panie Redaktorze,
Muzeum Narodowe w Szczecinie jest instytucją kultury wpisaną do rejestru instytucji kultury Marszałka Województwa Zachodniopomorskiego. Wszelkie kwestie związane z przygotowaniem procedury konkursowej leżą w gestii Województwa.
Minister Kultury i Dziedzictwa Narodowego zaakceptowała przedłożone przez Marszałka dokumenty: ogłoszenie o konkursie na kandydata na dyrektora Muzeum Narodowego w Szczecinie oraz regulamin i harmonogram prac komisji konkursowej.
Z poważaniem
Centrum Informacyjne.

Szczecin, „najdalsza Polska", od osiemdziesięciu lat pod administracją… zawahałem się…

- No, mów - czyją?
- Najlepszą!

Ale cośmy sobie pogadali… tośmy pogadali.

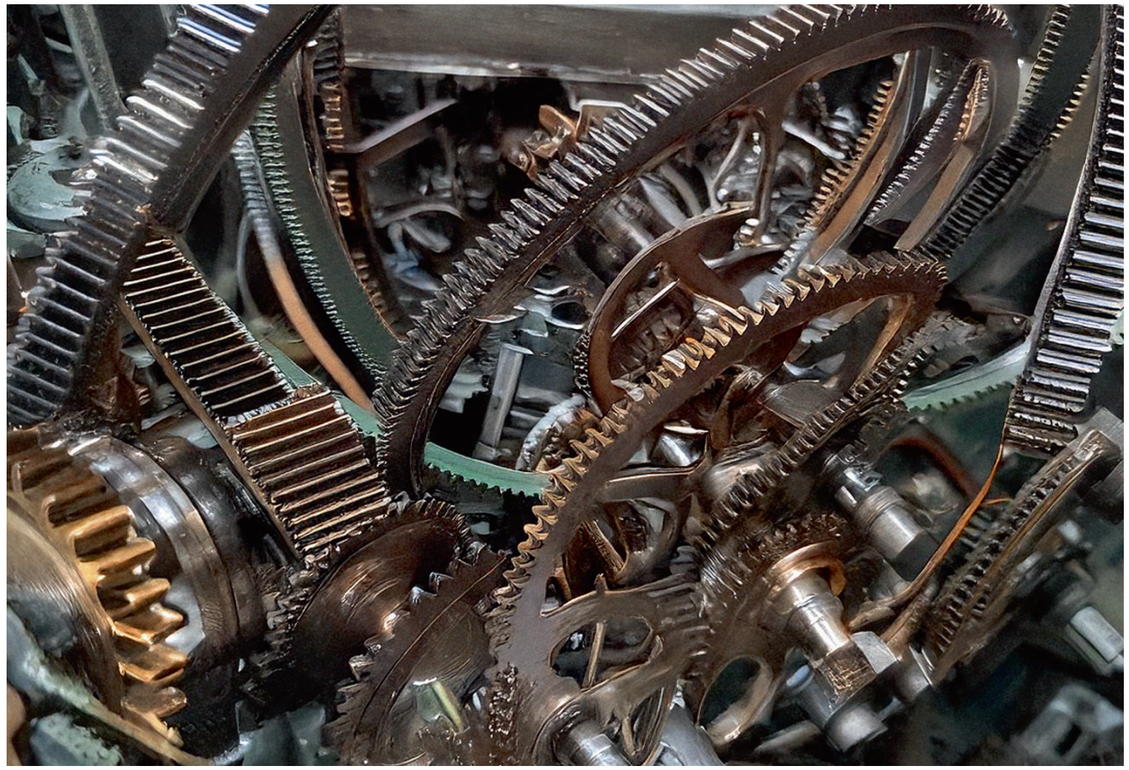

Gdzie jesteś?

A przecież Bóg wszystko wie? Gdzie jesteś? – jednak szukał Adama.
„Usłyszałem Twój głos w ogrodzie, zląkłem się, bo jestem nagi, i ukryłem się.”
(Rdz 3,10 — Biblia Tysiąclecia)

Każde Boże istnienie o nic nie troszczyło się tak bardzo jak o bezpieczny kąt dla siebie i potomstwa. Instynkt życia wiąże się więc nierozerwalnie z gniazdem, siedzibą, zazwyczaj w kształcie kręgu, zamkniętej przestrzeni, takiej, z której można oglądać cały świat, ale do której ów świat swobodnego dostępu nie ma.

Kto nie pamięta chwili, gdy wieczorem, wreszcie zgasł ekran telewizora, zamilkł głośnik radiowy i tylko przez uchylone drzwi słychać było spokojny oddech śpiących domowników.

Mir… Pokój domowy. Nie znam innej sytuacji, która dogłębnie i bez reszty, zazwyczaj na jedną chwilę tylko, uwalnia nas od wszystkich lęków.

My home is my castle

Najczęściej przypisuje się to powiedzenie angielskiemu prawnikowi Sir Edwardowi Coke'owi (1552–1634), który w komentarzach do prawa napisał:

„For a man's house is his castle”
(w: „The Institutes of the Laws of England”, 1628)

W szerszym kontekście Coke komentował zasadę, że **dom obywatela jest jego schronieniem i nie może być naruszony przez władzę bez wyraźnego upoważnienia.**

Powiedzenie to stało się synonimem idei, że państwo nie ma prawa ingerować w prywatność jednostki bez powodu, co znalazło odzwierciedlenie także w amerykańskim prawie i konstytucji (IV Poprawka do Konstytucji USA: ochrona przed nieuzasadnionymi rewizjami i aresztowaniami).

Nas nie interesuje tu analiza prawna, lecz skutek poczucia bezpieczeństwa człowieka w jego domu. To ono – wyzwala inną immanentną cechę naszej natury – potrzebę obcowania z pięknem.

Chcemy żyć w otoczeniu pobudzającym nasze zmysły, wyzwalającym nastroje siostrzane dla bezpieczeństwa. Dom, mieszkanie stało się z czasem odzwierciedleniem naszego wnętrza, intymnych pragnień, oczekiwań. Nikt nie będzie malował ścian na kolor, który go drażni. Nikt nie powiesi obrazu, który nie poruszy wyobraźni.

Szczecin… 26 kwietnia 1945

Ludzie wchodzili do mieszkań, które przed chwilą, w strachu opuścili ich dotychczasowi mieszkańcy. Jeszcze się pod płytą ogień żarzył, jeszcze łóżko nie zostało zaścielone, a kwiat na parapecie oczekiwał na poranny łyk wody.

Przybysze weszli w strefę bezpieczeństwa i wieloletnią pamięć miejsca, teraz osieroconą. Sami też byli tułaczami. Zapamiętali obrazy swoich, równie gwałtownie opuszczonych domostw.

Rzymianin powiedziałby: *in locum alterius* – **„na miejsce kogoś innego”**. Wystarczyło zmienić jeden drobiazg, dodać inny, coś przesunąć, odwrócić, zacząć tworzyć nowe, swoje, własne, intymne wnętrze. Potem nadawać mu blask z naszą już sygnaturą.

80 lat polskiego Szczecina zainspirowało nas do trzeźwego, a nie pompatycznego spojrzenia na miasto, na te jego fragmenty, których widzieć nie chcemy… Nie spodziewaliśmy się, że efekt tego podejścia będzie tak gorzki. Tak nieprawdopodobnie przykry.

Zapytaliśmy samych siebie: gdzie jesteśmy?
Padła odpowiedź:
„…w ogrodzie, zląkłem się, bo jestem nagi, i ukryłem się.”

Na gruncie biblijnym, pytanie „Gdzie jesteś?” stanowi **wezwanie do refleksji i przyznania się do winy.** To pytanie ma wymiar **egzystencjalny i duchowy**, jest skierowane do sumienia człowieka.

No tak, ale… co to jest sumienie, kto jeszcze je ma i jak wykorzystuje?

Składamy Państwu gratulacje, z okazji 80 lat polskiego Szczecina.



Szczecińska brama, rok 2025, fot. M.Wrzosek

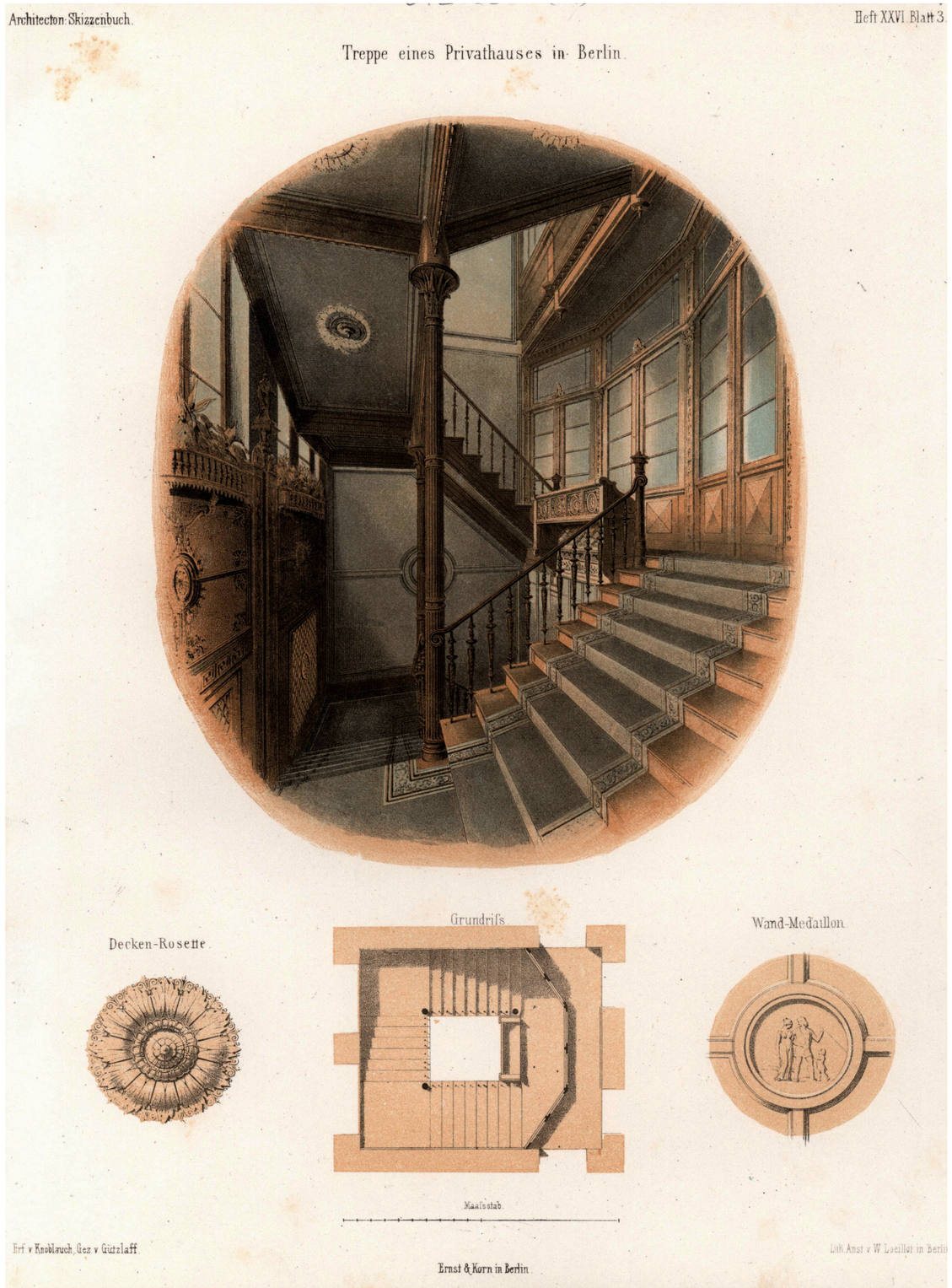

Klatka schodowa prywatnego domu w Berlinie wraz z odpowiadającym jej rzutem oraz detalami ornamentyki – rozetą sufitowa oraz plafonem. Architectonisches Skizzenbuch, 1865, Heft XXVI,Blatt 3.

Paryż, połowa XIX wieku

Ciemne, średniowieczne wąskie uliczki, przeludnienie, brak kanalizacji i podstawowych zasad higieny – takie miasto, otoczone murem było siedliskiem chorób zakaźnych. W 1853 roku mianowany przez Napoleona III paryski urzędnik, bez wykształcenia architektonicznego – Georges Eugéne Haussmann, został głównym urbanistą stolicy i zrealizował cesarską wizję miasta – „wpuścić powietrze, połączyć w całość i upiększyć". To niebywałe przedsięwzięcie stało się niedoścignionym wzorcem dla wielu europejskich miast. W tym również dla Stettina.

Rozwój architektury czynszowej

Fala budownictwa czynszowego ruszyła wraz z rewolucją przemysłowo-cywilizacyjną, która wprowadziła fundamentalne zmiany w sferze ekonomicznej, technicznej oraz społecznej. Na podstawie nowych planów zagospodarowania miejskiego, na obrzeżach miast, wznoszono duże osiedla mieszkaniowe przeznaczone dla napływowej, robotniczej społeczności. Tymczasem w centrach rozrastała się architektura eleganckich kamienic, o dojrzałych i dopracowanych rozwiązaniach projektowych, przeznaczona dla zamożnych klas – burżuazji i finansjery – oferując luksusowe warunki zamieszkania.

Haussmannowska renowacja Paryża (1853-1870)

Dawne, brudne i ciasne miasto, pozbawione chodników i kanalizacji, przekształciło się w najnowocześniejszą metropolię z siecią okazałych bulwarów, szerokich paradnych alei i gwiaździstych placów. **Powstało wówczas 40 tysięcy nowych budynków.** Rozpoznawane do dziś paryskie kamienice z fasadami ***pierre de taille*** – wykonanymi z ciosanego kamienia – osiągały wysokość do sześciu pięter. Okna pierwszego piętra zaakcentowane były bogatszym zdobieniem, a budynek na tej kondygnacji został otoczony ciągiem balkonów z barierkami z kutego żelaza. Dla zachowania symetrii, kolejny rząd balkonów umieszczano na przedostanim piętrze. Charakterystycznymi elementami haussmannowskich kamienic były wysokie okna ***porte-fenêtre*** oraz mansardowe dachy. Rozkład funkcjonalny wnętrz podlegał ścisłej hierarchii społecznej.

> Parter budynku oraz antresola mieściły sklepy i lokale usługowe. Drugie piętro z wysokimi sufitami, bogatą dekoracją sztukatorską i ażurowym balkonem zamieszkiwali najzamożniejsi paryżanie. Kolejne dwa piętra charakteryzowały się niższymi sufitami i mniejszym przepychem jako przeznaczone dla klasy średniej. Dwa ostatnie zajmowali najmniej zamożni lokatorzy oraz służba.

Wnętrza haussmannowskich budynków były równie eleganckie jak ich fasady. Francuskie drzwi, podłogi z parkietu oraz terakoty Tomettes, marmurowe kominki, sztukateria gipsowa i drewniana, a nawet zabudowa szaf i półek podkreślały wysoki standard mieszkań.

Berlin i historyzm epoki wilhelmińskiej (po 1871 roku).

Po powstaniu Cesarstwa Niemieckiego w 1871 roku, w Berlinie dominował historyzm epoki wilhelmińskiej, naśladujący stylistykę minionych epok. Na jego architekturę i stylistykę miała również wpływ francuska moda i kultura. W zachodnich dzielnicach Berlina wznoszono wręcz **pałacowe kamienice z przestronnymi lokalami**. Ich fasadom nadawano monumentalną stylistykę inspirowaną okazałymi gmachami publicznymi.

Beletage – czyli pierwsze piętro – zawsze mieściło apartamenty reprezentacyjne. Były to przestronne pokoje o wysokich sufitach, bogato wyposażone, z dużymi oknami i balkonem. Prestiż tej kondygnacji podkreślano oprawą sztukatorską na fasadzie, w myśl zasady im wyżej tym mniej (zdobień). Z powodu braku wind, mieszkania na wyższych piętrach były mniej atrakcyjne i a co za tym idzie – tańsze. Najwyższe piętro przeznaczone było wyłącznie dla niższych warstw społecznych. Właściciele nieruchomości starali się obejść tę zasadę, zmieniając nazwy poszczególnych pięter. Jeśli pierwsze nazywano antresolą, to wtedy czwarte stawało się piętrem trzecim.

Wystrój wnętrz podlegał tej samej hierarchii. Na niższych kondygnacjach stosowano droższe materiały wykończeniowe, a sztukaterie pokrywano prawdziwym złoceniem. Natomiast na wyższych piętrach dekoracje jedynie malowano i woskowano, dopasowując je kolorystycznie do tańszych tapet.

Bogactwo detali i kunszt rzemiosła

Nie tylko mieszkania, ale i klatki schodowe, sienie i przejazdy bramne były projektowane z ogromnym przepychem. Zarówno w Berlinie, jak i w Paryżu projektanci wspinali się na wyżyny swoich artystycznych możliwości, aby oddać wielki kunszt w aranżacji wejść do kamienic. Zadbano nie tylko o walory artystyczne, ale i o staranne rzemieślnicze wykonanie. Zaaranżowane przestrzenie pełniły nie tylko funkcję użytkową, ale także marketingową, podnosząc wartość mieszkań przeznaczonych na sprzedaż lub wynajem. Opisy berlińskich kamienic z przełomu XIX i XX wieku zwracają uwagę na pojawiający się kontrast, pomiędzy skromniejszą elewacją a przepychem, ukrytym za bramą.

Berlińskie realizacje bramowych wejść wyróżniały się szerokimi wjazdami z dwuskrzydłowymi, bogato zdobionymi drzwiami. W ich wnętrzach często znajdowały się boczne drzwi wejściowe do klatki schodowej, dekorowane płycinami albo artystycznym przeszkleniem. Ściany i stropy zdobiły obficie stosowane sztukaterie. Na postumentach montowano imponujące rzeźby, które podtrzymywały lampy gazowe. Okna wypełniały wzorzyste witraże, a na ścianach, obok artystycznych malowideł, umieszczano tafle wielkich luster. Wpadające światło odbijało się w jasnych marmurowych schodach, nadając blask zacienionym wejściom i klatkom schodowym. Drzwi do mieszkań, zawsze w bogatej oprawie snycerskiej, a kute balustrady odwzorowywały artystyczne zacięcie manufaktury kowalstwa. Wnętrza czasem uzupełniano o drobne meble jak konsolki czy małe ławeczki.

W paryskich budynkach bramy były na tyle szerokie, że mogły swobodnie przepuszczać duży powóz. Standardem stał się okazały ***hall d'entrée*** – reprezentacyjny hol wejściowy ze schodami prowadzącymi do głównej klatki schodowej. Jego wystrój podkreślano freskami, kolorowymi witrażami w oknach półpięter oraz stylowym oświetleniem. Modnym akcentem były kryształowe lustra w złotych ramach, optycznie powiększające przestrzeń westybulu.

Strudzeni wspinaczką po schodach, lokatorzy mogli odpocząć na aksamitnych ławeczkach ustawionych na półpiętrach.

> W luksusowych kamienicach od lat 80. XIX wieku montowano pierwsze dźwigi osobowe. Ich ażurowe, kute obudowy do dziś stanowią cenny zabytek sztuki. Schody pokrywano czerwonymi dywanami, przytwierdzonymi ozdobnymi, miedzianymi prętami. Cały ten wystrój miał jedno zadanie – robić oszałamiające wrażenie.

W kamienicach tuż przy wejściu znajdowała się portiernia. Odźwierny wprowadzał gości, odbierał pocztę, a nawet troszczył się o bilety do teatrów. Zamawiał dorożki i dbał o czystość w budynku.

Zarówno berliński ***Durchfahrt*** z ***Treppenhaus*** jak i francuski hall d'entrée z escalier przetrwały do dziś, jako świadectwa bogatej kultury mieszkaniowej. Dzięki pieczołowitym renowacjom wiele z tych wnętrz lśni dawnym blaskiem, zachwycając kunsztem rzemieślników minionych epok. Dbają o to tamtejsze wspólnoty mieszkaniowe.



Przejazd bramny w kamienicy przy Bellevuestraße w Berlinie. Architectonisches Skizzenbuch, 1864, Heft (V) LXX, Blatt 1.

Dwadzieścia lat temu wyruszyłam na rekonesans szczecińskich przejazdów bramnych i sieni. W ich cieniu szukałam śladów dawnej świetności Śródmieścia. Chciałam dotknąć, doświadczyć i utrwalić na fotografii pięknie zachowane wnętrza i ich wyposażenie, a także przywołać wspomnienia z lat dziecięcych, kiedy mieszkałam w kamienicy i zafascynowana, wpatrywałam się w jej tajemnice.
Każdy dzień tamtego spaceru był loterią, nie tylko ze względu na to, co mogłam zastać, ale i na niepewność, czy zamknięte wrota ustąpią i zaproszą mnie do środka. Wnętrza kamienic, w części prywatnych – odgrodziły się od ulicy systemami zamków i blokad drzwi wejściowych.

Po dwudziestu latach znów wybrałam się na spacer. Co dziś kryją te miejsca? Niestety, w większości złowrogą pustkę.
Cofnijmy się jednak w czasie, do 2005 roku.

Szczecińskie bramy… donikąd

Tekst i zdjęcia – ***Małgorzata Wrzosek***

Strach tu wchodzić

Jest rok 2005. Ulica Śląska, ścisłe centrum miasta i wnętrze typowej bramy.

Spojrzałam w górę. Na brudnych sufitach, spowitych tiulem pajęczyn, szukałam sztukaterii, które przecież tutaj były! Piękne! Widzę, że ich kształty niemal zniknęły pod grubą warstwą brudu. Na patchworkowych ścianach, dostrzegłam nikłe ślady doprawdy artystycznych malowideł! Giną pod łuszczącymi się warstwami farb i tynków. Kilka przecznic dalej, w kolejnej bramie, pośród płątaniny kabli i nadętych skrzynek elektrycznych oraz autostrad korytek instalacyjnych natrafiłam na wymowne spojrzenia maszkaronów i putt.

- Uciekaj stąd. Tu „cudów” już nie ma! – wołały do mnie.

Te miejsca, niegdyś pełne przepychu, zostały… zmasakrowane. Wszystkie ocalałe dekoracje uginały się pod ciężarem niezliczonych powłok malarskich, tynku, gipsu i Bóg wie – czego jeszcze?

> Dlaczego? Przecież ich znaczenie estetyczne i architektoniczne jest niepodważalne w historii naszego miasta! Muszą być chronione ręką miejskiego konserwatora zabytków.



Fotografie zostały wykonane w szczecińskich przejazdach bramnych w latach 2005-2007.



ul. Mikołaja Kopernika 16



ul. Juliusza Słowackiego 9



al. Piastów 4



ul. Papieża Jana Pawła II 35

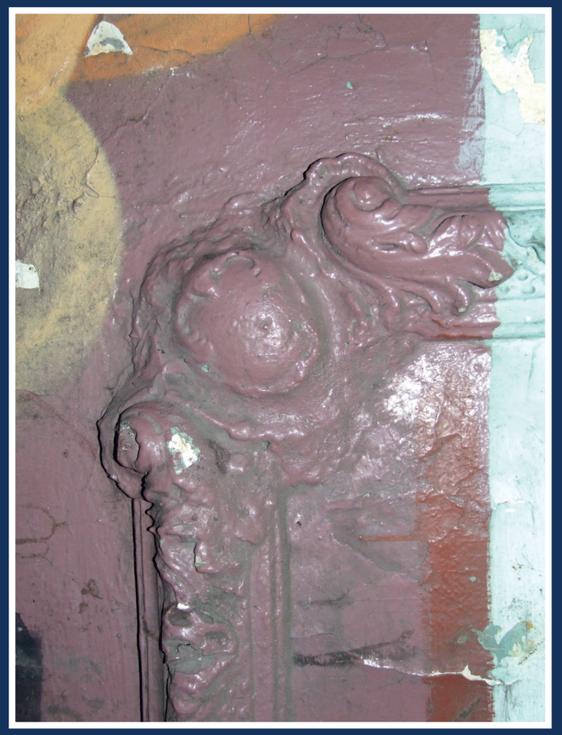

ul. Wielkopolska 22

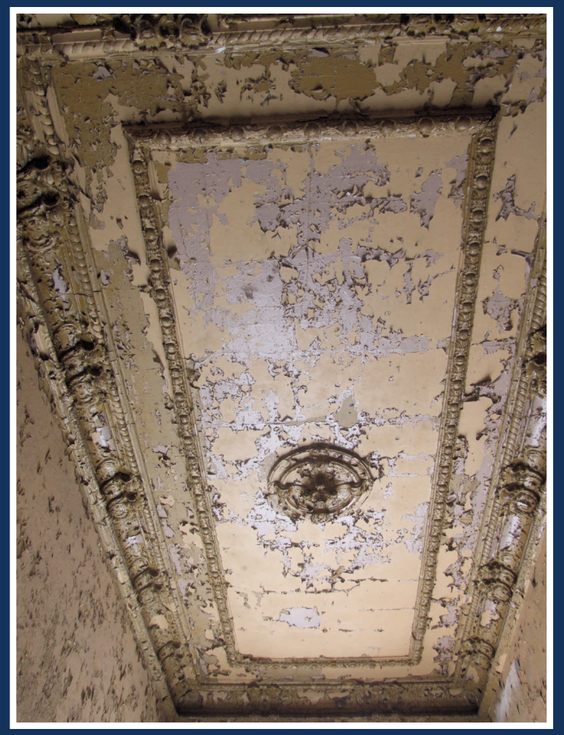

ul. Getta Warszawskiego 23



Arndplatz - dziś znany jako Plac Odrodzenia, ukazany z perspektywą na ul. Mazurską w czasach, gdy nie była ona jeszcze w pełni zabudowana. Około 1899 rok. Fotografia pochodzi z kolekcjonerskich zbiorów Małgorzaty Wrzosek.

Dawno temu, w Stettinie...

W obliczu przeludnienia oraz dynamicznie rozwijającego się przemysłu, w połowie XIX wieku, władze miejskie podjęły decyzję o rozbudowie dotychczasowego układu urbanistycznego. Po wieloletniej batalii z nieustępliwą administracją wojskową, miasto wreszcie wyzwoliło się z krępujących je murów twierdzy, otwierając drogę do realizacji ambitnych planów rozwoju.

Stettin systematycznie poszerzał granice, wchłaniał podmiejskie osiedla i budował nowe dzielnice. Jako pierwsze powstało surowe, niemal ascetyczne Nowe Miasto.

Jego budowę rozpoczęto w 1845 roku, na południe od ówczesnego centrum, zlokalizowanego w obrębie dzisiejszego Starego Miasta. Nowo powstała zabudowa zdominowana była przez niewielkie bloki czynszowe, cztero- i pięciopiętrowe kamienice o oszczędnych, historyzujących fasadach, pozbawione monumentalnych elementów architektonicznych, takich jak wykusze czy ryzality. Kompozycja urbanistyczna dzielnicy podporządkowana została zasadom ekonomicznego wykorzystania przestrzeni, inspirowanym rozwiązaniami stosowanymi w nowo powstałych dzielnicach Berlina.
Granice dzielnicy mieszkaniowej wyznaczały: rzeka Odra wraz z dworcem kolejowym, Górnym Wikiem oraz Fortem Prusy. Mimo nowoczesnego jak na owe czasy założenia urbanistycznego, dzielnica okazała się niewystarczająca dla dynamicznie rosnących potrzeb rozwijającego się miasta.

Niebawem, po wygaszeniu wszystkich zakazów zabudowy w obrębie umocnień – niczym wybuch wiosny – rozkwitło obecne Śródmieście.

Powstała starannie zaprojektowana dzielnica mieszkaniowa, której układ wyznaczały promieniście rozchodzące się reprezentacyjne aleje. Wzdłuż nich wyrastały pałacowe kamienice, ociekające sztukatorskimi detalami. Ich wysokie wieże i hełmy majestatycznie górowały nad paradnymi promenadami, nadając nowej części miasta harmonijną i wytworną kompozycję.

Za ten imponujący wizerunek odpowiadali uznani szczecińscy architekci i budowniczowie, czerpiący inspiracje z najlepszych wzorców pobliskiego Berlina, często opartych na wcześniejszych paryskich realizacjach.

> Kamienice przypominały dzieła sztuki w starannie dobranej ramie. Istotne było nie tylko artystyczne opracowanie elewacji, ale także dążenie do harmonijnej aranżacji wnętrz części wspólnych, spójnych z fasadą. Nie pełniły one wyłącznie funkcji użytkowej – stanowiły także wyraz estetycznych aspiracji epoki, kształtując poczucie piękna mieszkańców miasta.

Przed bramą przy Münzstraße 3 – obecna ulica Radogoska, około 1911 rok. Fotografia pochodzi z prywatnych zbiorów Tomasza Terpiłowskiego.



Reprezentacyjny wystrój bram, sieni i klatek schodowych tworzył artystyczne ***portfolio*** budynku. Pierwsze wrażenie potencjalnego lokatora miało kluczowe znaczenie dla powodzenia przyszłej umowy najmu – dlatego już od progu uwagę gości przyciągały estetycznie zdobione drzwi, a dłoń chwytała misternie wykonaną klamkę. Każdy detal bramy musiał być dopracowany i idealnie wpisywać się w efektowną, plastyczną oprawę, najczęściej umiejscowioną w środkowej osi budynku.



al. Papieża Jana Pawła II 41 rok 2005.



al. Papieża Jana Pawła II 41 rok 2025.

Na szczególną uwagę zasługuje profesjonalnie przeprowadzona renowacja rzeźbionej bramy, z motywem fantazyjnych smoków, zrealizowana w 2023 roku. Zestawienie dwóch fotografii – z lat 2005 i 2025 – ukazuje zakres i jakość wykonanych prac.



Tej klamki już tutaj nie ma - ul. Monte Cassino 6 (wejście od strony al. Marszałka Józefa Piłsudskiego) rok 2005.



Wrota bramne ul. Monte Cassino 6 (wejście od strony al. Marszałka Józefa Piłsudskiego) rok 2025.

Przez ponad sto lat ta klamka, ozdobiona motywem głowy lwa, służyła do otwierania i zamykania drzwi. Utrwaliłam ją na fotografii w 2005 roku. Obecnie zastałam drzwi pozbawione tego elementu. Co gorsza, same drzwi również ucierpiały. Zostały poddane oczyszczeniu ze starych powłok malarskich metodą opalania, co spowodowało uszkodzenie drewna na skutek działania wysokiej temperatury.

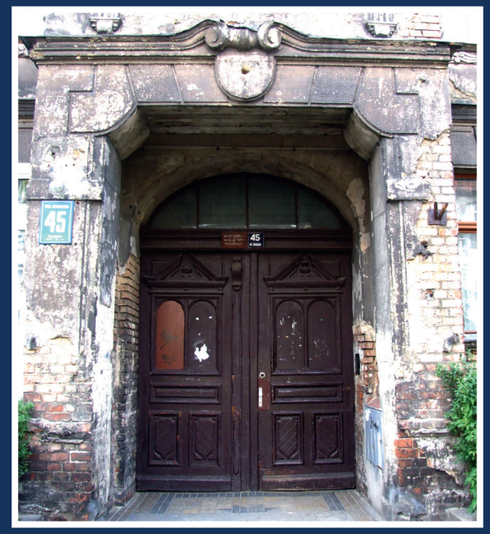

ul. Bolesława Śmiałego 45 portal wejściowy, rok 2005.



ul. Bolesława Śmiałego 45 portal wejściowy po renowacji - rok 2025.

Fotografia z 2005 roku dokumentuje portal z oryginalnymi drzwiami, jeszcze sprzed renowacji kamienicy. Podczas prac dokonano zmian w obrębie bramy – usunięto widoczny detal sztukatorski, zastępując go nowym, który nieco odbiega wzorem od oryginału. Przeprowadzono również znaczną ingerencję w same skrzydła drzwiowe,niewykluczone, że obecnie mamy do czynienia z ich repliką.





Na przestrzeni lat, w wyniku licznych przekształceń i zaniedbań, do jakich doszło w szczecińskich kamienicach, zachowało się jedynie kilka przykładów klamek, stanowiących świadectwo oryginalnej sztuki rzemieślniczej.





al. Marszałka Józefa Piłsudskiego 17

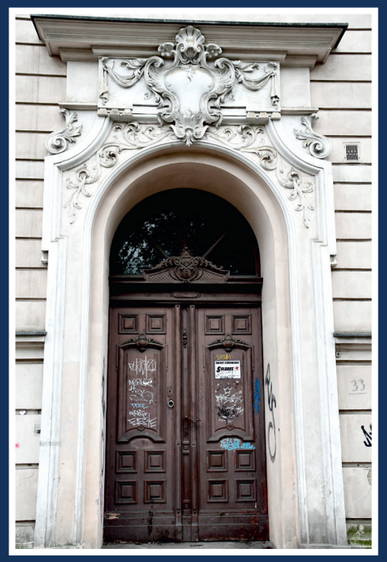

al. Papieża Jana Pawła II 12



al. Piastów 13

Portale wejściowe do szczecińskich kamienic swoim stylem nawiązywały do różnych stylów historycznych m.in. do sztuki baroku. Na szczególną uwagę zasługuje portal przy al. Piastów 13.
Wyróżnia się on owalnym okienkiem umieszczonym w wieńczącym szczycie, podkreślonym przez spływającą draperię oraz dekoracyjną wić roślinną. Nad górnym obramowaniem umieszczono feston, którego forma sprawia iluzjonistyczne wrażenie przeplecenia przez boczne pilastry.

„Prawdziwą osobliwość stanowiła sień wjazdowa posiadająca bardzo lichą podłogę, ale za to bardzo ładne krajobrazy na ścianach. Było tam tyle wzgórz, lasów, skał i potoków, że mieszkańcy domu śmiało mogli nie wyjeżdżać na letnie mieszkania” **– fragment powieści „Lalka” Bolesława Prusa**



Przez duże otwarte drzwi

Drzwi mogą być przeszkodą albo zaproszeniem. Można je forsować albo w nie zapukać.

Przez uchylone - przenika światło albo ludzkie spojrzenie.

Drzwi to granica.

W stettińskich kamienicach – za dnia drzwi pozostawały otwarte, podkreślając gościnność i dostępność, nocą zaś – zamknięte – chroniły mieszkańców przed niepożądanymi gośćmi. Dziś, wejście do kamienicy, a także na klatkę schodową, dostępne są tylko dla lokatorów.

Do kamienic prowadziły wysokie, drewniane wrota bramne. Narożne budynki miały dodatkowe kameralne wejście do sieni, usytuowane w jego bocznym skrzydle. Drzwi te osadzano w półkolistym lub płasko zamkniętym otworze i zazwyczaj miały one formę dwuskrzydłowej konstrukcji ramowo-płycinowej. Niekiedy w głównych wrotach montowano dodatkową furtkę, ułatwiającą mieszkańcom ich codzienne użytkowanie.

Skrzydła drzwi – w zależności od gustu właściciela – mogły być pełne lub wzbogacone o prześwity, przez które sączyło się światło dnia, rozjaśniając wysokie, niekiedy posępne sienie. Jednak to nadświetle, umieszczone wysoko, nad bramą, było prawdziwym źródłem światła i blasku – misternie zaprojektowane można porównać do ostatniego spojrzenia w lustro przed wyjściem na wielki bal.

Snycerskie zdobienia zawierały pełen repertuar detali i ornamentów. Płyciny często przybierały formę rautów – kształtem przypominających szlifowany diament. Skrzydła bram flankowano pilastrami, lizenami i półkolumnami, które podtrzymywały ozdobne gzymsy lub trójkątne naczółki – pełne lub przerwane. Popularne były również motywy wolutowe, okuciowe czy wstęgowe oraz stylizowane ornamenty roślinne.

W **nadświetlach** oraz **prześwitach** skrzydeł bramnych stosowano również metaloplastykę – gięte kraty, o misternych kształtach, formowane przez mistrzów ślusarstwa i kowalstwa artystycznego. Występowały zarówno gęste, ochronne siatki, jak i finezyjne kompozycje z wijących się esownic, oplotów roślinnych i kwiatowych ornamentów. Urok tych form potęgowały barwne witraże, które rozpraszały światło, tworząc efektowne iluminacje. Nawet tylne wrota, od dziedzińca, nie pozostawały pominięte i w ich skrzydłach pojawiały się przeszklenia jako dodatkowa porcja niezbędnego światła. Nadświetla oraz drewniane profilowane belki nadproży należą do najlepiej zachowanych elementów stolarki bramnej w Szczecinie. Zazwyczaj mają formę półkolistą, z oszkloną stałą częścią, bez możliwości otwierania.

Drewno najczęściej pokrywano farbami, lakierobejcą, pokostem lub warstwą oleju. Stosowano również technikę malowania dwuwarstwowego, polegającą na nałożeniu podkładowej farby, uwydatnionej później barwionym lakierem. Istotnym elementem wykończenia była kolorystyka, obfitująca w odcienie zieleni, oliwki, brązy oraz szarości.

W bardziej ekskluzywnych realizacjach stosowano zdobniczą technikę mazerowania drewna – malowanie lub okleinowanie powierzchni w sposób odwzorowujący usłojenie szlachetniejszych gatunków drzew.

> Zachowane egzemplarze to dziś nieocenione kompendium wiedzy o ówczesnych technikach budowlanych, stolarstwie i ślusarstwie.
> W porównaniu do współczesnych wyrobów są prawdziwymi dziełami sztuki, wyróżniają się bogatym stylem, precyzyjną konstrukcją i wyjątkową estetyką. Pozostają integralną częścią kamienic, harmonijnie wpisując się w ich architektoniczny charakter.
> Stanowią nie tylko symbol minionych czasów, lecz także cenny zabytek, który bezwzględnie należy chronić.

Niestety, historyczna stolarka, pozbawiona regularnej konserwacji, w większości nie przetrwała do obecnych czasów. W miejsce utraconych bram montowano toporne wrota, pozbawione przeszklonych elementów, rażąco niedostosowane do stylu kamienicy. Takie zmiany nie tylko odbierały budynkom ich historyczne walory, ale zaburzały krajobraz architektoniczny miasta.

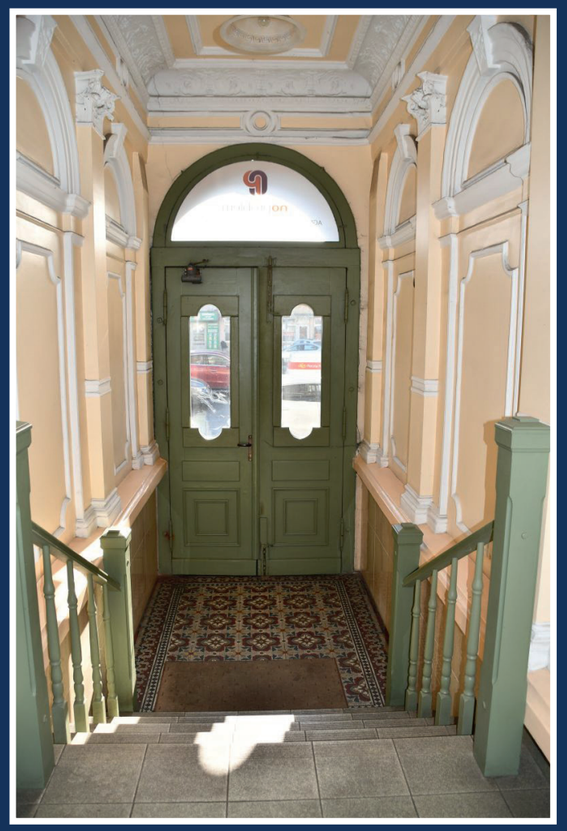

ul. Małopolska 5



al. Marszałka Józefa Piłsudskiego 7

Przykład dwóch sieni w szczecińskich kamienicach Śródmieścia. Pierwsza znajduje się przy ul. Małopolskiej 5, z wejściem od ul. Wyzwolenia – po remoncie, w trakcie którego zastosowano współczesną glazurę. Druga przy al. Piłsudskiego 7 z wejściem od ul. Mazurskiej, z ukrytymi pod warstwą farby polichromiami ze stiuku oraz marmurowymi schodami – od wielu lat czekająca na odkrycie i przywrócenie dawnego charakteru wystroju.





ul. Mazurska 26



ul. Śląska 38



al. Marszałka Józefa Piłsudskiego 19



al. Piastów 66

Na fotografiach kilka przykładów artystycznego opracowania, wśród których znajdują się naczółki z dekoracją wolutową i konchową, zwieńczoną palmetą, a także kartusz z herbem Szczecina. Poza tym zamalowana tabliczka z numerem kamienicy umieszczona w palmecie z esownicą z fantazyjnych ryb oraz motywy kwiatowe wykonane w technice metaloplastyki.



ul. Małkowskiego 29



ul. 5-Lipca 47



ul. Mazurska 20 - 2025 rok.

Interesującą kompozycję w stylistyce morskiej stanowi łódź z kadłubem pokrytym motywem rybich łusek, której towarzyszy ornament w formie liny zakończonej rybim ogonem. W sposób surrealistyczny ukazano również atrybut greckiego boga mórz, rybaków i żeglarzy – Posejdona. Jego trójząb posiada tylko jeden wyraźnie zaznaczony grot, podczas gdy dwa pozostałe zarysowują się jedynie z morskiej fali.



ul. Juliusza Słowackiego 4 - 2007 rok



ul. Wielkopolska 26 - 2007 rok.

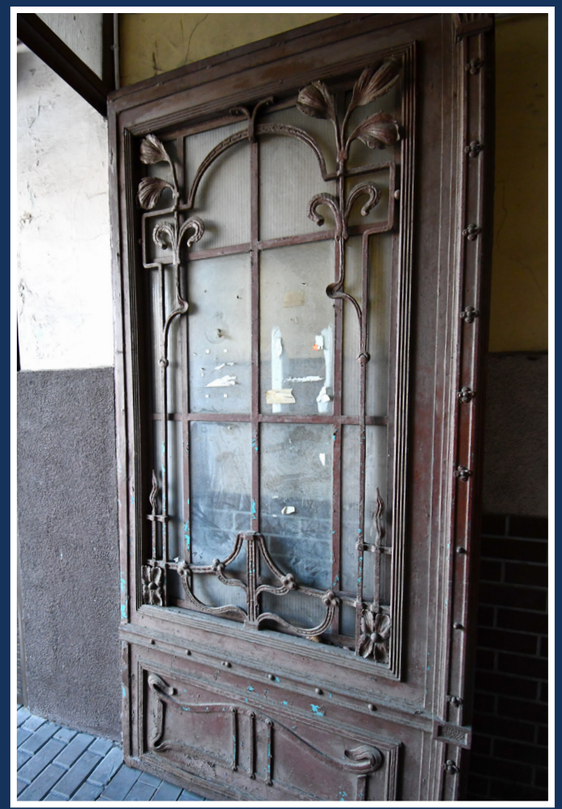

ul. Sikorskiego 3 - 2025 rok.



ul. Edmunda Bałuki 24 - 2025 rok.

Ciekawie i bogato opracowane drzwi można spotkać nie tylko w Śródmieściu, ale również w okolicznych dzielnicach. Były one projektowane przez architektów lub wybierane z wzorników.
Prezentowane przykłady to dwuskrzydłowe drzwi z prześwitem, wyróżniające się efektownym opracowaniem snycerskim oraz metalowe wrota, którym lekkości nadaje ażurowa krata z motywem falującej, secesyjnej linii dodatkowo wzbogacona dekoracją kwiatową. Niestety, są to już tylko nieliczne przykłady oryginalnej stolarki.



ul. Monte Cassino 7 - 2025 rok - witraż w nadświetlu, powstał z inicjatywy mieszkańców z szacunku do przeszłości tego miejsca.



ul. Jagiellońska 10 - 2025 rok.

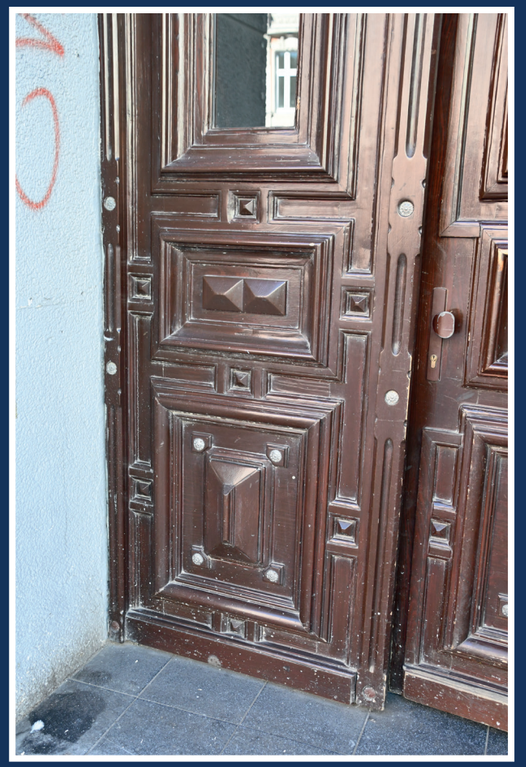

al. Wojska Polskiego 52 - 2025 rok.



ul. Małopolska 5 - 2025 rok



al. Papieża Jana Pawła II 16 - 2025 rok



ul. Monte Cassino 1 - 2025 rok.

Kilka przykładów dolnych płycin oraz cokolików wypełnionych dekoracją w postaci rombów (rauty) oraz w zdobnictwie secesyjnym. Górne partie kompozycji zwieńczone są naczółkami o zróżnicowanej formie – półkolistej, trójkątnej także przerwanej. W obrębie dekoracji można zauważyć przenikanie się form ornamentalnych charakterystycznych dla baroku, renesansu i manieryzmu – takich jak ornament okuciowy, krokstyny, esownice oraz liście akantu

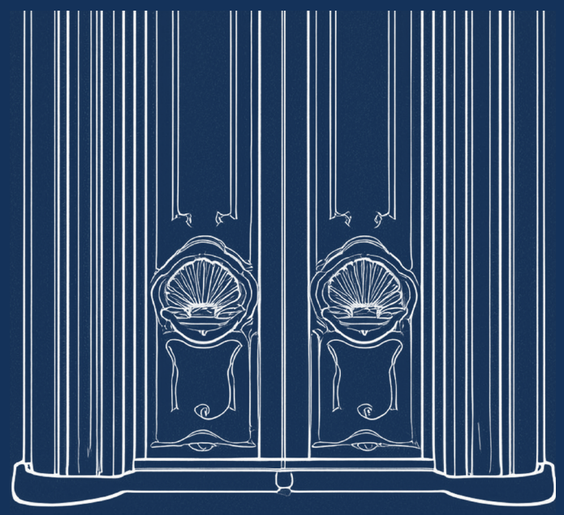

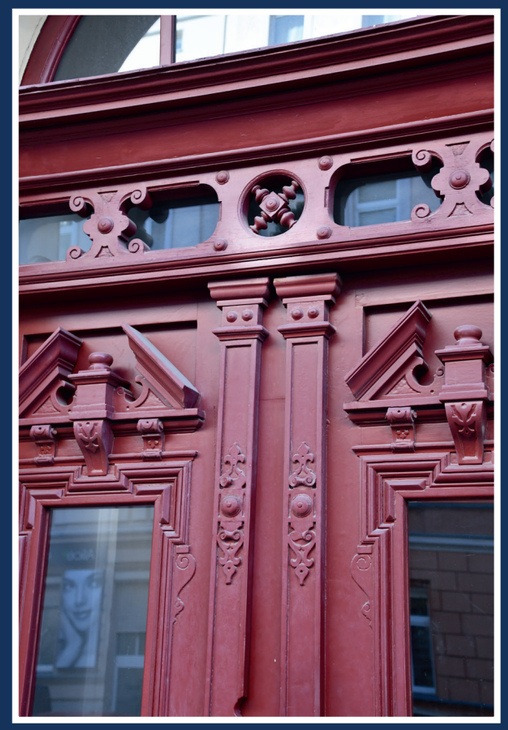

ul. Królowej Jadwigi 1 - 2025 rok.



ul. Edmunda Bałuki 24 - 2025 rok.



al. Wojska Polskiego 42 - 2025 rok.



ul. Małopolska 5 - 2025 rok



al. Piastów 13 - 2025 rok.



Fotografia przykładowego próbnika kolorów z folderu reklamowego firmy „Springer & Möller" z Lipska, z którego korzystał szczeciński mistrz malarski Walter Baaske, co potwierdza pieczątka widoczna na jednej ze stron.



ul. Małkowskiego 14 - 2025 rok.



ul. Bogusława 31 - 2005 rok.



ul. Mazurska 42 - 2005 rok.



ul. Emili Plater 8 - 2005 rok.

Fotografie wykonane w latach 2005-2025 przedstawiają kilka przykładów bram zastępczych.

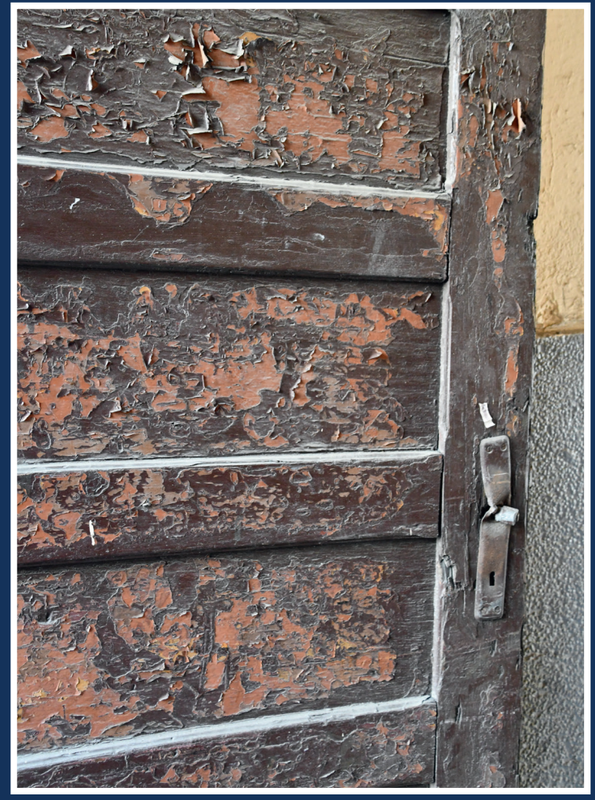

al. Wojska Polskiego 59 - 2025 rok.





Kronenhofstraße – nieistniejąca ulica (dawniejsza ul. Leszka Białego), 1910 rok. Fotografia pochodzi z prywatnych zbiorów Małgorzaty Wrzosek

W prześwicie

Przejazd bramny to niezwykle istotna przestrzeń każdej kamienicy. Od strony reprezentacyjnej dobiegał hałas ruchliwej ulicy, a od tej mniej oficjalnej – stłumione dźwięki enklawy kamienicznego podwórza. W upalne dni wysokie wnętrze bramy nasycało powietrze chłodem, a podczas deszczu wpadająca mżawka ożywiała kolory posadzki.

Zanim życie towarzyskie przeprowadziło się do Internetu, jego puls tętnił w całej kamienicy.

Stoję pośrodku pustego, zmurszałego, pełnego śmieci podwórka. Kiedy ostatni raz zajrzał tu jakiś ptak? Odwijam taśmę wspomnień. Wirują obrazy… a ja słyszę odgłosy minionych światów…

Po posadzce sunie szelest sukien wytwornych dam, a w bramie, dystyngowany pan z zakręconym wąsem i we fraku, uchyla kapelusza sąsiadowi… w jeansowej marynarce. Wybiegający z podwórka gazeciarz donośnie wykrzykując nagłówek dnia; właśnie wyminął kolportera, wciskającego już guzik domofonu:

– Ulotki roznoszę, wpuści mnie pani?

Spieszący po drewnianych schodach goniec z liścikiem niechętnie ustępuje miejsca wibrującemu dzwonkowi telefonu komórkowego.

Jeszcze słyszę, jak od ścian odbija się stukot końskich kopyt, ciągnących dorożkę, której woźnica, szpetnie zaklnie pod nosem, na widok gęstego szumu sunących ulicą samochodów...

Jeden mikrokosmos, a tak wiele różnych epok.



Bezpieczeństwo

Przepisy budowlane nakładały na inwestorów szereg wymogów związanych z bezpieczeństwem. Jednym z najważniejszych było wykonanie przejazdu bramnego z materiałów ogniotrwałych. Równie istotna była jego szerokość, ponieważ pełnił funkcję drogi pożarowej. Prześwit musiał umożliwiać swobodny przejazd wozów straży ogniowej, jak również powozów, dorożek i furmanek, codziennie wjeżdżających na podwórka. Pod koniec XIX wieku we wnętrzach bram powszechnie stosowano wąskie **bankiety** – wystające stopnie, biegnące wzdłuż przejazdu, aż do wejścia na klatkę schodową. Chroniły one ściany przed obiciami ze strony piast kół i stanowiły bezpieczny pomost w dojściu do mieszkań na parterze oraz pierwszych stopni klatki schodowej. Obecnie zachowało się niewiele przykładów tego rozwiązania, ponieważ często dochodzi do demontażu bankietów podczas przeprowadzanych remontów przejazdów bramnych.



ul. Parkowa 26 – przykład drewnianego bankietu z przejazdu bramnego - 2025 rok.

Program dekoracyjny wnętrz ściśle korespondował ze stylistyką fasady, podlegając zarówno zmieniającym się trendom, jak i zasobności portfela inwestora. W drugiej połowie XIX wieku dominowały style historyzujące – neorenesans, neobarok, neogotyk. Początkowo skromne zdobienia stopniowo nabierały rozmachu i już na przełomie XIX i XX wieku osiągnęły swoją kulminację, tworząc hybrydowe kompozycje, łączące wszystkie style z artystyczną swobodą i kreatywnością. Pierwsza dekada XX wieku to secesja i jej motywy, inspirowane naturą, symboliką i metaforą. Tuż po niej do bram wkroczył modernizm. Zrewolucjonizował budownictwo, wprowadzając nowe standardy i zrezygnował z bogatej ornamentyki dawnych stylów historycznych, na rzecz prostoty i funkcjonalności.



ul. Małopolska 3 – bankiet drewniany pokryty wieloma warstwami farby olejnej - 2025 rok.

Ponad głową

Spoglądając w górę, w przejazdach i sieniach, możemy podziwiać niezwykłą różnorodność **sklepień**. W drugiej połowie XIX wieku stosowano ceglane przekrycia, w tym neogotyckie sklepienia krzyżowo-żebrowe, ze zwornikami i stylizowanymi żebrami przypominającymi bezlistne gałązki.

Powszechnie stosowano także sklepienia o bardziej skomplikowanym wzorze, takie jak sklepienia gwiaździste oraz lżejsze w formie żaglaste, kolebkowe, odcinkowe oraz płaskie, wsparte na belkach stalowych – tzw. stropy Kleina.

Wspierały się one na gurtach półkolistych, odcinkowych lub koszowych. W przejazdach płasko przekrytych, odcinki dzielono potężnymi belkami. Część gurt urywała się na wysokości ścian, inne przechodziły płynnie w pilastry i lizeny – pojedyncze bądź zdwojone – tworząc plastyczną artykulację ścian.

Połączenie płaskiego stropu ze ścianą maskowano obficie opracowanymi gzymsami, często stopniowanymi i mocno wysuniętymi. W części cokołowej stosowano prostsze gzymsy. Całość nadawała wnętrzom monumentalną oprawę i wyrazisty charakter.

Dorodność kartuszy oraz konsolek przyciągała uwagę wyróżniającymi się motywami. Zdobiono je ornamentami wolutowymi i akantowymi. W bardziej wyszukanych aranżacjach pojawiały się także ornamenty okuciowe, imitujące żelazne okucia oraz motyw *rocaille* – asymetryczne fale morskie, stylizowane małżowiny uszne i elementy flory morskiej. W półmrocznych westybulach na wspornikach umieszczano tajemnicze kobiece głowy, barokowe putta o skrzydlatych twarzach amorków, a także groteskowe maszkarony o zdeformowanych obliczach, wyłupiastych oczach i nadętych policzkach. Te ostatnie pełniły funkcję apotropaiczną – **miały odstraszać złe duchy i chronić mieszkańców kamienicy.** Niektóre stropy wspierały pilastry hermowe, u góry zakończone muskularnymi popiersiami. Te monumentalne formy nadawały wnętrzom nieco teatralny charakter, a zarazem symbolizowały męską siłę i odwagę nieruchomych strażników domu.

Pośrodku sufitów umieszczano efektowne, mięsiste rozety, a w polach płycin, ujętych w dekoracyjne obramowania, wkomponowywano barwne polichromie. Stosowano przedstawienia iluzjonistyczne, zawierające motywy roślinne, arabeski bądź groteski.

Kilka przykładów sklepień kolebkowych, krzyżowych, żaglastych w szczecińskich przejazdach bramnych.
Fotografie wykonano w latach 2005 – 2025.



ul. Monte Cassino 7 – sklepienie kolebkowe na gurtach – 2005 rok.



ul. Bolesława Krzywoustego 57 sklepienie krzyżowe – 2005 rok.



al. Piastów 4 – sklepienie krzyżowe wsparte na gurtach – 2005 rok.



al. Piastów 9 – sklepienie krzyżowe ze zwornikami – 2025 rok.



al. Wojska Polskiego 44 – sklepienie żaglaste wsparte na gurtach – 2025 rok.



al. Wojska Polskiego 63 – sklepienie gwiaździste – 2025 rok.

Na stronie obok:
Przykłady dekoracji stiukowych na stropach i fasetach. Występują gzymsy okalające sufit z zastosowanymi ornamentami: kostkowym czy palmety, niekiedy przerywany przez wolutowe wsporniki lub kartusze. Jednym z efektowniejszych przykładów jest zachowany owalny plafon z efektowną dekoracją sztukatorską i malowidłem z motywem roślinnym. Poza tym prezentowane są przykłady stropów kasetonowych.
Fotografie wykonano w latach 2005-2025.



ul. Jagiellońska 1 - 2005 rok.



ul. Malczewskiego 34 - 2005 rok.



ul. Pocztowa 34 - 2005 rok.



ul. Kaszubska 12, 12a -2025 rok

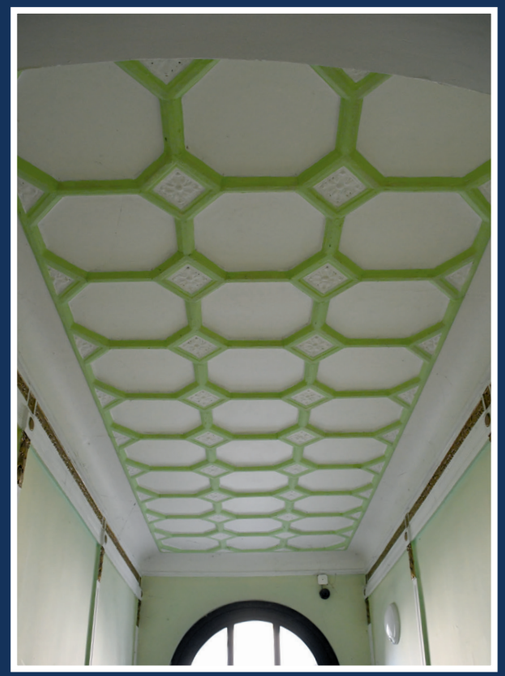

ul. Bolesława Śmiałego 4 -2025 rok.

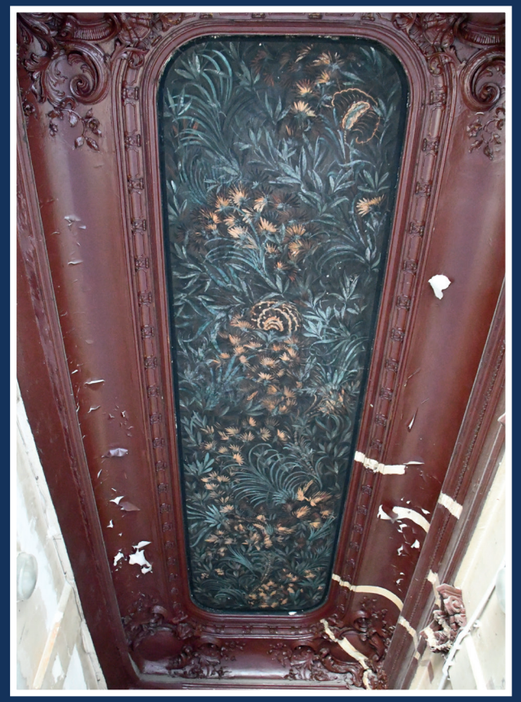

al. Marszałka Piłsudskiego 7 - 2025 rok



ul. Generała Ludomiła Rayskiego 16 - 2005 rok.



al. Piastów 4 - 2005 rok.



ul. Ściegiennego 2 - 2005 rok.



ul. Jagiellońska 80 - 2005 rok.

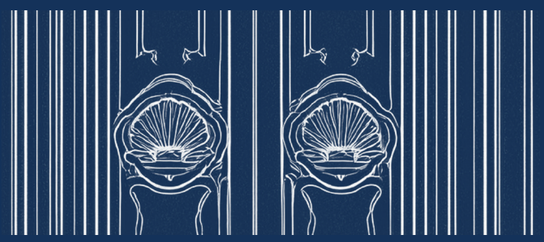

Na szczególną uwagę zasługują mocno zaakcentowane ściany przejazdów bramnych. Ich artykulację tworzą masywne, zdwojone pilastry wspierające gzyms. Pomiędzy pilastrami umieszczono arkadowe wnęki z dekoracyjnymi zwornikami – przykład fotografia nr 1.

Kolejny przykład rozczłonkowania ściany ukazuje pilastry wyprowadzone z wydatnego gzymsu cokołowego, usytuowanego na wysokości jednej czwartej ściany. Pilastry te podpierają gurty, zdobione fantazyjnymi przedstawieniami uskrzydlonych smoków. Całość uzupełnia szeroki fryz z motywem wici roślinnej – przykład fotografia nr 2.

Detale sztukatorskie oraz rozety sufitowe.



ul. Bolesława Krzywoustego 2



ul. Mazurska 28



ul. Małopolska 59



ul. Pocztowa 34 – pilaster z kanelowanym trzonem - 2005 rok.



al. Papieża Jana Pawła II – dekoracyjnie opracowany kartusz z rogami obfitości - 2005 rok.



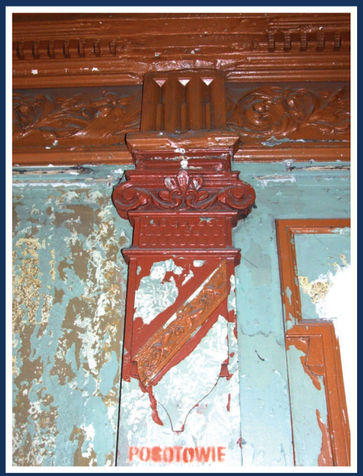

ul. Jagiellońska 1 – fragment pilastra z kartuszem herbowym - 2005 rok.



al. Piastów 60 – lizena z głową lwa - 2005 rok.

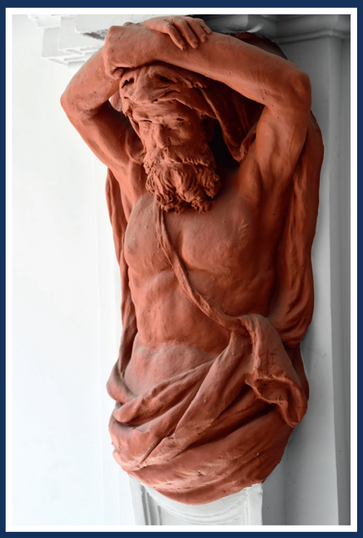

ul. Bolesława Krzywoustego 15 – pilaster hermowy



ul. Monte Cassino 36 – konsola z dekoracyjnie opracowanym kartuszem - 2005 rok.



ul. Zawiszy Czarnego – Tondo – scenka rodzajowa. 2005 rok.

Z widokiem na ścianę

Kamieniczny westybul – jako reprezentacyjna przestrzeń – wymagał wysokiego standardu wykończenia z wykorzystaniem materiałów najlepszej jakości. W XIX i XX wieku dużą popularnością cieszyły się polerowane okładziny ścienne, wykonane z barwionych w masie **stiuków** – szlachetnego tynku dekoracyjnego, powstającego z mieszaniny gipsu i kleju. Stiuki doskonale imitowały szlachetne kamienie, stanowiąc tańszą alternatywę dla marmuru.

Najbardziej ekskluzywnym wykończeniem były **okładziny marmurowe**, stosowane głównie w kamienicach przy reprezentacyjnych promenadach. Na taki luksus pozwalali sobie najzamożniejsi właściciele. Inwestując w podwyższony standard wykończenia liczyli na dochodowy wynajem dla zamożnych lokatorów. Stosowano również odporne na uszkodzenia okładziny lastrykowe, szczególnie w dolnych partiach ścian, gdzie tworzyły one elegancką lamperię o aksamitnej fakturze i subtelnym połysku.

Ściany pokrywały wielobarwne **polichromie** – przyrodnicze pejzaże oraz kompozycje roślinne bądź figuralne, umieszczone w ramowych płycinach, przypominające wielkoformatowe obrazy. Umiejętne operowanie kolorem nadawało im iluzjonistyczny charakter, pozwalając optycznie powiększać lub pomniejszać przestrzeń, wydobywając jej głębię i dynamikę. Przedstawienia malarskie mogły też wpływać na ich interpretację oraz przekaz emocji i głębszych treści. Tynki dekorowano malarskimi ornamentami, do których najczęściej wykorzystywano szablony, a lamperię wyodrębniano ciemnym pasem bordiury.

Przy tworzeniu dekoracji malarskich często sięgano po fachową literaturę oraz specjalistyczne czasopisma francuskie i niemieckie takie jak *Deutsches Maler-Journal czy Dekorativ Vorbilder* zawierające wzory i szablony, porady z zakresu dostępnych materiałów jak i spraw technicznych. Malarze-dekoratorzy niejednokrotnie odznaczali się wyjątkowym talentem.

Dwadzieścia lat temu, podczas mojej wędrówki po tych wnętrzach, natrafiałam na pozostałości malarskie ukryte pod wtórnymi warstwami farby i tynku. Ukazywały one ślady dawnej świetności tych miejsc.

Czy dziś można je jeszcze zobaczyć?



al. Papieża Jana Pawła 41 – okładzina marmurowa pod powłoką farby – 2005 rok.



al. Papieża Jana Pawła 41 – okładzina marmurowa po renowacji – 2025 rok.

W jednej ze szczecińskich kamienic przy alei Papieża Jana Pawła II, według relacji jednego z lokatorów, spod warstw wtórnych nawarstwień odsłonięto oryginalną okładzinę marmurową, którą następnie poddano pracom konserwatorsko-restauracyjnym. Fot. 1. 2005 rok – stan przed i Fot.1a. – po renowacji 2025 rok.

Pozostałe fotografie dokumentują mocno zaniedbany przejazd bramny, w całości pokryty barwionym stiukiem imitującym marmur. Pomimo wysokiej wartości artystycznej i historycznej tego wystroju sztukatorskiego, od dwudziestu lat nie podjęto żadnych działań konserwatorskich, co przyczyniło się do postępującej degradacji warstw dekoracyjnych.



ul. Papieża Jana Pawła II (wejście od ul. Śląskiej) – stiuk – lamperia. 2025 rok.



ul. Śląska 42 – stiuk – fragment ściany – 2025 rok.



ul. Papieża Jana Pawła II (wejście od ul. Śląskiej) – stiuk – lamperia. 2025 rok.– stiuk barwiony w masie jako imitacja marmuru- 2025 rok.

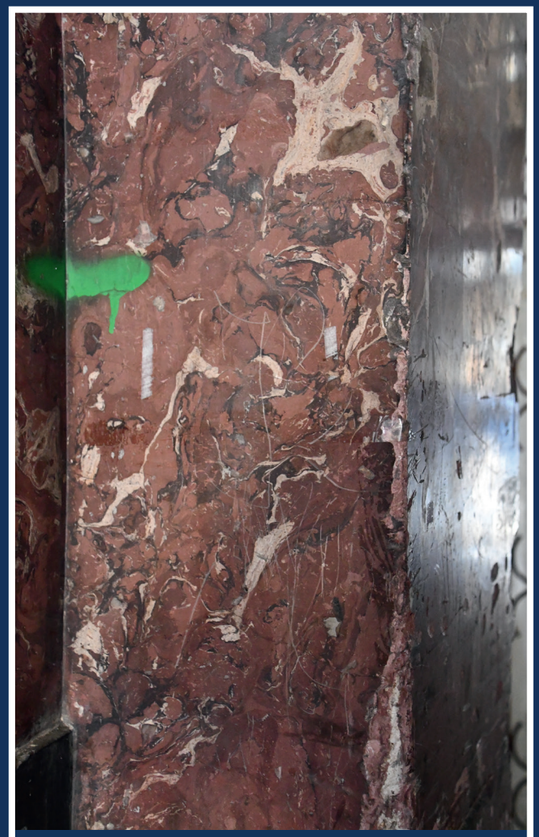

ul. Papieża Jana Pawła II (wejście od ul. Śląskiej) – stiuk – Filar – 2025 rok.

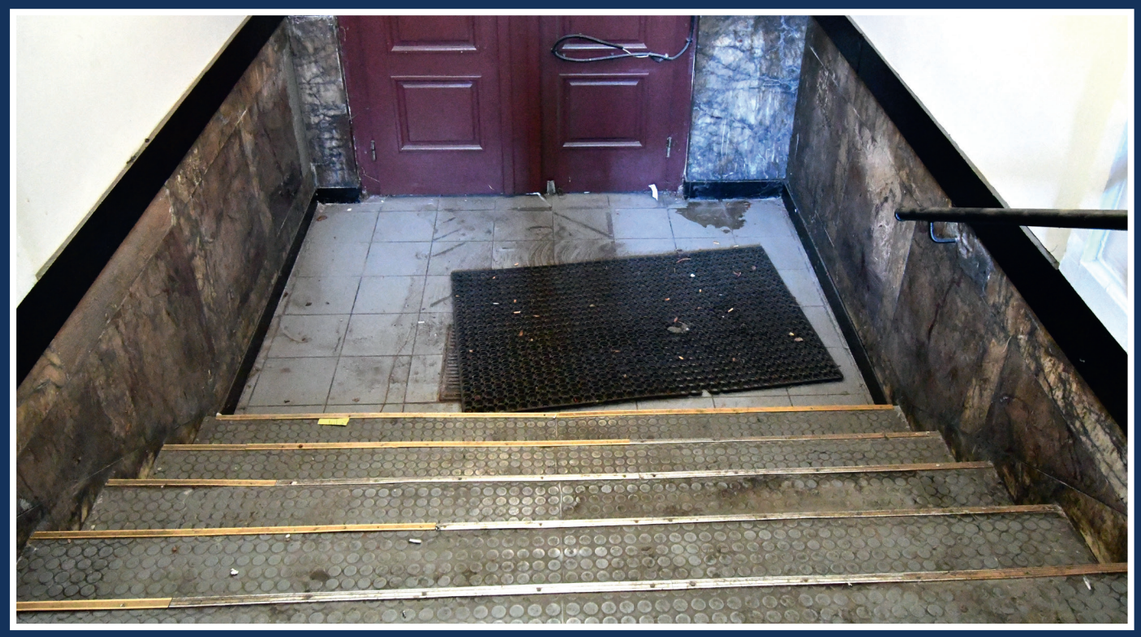

al. Piastów 13 – zniszczona okładzina marmurowa.

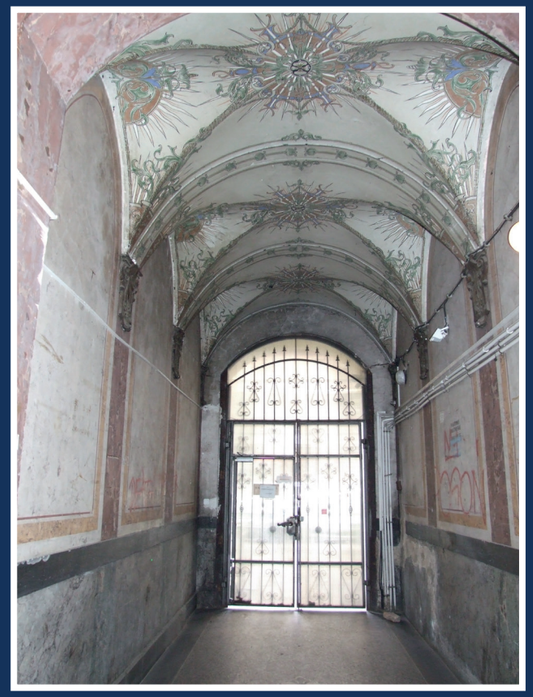

ul. Ślaska 42 – wnętrze przejazdu bramnego ze sklepieniem krzyżowym pokrytym piękną polichromią. Stan na rok 2005.





ul. Papieża Jana Pawła II (wejście od ul. Śląskiej) – sklepienie krzyżowe z barwną polichromią - fragment. Stan na 2025 rok.

Wielobarwne polichromie i dekoracje malarskie jako dekoracja stropów.

Wielobarwne polichromie i dekoracje malarskie jako dekoracja stropów.



ul. Papieża Jana Pawła II (wejście od ul. Śląskiej) – panorama na sklepienie z barwną polichromią - stan na 2025 rok.



ul. Kaszubska 12 – w przejeździe bramnym udokumentowałam na fotografii malowidła ścienne, dobrze widoczne spod łuszczącej się farby.



ul. Kaszubska 12– stan po remoncie w 2025 roku. Podczas remontu zniszczono zabytkowe malowidła ścienne.



ul. Kaszubska 12 – malowidła ścienne - fragmenty. Stan na rok 2005.



ul. Małopolska 58 – fragmenty malowideł ściennych - rok 2005.



ul. Małopolska 58 – fragment ściany po remoncie - 2025 rok.





Wielobarwne polichromie i dekoracje malarskie jako wystrój ścian . Dokumentacja fotograficzna ukazuje wiele poważnych zaniedbań z zakresu ochrony dziedzictwa, w tym rażące uchybienia ze strony słżb konserwatorskich. W ciągu ostatnich dwóch dekad, co najmniej kilka przejazdów bramnych zostało pozbawionych malowideł ściennych w wyniku nieodpowiednio przeprowadzonych prac remontowych, realizowanych bez należytego nadzoru konserwatorskiego.

ul. Małopolska 58 – fragment ściany przejazdu bramnego



al. Piastów 70 – fragment ściany z malowidłem ściennym - 2005 rok



ul. Edmunda Bałuki 21 – odrestaurowana ściana przejazdu bramnego - 2025 rok.



al. Piastów 70 – fragment malowidła ściennego - 2005 rok.

Odrestaurowano dwa przejazdy bramne oraz sień przy ulicy Edmunda Bałuki 21 oraz ulicy Marszałka Józefa Piłsudskiego 7. Pozostałe polichromie, ukryte pod powloką farb, czekają na swój nieuchronny koniec.



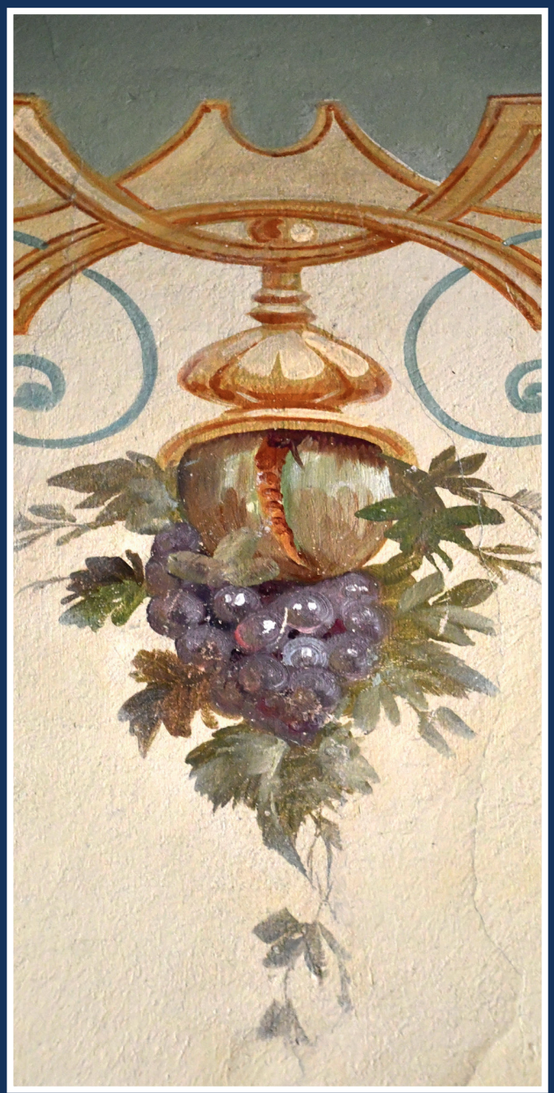

ul. Edmunda Bałuki 21 – fragment malowidła ściennego - 2025 rok.

W bardziej wyszukanych aranżacjach stosowano **płytki ceramiczne**. W zależności od gustu i charakteru przestrzeni mogły być one jednobarwne, zwieńczone gzymsem lub fryzem w jaśniejszym odcieniu, często zdobione subtelnym motywem kwiatowym lub geometrycznym. Tego rodzaju rozwiązania były popularne w Szczecinie. Droższe, wielobarwne kompozycje – jak, wspomniana w pierwszej części felietonu glazura w kamienicy przy ulicy Mazurskiej – należały jednak do rzadkości.

Drewniane boazerie – dziś często kojarzone z okresem PRL-u – w przeszłości pełniły funkcję zarówno dekoracyjną, jak i ochronną, zabezpieczając lamperię w sieniach oraz przejazdach bramnych.

Układano je w dwóch wariantach: w postaci pionowych listew z delikatnym żłobkowaniem na krawędziach oraz w tzw. stylu angielskim, wywodzącym się z XVIII-wiecznych rezydencji arystokratycznych.

Ten drugi wariant składał się z gotowych paneli o dekoracyjnej, płycinowej formie, zwieńczonych ozdobną listwą lub gzymsem. Najczęściej malowano je w kolorze dopasowanym do pozostałych elementów stolarki budynku.

W Szczecinie, z uwagi na nietrwałość materiałów i brak odpowiedniej konserwacji, zachowało się zaledwie kilka przykładów tego typu wykończenia.

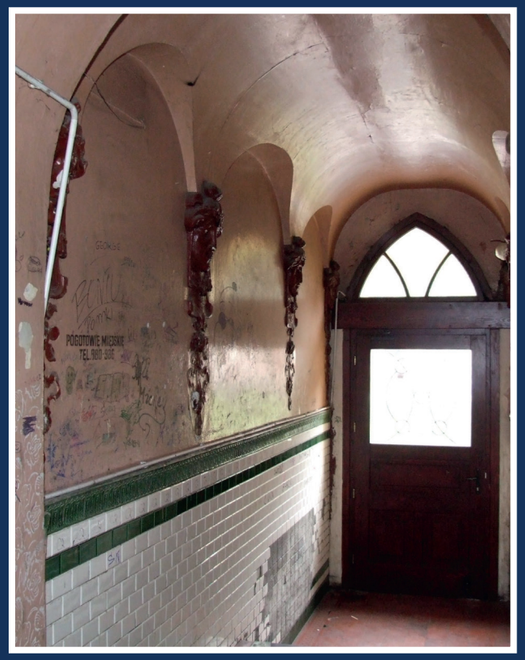

ul. Bolesława Krzywoustego 54 – ceramiczna okładzina ścienna złożona z białych, szkliwionych płytek z zielonym pasem bordiury oraz gzymsem z reliefowym ornamentem roślinnym. 2005 rok.



ul. Bolesława Krzywoustego 54 – fragment glazury ściennej z reliefowym ornamentem roślinnym - 2005 rok.

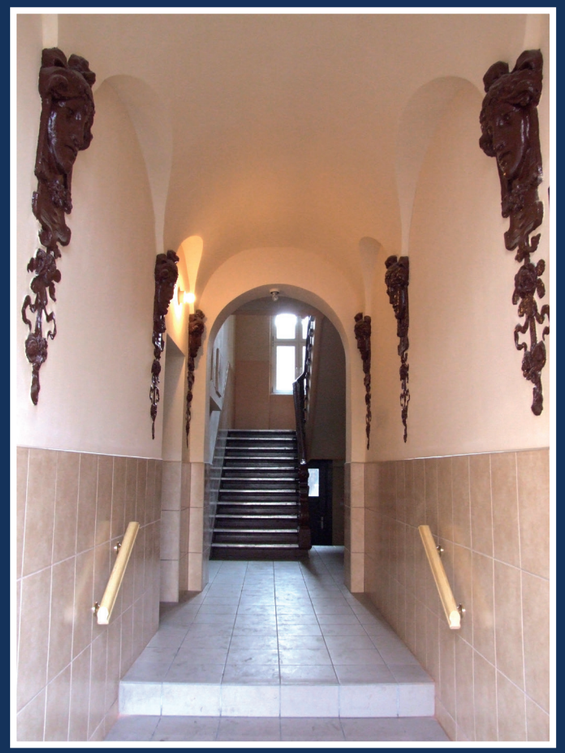

ul. Bolesława Krzywoustego 54 – widok na wnętrze sieni. Stan po remoncie, po usunięciu zabytkowej glazury -2009 rok.

W 2005 roku udało się udokumentować oryginalną glazurę ścienną w sieni kamienicy przy ul. Bolesława Krzywoustego 54. Wkrótce po tym zrealizowano planowany remont, w trakcie którego okładzina została całkowicie usunięta. Zastąpiono ja współczesnym materiałem – niskiej jakości glazurą pochodzącą z ogólnodostępnych sieci handlowych, pozbawioną walorów estetycznych.

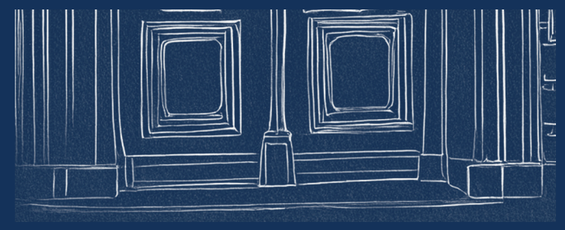



ul. Królowej Jadwigi 44 – stan po remoncie i usunięciu zabytkowej okładziny ściennej. 2025 rok.



ul. Królowej Jadwigi 44 – fragment okładziny ściennej pokrytej olejną farbą. Stan na rok 2005.

Mimo iż zabytkowego wystroju nie powinno się niszczyć, to podobna sytuacja miała miejsce w przejeździe bramnym kamienicy przy ul. Królowej Jadwigi 44. Zachowana oryginalna glazura została na przestrzeni ostatnich dziesięcioleci pokryta grubą warstwą farby olejnej. Niestety, nie zdecydowano się na jej oczyszczenie i wyeksponowanie – choćby we fragmencie – w nowej aranżacji pomieszczenia bramnego.

Okładziny ceramiczne zachowane:



ul. Jana Żupańskiego 8a – okładzina ceramiczna, szkliwiona z motywem konwalii- 2025 rok.



ul. Jana Żupańskiego 9 – fragment okładziny ściennej, składającej się z cieniowanych płytek ze wzorem kasetonowym i umieszczoną pośrodku pomarańczową wypustką.



ul. Jana Żupańskiego 8a – stan zachowania na 2025 rok.



ul. Swarożyca 1 – motyw pejzażu z łódką.



ul. św Wojciecha 1 - -glazurowane płytki ścienne białe i zielone, z wypukłym motywem roślinnym umieszczonym w gzymsiku.



ul. Parkowa 1 – ściana przejazdu bramnego z widokiem na ceramikę, z motywem geometrycznym, malowanym - 2025 rok.



ul. Swarożyca 6 – błękitno- szare, szkliwione kafelki z motywem roślinno-geometrycznym.





ul. Mazurska 42 – przejazd bramny z boazerią drewnianą, ścienną -2025 rok.



ul. Mazurska 42 – boazeria – detal - 2025 rok

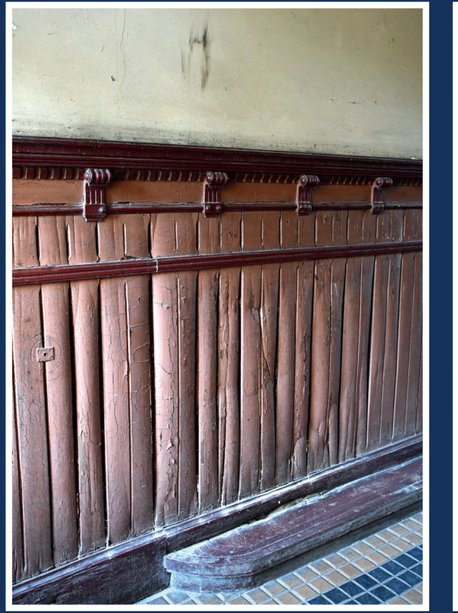

ul. Mazurska 42 – fragment uszkodzonej boazerii - 2025 rok.



ul. Marszałka Józefa Piłsudskiego 15 – boazeria w przejeździe bramnym. 2025 rok.

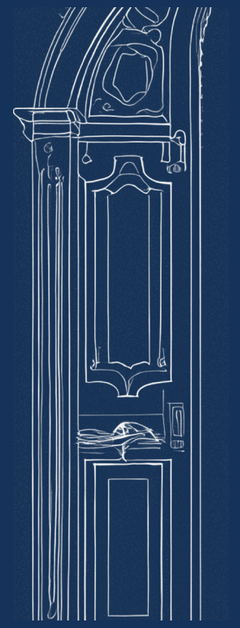



ul. Marszałka Józefa Piłsudskiego 15 – boazeria-detal. 2025 rok.



ul. Marszałka Józefa Piłsudskiego 37 – boazeria w sieni. 2025 rok.

Drewniane boazerie wymagają szczególnej uwagi oraz systematycznych zabiegów konserwatorskich ze względu na warunki w jakich się znajdują. Przykładem problemów wynikających z ich zaniedbania jest boazeria w kamienicy przy ulicy Mazurskiej 42, gdzie jej część została zaatakowana przez wilgoć. Świadczy o tym spęcznienie powierzchni oraz rozwarstwienie materiału. Długotrwałe zawilgocenie prowadzi do degradacji struktury drewna, a w przypadku braku niezwłocznych działań zabezpieczających istnieje realne ryzyko całkowitego zniszczenia niektórych fragmentów.

> Kolorystyka malowanych wnętrz przejazdów bramnych i sieni obejmowała zarówno głębokie, intensywne odcienie, nadające przestrzeniom dynamikę i energię, jak i pastelowe barwy, które dzięki swojej miękkości i subtelności, łagodziły monumentalny charakter przejazdów bramnych, przemieniając je w kameralne, pałacowe salony.

Wydeptane butami czasu

Posadzki – ukryte w patynie brudu, często umykają naszej uwadze. A przecież te efektowne realizacje stanowiły końcowy akcent i dopełnienie kamienicznych wnętrz. Ich wytrzymałość, twardość i odporność na ścieranie były testowane przez niezliczone pary butów. Przejeżdżały po nich wozy dostarczające węgiel czy kartofle, a także powozy i dorożki, zmierzające do wozowni usytuowanych w podwórkach. Kolejne pokolenia mieszkańców pozostawiały na ich powierzchni ślady codziennych historii. A posadzki, dzięki swoim nadzwyczajnym właściwościom, przetrwały ogromne obciążenia i dotrwały do naszych czasów.

Rozwój wzornictwa oraz technologii produkcji umożliwiał tworzenie ornamentów o niezwykłym bogactwie deseni. Stosowano także różne techniki wykończenia powierzchni – od gładkich, przez reliefowe, aż po spękane mozaiki.

Ich kształty były klasyczne, najczęściej kwadratowe, choć chętnie sięgano także po formy oktagonalne. Motywy czerpano z dawnych epok, często z akcentami stylów mauretańskich, rzymskich czy greckich, wypełnione były misternymi motywami.

Najczęściej układano je na wzór barwnych dalekowschodnich kobierców, a użyte wzornictwo podkreślano ramą z bordiury.

Głównym motywem zdobniczym była rozeta, składająca się z jednej lub czterech płytek, tworzących zamkniętą, otwartą lub półotwartą kompozycję, łączoną z kolejnymi płytkami w spójną całość. Równie efektownie wyglądały dwubarwne zestawienia jasnych i ciemnych odcieni w naprzemiennych układach. Ten typ posadzek utrzymywał się w modzie przez dziesięciolecia.

Posadzki lastrykowe cieszyły się większą popularnością ze względu na niższą cenę oraz odporność na uszkodzenia i zmienne warunki atmosferyczne. Tzw. ***terrazzo*** produkowano z mieszaniny cementu, grysu składającego się z marmuru, bazaltu i granitu oraz wody i barwników.

W tego typu realizacjach dominowały trzy kolory. Standardowo wykładzina posadzkowa barwiona była na szaro, z czarną bordiurą i wielobarwną **rozetą,** gwiazdą lub różą wiatrów w centralnej części kompozycji.

Zastosowanie dekoracji ceramicznej – zarówno ściennej, jak i posadzkowej – nie tylko podkreślało wystrój wnętrza, ale także dodawało mu prestiżu, świadcząc o aspiracjach i wyczuciu smaku właściciela. Jednocześnie takie rozwiązania były niezwykle funkcjonalne i łatwe w utrzymaniu, a ich trwałość sprawiła, że zmieniające się mody i gusta nie były w stanie ich zdeklasować. Kompozycje tych posadzek nadawały wnętrzom głębię i ciepło, tworząc przyjemną atmosferę domowego zacisza.

Dziś rzadko spotykane, metalowe **płozy** montowane w posadzkach wyznaczały tor dla kół z metalowymi obręczami, chroniąc powierzchnię posadzki przed uszkodzeniami. Niestety, to kolejny unikatowy element, który podczas wymiany posadzek często bywa bezmyślnie usuwany.



ul. Zawiszy Czarnego 2 – posadzka z geometrycznym wzorem rombów, tworząca iluzję trójwymiarowości. 2007 rok



ul. Andrzeja Małkowskiego 21 – Posadzka **terrazzo**, *wyróżniająca się nietypowym wzorem w „kratkę", stanowi jedno z nielicznych tego rodzaju rozwiązań w szczecińskich przejazdach bramnych.*



al. Wojska Polskiego 61 – oktagonalna posadzka zastosowana w sieni klatki schodowej w oficynie.

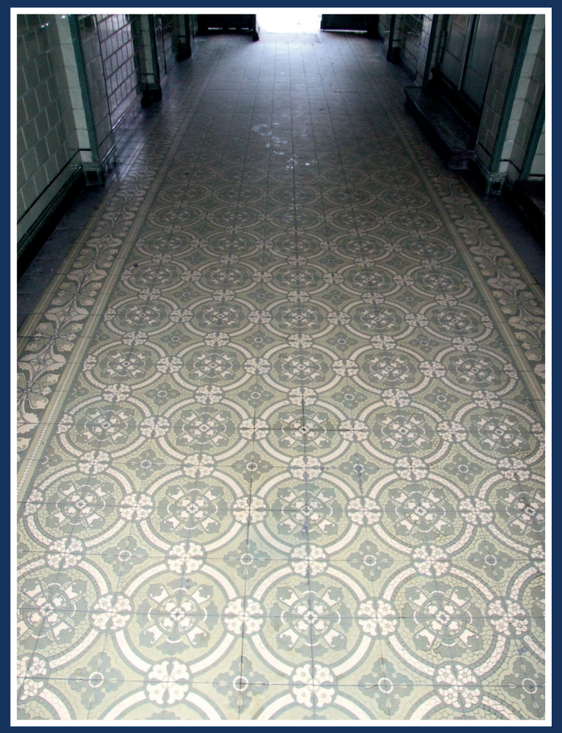

ul. św. Wojciecha 1 – mozaika w pastelowych odcieniach oliwki. 2007 rok.

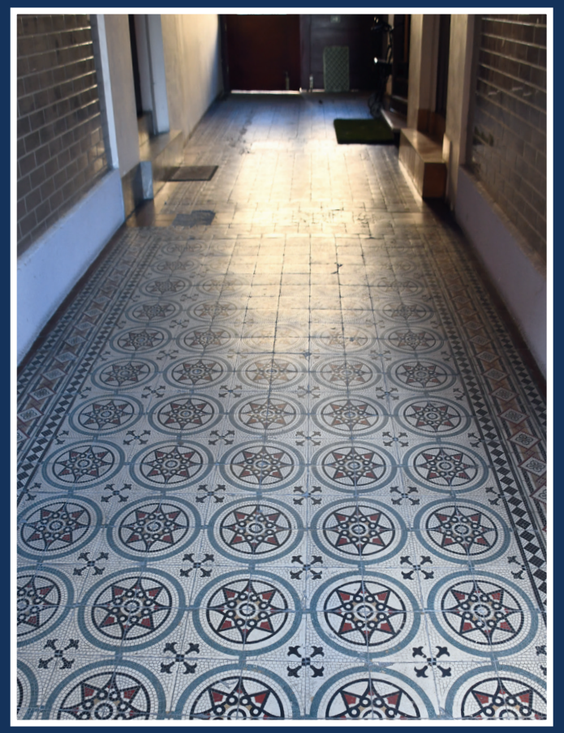

ul. Jagiellońska 2 – ornamentalna „spękana" posadzka z ośmioramienną gwiazdą wpisaną w błękitne, białe i czarne okręgi.



al. Piastów 44 – wielobarwna posadzka o fakturze spękanej mozaiki.- 2005 rok.

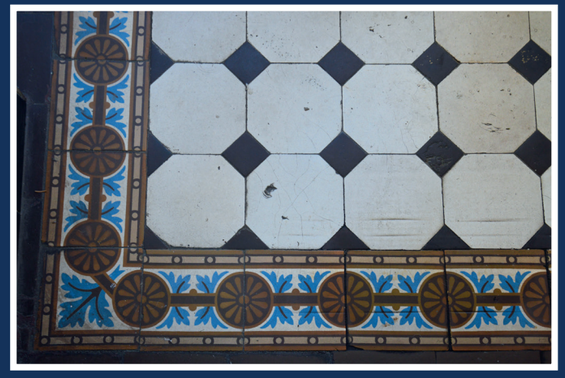

ul. Bolesława Śmiałego 11 – we wnętrzu użyto posadzki w białe oktagony z czarnymi małymi kwadratami oraz z kontrastującą bordiurą.



ul. Bolesława Śmiałego 4 - zachowana posadzka mozaikowa w sieni wejściowej.



ul. Bolesława Śmiałego 17 – posadzka złożona z powtarzalnego wzoru czteropłytkowego, wykonana w jasnym odcieniu szaro-błękitnym, z elementami w kolorze bordowym.

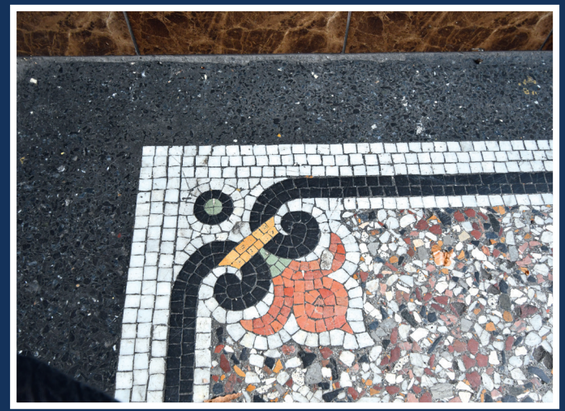

ul. Marszałka Józefa Piłsudskiego 19 – fragment posadzki lastrikowej, gruboziarnistej z zastosowanym motywem lilijki w obramieniu.



ul. Jagiellońska 92 – oktagonalne płytki z biało-błękitnym obramieniem, w narożnikach z małymi brązowymi płytkami w kształcie czterolistka.



Podczas remontów przejazdów bramnych wielokrotnie dochodziło do demontażu zabytkowych posadzek. Są mało atrakcyjne jak twierdzą sami mieszkańcy. W innych przypadkach uległy zniszczeniu na skutek zwiększonego przejazdu samochodów do podwórek. Piękne wielobarwne posadzki mają znacznie większe szanse na przetrwanie w niewielkich, kameralnych sieniach, gdzie są częściowo ukryte pod wycieraczkami.











ul. Adama Mickiewicza 24 – przejazd bramny z płozami. 2025 rok.



al. Piastów 13 – przejazd bramny z zachowanymi płozami w posadzce. 2025 rok.

Interesujące rozwiązanie ochrony posadzek przed uszkodzeniami spowodowanymi przez koła pojazdów, stosowane niegdyś w przedwojennym Szczecinie nie przetrwało współczesnych remontów. W ostatnich latach usunięto płozy podczas wymiany posadzki w przejeździe bramnym przy ulicy Andrzeja Małkowskiego 14. Odmienny przypadek odnotowałam w kamienicy przy ulicy Bolesława Śmiałego 5, gdzie podczas prac remontowych zachowano oryginalną posadzkę wraz z płozami, jednak zlikwidowano kamienne okładziny ścienne. Zestawienie stanu zachowania ilustruje dokumentacja fotograficzna z lat 2005 i 2025 .



ul. Bolesława Śmiałego 5 – fotografia pochodzi z 2005 roku, na której oprócz płóz widać ładny strop kasetonowy oraz okładzinę kamienną ścianie przejazdu.



ul. Bolesława Śmiałego 5- przejazd po remoncie – 2025 rok

„Wokulski mimochodem spojrzał w klatkę głównych schodów, do których prowadziły szklane drzwi. Schody zdawały się być mocno brudnymi; za to obok znajdowała się nisza, a w niej – nimfa z dzbankiem na głowie i utrąconym nosem. Ponieważ dzbanek miał zabarwienie amarantowe, twarz nimfy żółte, piersi zielone, a nogi niebieskie, można było odgadnąć, że nimfa stoi naprzeciw okna posiadającego kolorowe szyby."
– Bolesław Prus, „Lalka"

Koniec części pierwszej

Post Scriptum

W numerze trzecim TVSiódemki, w tekście „Dobijanie dziedzictwa", wprowadzającym problematykę ochrony szczecińskich kamienic, ich bezpowrotnie ginącego wystroju, opowiedziałam Państwu o potrzebie ratunkowych działań konserwatorskich wobec wystroju bramy przy ulicy Mazurskiej.
Nawiązałam współpracę z Administracją AGBiL ale przede wszystkim 18 lutego 2025 roku skierowałam pierwszy list do Miejskiego Konserwatora Zabytków, pana Michała Dębowskiego, w którym poinformowałam o dewastacji zabytkowej glazury w jednej z kamienic przy ulicy Mazurskiej. Zwróciłam się z zapelem o podjęcie skuteczniejszych działań w celu ochrony wystroju bramy.
Wyraziłam również zaniepokojenie brakiem nadzoru nad remontami przejazdów bramnych oraz sieni, podczas których często dochodzi do ingerencji w substancję zabytkową.
W liście postawiłam także kilka istotnych pytań, m.in. o to, czy miasto planuje wdrożenie programu mającego na celu podnoszenie świadomości mieszkańców na temat odpowiedzialności, jaka na nas wszystkich spoczywa w kontekście ochrony dziedzictwa kulturowego. Temat ten wydaje się dziś szczególnie aktualny – wystarczy przejść się ulicami Szczecina, aby zrozumieć skalę problemu. Ale o tym w kolejnym odcinku.
Odpowiedź nie nadchodziła.

Ponowiliśmy pytania.
Pan Dębowski przyznał, że moja wiadomość „umknęła w morzu innych urzędowych listów".
Tak, rzeczywiście – mogłam pójść na dno...szuflady. Zwłaszcza, że nie umiem pływać.
3 marca przekazałam sprawę do pana Dariusza Sadowskiego, rzecznika prasowego szczecińskiego magistratu.
Niestety, także ta korespondencja pozostaje bez odpowiedzi. Dlaczego zostałam zlekceważona?

Przypomnę, że zgodnie z ustawą z dnia 26 stycznia 1984 – Prawo prasowe - „Organy państwowe, przedsiębiorstwa państwowe inne państwowe jednostki organizacyjne oraz organizacje społeczne są obowiązane do udzielenia odpowiedzi na przekazaną im krytykę prasową bez zbędnej zwłoki, nie później jednak niż w ciągu miesiąca."

Zbliża się symboliczna data – 26 kwietnia, dzień, w którym rozpoczniemy pisać nowy, 81 rozdział dziejów naszego miasta. Sądziłam, że pierwsze zdania pochodzić będą od Miejskiego Konserwatora Zabytków. Prawda, że pan nas i swojego miasta nie zawiedzie?

Słowniczek pojęć architektonicznych

Akant – element dekoracyjny w formie stylizowanego liścia. Stosowany już od starożytności i w różnych formach jako akant suchy, mięsisty lub płomienisty.
Arabeska – ornament w formie motywów roślinnych lub geometrycznych wzbogacony dodatkowymi elementami jak: owoce, części uzbrojenia, postacie ludzkie.
Esownica – element dekoracyjny na kształt litery S
Fasada – frontowa ściana budynku, podkreślona bogatszą dekoracją, w której umieszczone jest główne wejście.
Faseta – dekoracyjny gzyms lub zaokrąglony narożnik, między sufitem a ścianą
Feston – girlanda składająca się z kwiatów i zieleni, swobodnie zwieszająca się z dwóch punktów zaczepienia
Fryz
1. środkowa część belkowania, znajdująca się między architrawem a gzymsem. W porządku doryckim składa się z tryglifów i metop, a w porządku jońskim gładki lub zdobiony płaskorzeźbą.
2. dekoracyjny, rzeźbiony poziomy pas stosowany w architekturze, malarstwie ściennym.
Groteska – stylizowany ornament roślinny przeplatany owocami, częściami uzbrojenia postaciami zwierzęcymi, fantastycznymi czy ludzkimi.
Gurt - spłaszczony łuk, wykonany z kamienia lub cegły, wsparty na dwóch podporach. Podtrzymuje i wzmacnia sklepienie budowli. Występuje w sklepieniach kolebkowych, krzyżowo – żebrowych. Pokryty ornamentem, czasem pełni rolę wyłącznie dekoracyjną.
Herma – kolumna bądź pilaster przyścienny, zwężający się ku dołowi, na której znajduje się rzeźba przedstawiająca popiersie lub głowę
Kanelowanie – technika żłobkowania powierzchni.
Konsola – ozdobny wspornik, podpora najczęściej w kształcie esownicy lub woluty. Służy za podstawę dla rzeźby, kolumny, pilastru, gzymsów, balkonu, zwieńczeń okiennych lub drzwiowych.
Kariatyda – posąg kobiety spełniający funkcję filaru czy kolumny, dźwigającej na głowie belkowanie, balkon i inne elementy architektoniczne.
Kartusz – dekoracyjne obramienie dla tarczy herbowej, monogramu, płaskorzeźby czy malowidła. Występuje w różnych kształtach m. in. owalnych, sercowatych czy prostokątnych, posiadający dekorację manierystycznego ornamentu zwijanego czy okuciowego.
Koncha - półkopuła w kształcie muszli, zasklepiająca wnękę.
Krokstyn – zakończenie belek podtrzymujących dach, wysunięte poza płaszczyznę lica muru. Również dekoracyjny wspornik (konsola) podtrzymujący balkon, gzyms.
Lizena – pionowy, płaski pas na murze, który nie posiada głowicy ani bazy. Spełnia funkcję konstrukcyjną jak i również dekoracyjną.
Maszkaron – detal rzeźbiarski przedstawiający groteskową głowę ludzką lub zwierzęcą.
Naczółek (fronton) – trójkątny szczyt wieńczący portal, fasadę, ryzalit, drzwi, okna.
Nadświetle – okienko umiejscowione nad drzwiami przeznaczone w celu doświetlenia pomieszczenia znajdującego się za tymi drzwiami. Może być półkoliste, prostokątne itp.
Okuciowy ornament – motyw dekoracyjny naśladujący ozdobne metalowe okucia, nity i główki gwoździ.
Palmeta - ornament palmetowy – motyw dekoracyjny składający się z rozłożonego w kształcie wachlarza, stylizowanego liścia palmy.
Pilaster – element konstrukcyjny w formie płaskiego filaru występującego nieznacznie przed lico ściany. Pilaster składa się z (podobnie jak kolumna) z głowicy, bazy oraz trzonu gładkiego lub kanelowanego.
Plafon – sufit lub sklepienie ozdobione malowidłem lub płaskorzeźbą, freskiem itp.
Płycina - deska cienka, występująca w okładzinach ścian, skrzydłach drzwi. Płycina (najczęściej prostokątna) występuje również jako wypełnienie w płaszczyźnie pilastra, ściany czy cokołu, obramowane, wewnątrz gładkie lub wypełnione płaskorzeźbą lub inną dekoracją.
Polichromia – wielobarwne malowidło na tynku, kamieniu i drewnie.
Portal – dekoracyjne obramowanie otworu wejściowego do budowli, który składał się różnych elementów architektonicznych i rzeźbiarskich.
Putto – element dekoracyjny przedstawiający małego, pulchnego, nagiego chłopca, niekiedy częściowo okrytego draperią. Rozpowszechniony w sztuce renesansu i baroku, nawiązuje do postaci antycznego Erosa i często ukazywany jest jako uskrzydlona postać dziecięca.
Ramiak – rama z desek wypełniona płyciną lub szkłem.
Raut – element dekoracyjny w kształcie szlifowanego diamentu.
Rocaille – detal rokokowej ornamentyki. Jego asymetryczna forma imituje małżowiny, muszle, florę morską lub fale.
Rozeta – ornament architektoniczny o motywach roślinno-kwiatowych, często umieszczany jako centralna, stiukowa dekoracja sufitu lub plafonu.
Sklepienie kolebkowe – sklepienie w formie półwalca.
Sklepienie krzyżowe – sklepienie o zarysie krzyża, utworzone przez przenikanie się dwóch się sklepień kolebkowych ustawionych pod kątem prostym.
Szczeblina (szpros) – listwa dzieląca skrzydło okienne lub drzwiowe na mniejsze pola.
Ślepa arkada – inaczej arkada pozorowana; dwie podpory połączone łukiem, o zamurowanym otworze, pełniąca wyłącznie funkcję dekoracyjną.
Ślimacznica – inaczej woluta.
Tondo – obraz, płaskorzeźba, medalion w kształcie koła.
Tralka – ozdobny słupek, element balustrady.
Westybul – reprezentacyjny pomieszczenie wejściowe do budynku, pełni funkcję przedsionka lub holu, często o charakterze ozdobnym.
Woluta – element dekoracyjny w formie, zwoju, spirali czy ślimacznicy. Występuje głównie jako element głowicy porządku jońskiego, korynckiego, we wspornikach, zwieńczeniach w formie esownicy.
Wstęgowo-cęgowy ornament (Regencyjny) – dekoracyjny motyw naśladujący układ wstęgi, który przeplata się i układa w charakterystyczne cęgi.
Zwornik (klucz) – środkowy kliniec łuku lub skrzyżowania żeber w sklepieniu. Często ozdabiany ornamentem.

Przed stu laty, przed pół wiekiem jeszcze – wyrazy te, pojęcia i określenia funkcjonowały w życiu i języku codziennym. Dziś słowa te stają się reliktami przeszłości. Czas, który tak pędzi do przodu ma dla nas tylko monosylaby i skrótowce – podczas gdy wielowiekowa wiedza i piękno, a wraz z nimi opisujące je bogate słownictwo – giną bezpowrotnie.
Przykro…

Cieszyłem się na ten spektakl – będzie jak w najpiękniejszym szwajcarskim zegarku - myślałem. Ale… Od pierwszej sceny rozpoczął się chaotyczny demontaż wszystkich prusowych emocji i relacji, portertów psychologicznych, wątków, obrazów tamtej rzeczywistości. Z każdą minutą przedstawienia narastał bałagan, wywołany przerzucaniem trybów, sprężyn i przekładni świata, którego obraz od ponad pół wieku noszę w sobie z nieodwołalnym przeświadczeniem, że w literaturze polskiej niewiele jest powieści równie precyzyjnie skonstruowanych. „Lalka" przetrwa najdłużej w kanonie osiągnięć literatury polskiej, bo ukazuje największe namiętności i słabości ludzi tkwiących na stosie, podpalanym przez nich samych.



Za miłość!

czyli „Lalka" – wersja: minus 3.0

zdjęcia - Teatr Współczesny

„Lalka" ukazywała się w odcinkach w Kurierze Codziennym w latach 1887-1889. W tym samym czasie pojawił się „Dewajtis" Marii Rodziewiczówny. A także „Portret Doriana Graya" Oscara Wilde'a.

Powieść Prusa wręcz wdarła się na europejski Parnas. Krytyka światowa ustawiła ją w rzędzie z takimi pozycjami jak:
1. „Ojciec Goriot" – Honoré de Balzac (1835) - Wokulski, podobnie jak Eugène de Rastignac nie są w stanie pokonać sztywnych podziałów klasowych, uniemożliwiających im osiągniecie sukcesu życiowego. Obaj są ofiarami miłości. Goriot kocha swoje córki, które go lekceważą, a Wokulski – ignorującą go Izabelę.

2. „Anna Karenina" – Lew Tołstoj (1877) – ofiary miłości „niemożliwej" – Anna i Wokulski doświadczają uczucia, które prowadzi do ich upadku. Problem mezaliansu – Anna rzuca się w romans z Wrońskim, łamiąc normy społeczne, podobnie jak Wokulski próbuje zdobyć arystokratkę Izabelę.
3. „Wielki Gatsby" – F. Scott Fitzgerald (1925) - ambitny bohater, który dorobił się fortuny, by zdobyć ukochaną (Gatsby dla Daisy, Wokulski dla Izabeli). Miłość jako iluzja – obaj bohaterowie kochają obraz kobiety, który istnieje bardziej w ich wyobraźni niż w rzeczywistości.
4. „Madame Bovary" – Gustave Flaubert (1857) - rozczarowanie rzeczywistością – Wokulski idealizuje miłość do Izabeli, tak jak Emma Bovary marzy o romantycznym życiu, znanym z książek.
5. „Przeminęło z wiatrem" – Margaret Mitchell (1936) - Silna, ambitna jednostka w trudnych czasach – Wokulski jak Scarlett O'Hara walczy o lepszą przyszłość.
Miłość, która nie zostaje spełniona – Scarlett pragnie kogoś, kto jej nie kocha, podobnie jak Wokulski dążył do Izabeli.

Sza… Zaczyna się…

I zamiast gongu - cios, jakby rondlem w głowę.

Oto sala balowa, biznesmeni, damy, arystokracja.

- Jako przedstawicielka Muzeum, jestem zaszczycona, że gala liderów polskiego biznesu po raz kolejny gości w budynku Muzeum Narodowego!

To prawda… jesteśmy w gmachu, w którym, metodą huby lub jemioły, od 1950 roku rezyduje Teatr Współczesny. Prowadząca sceniczną imprezę moderatorka za chwilę dorzuci krotochwilne zdanie, że tam, piętro niżej są sale muzealne, w nich ustawiono posągi, dlatego uprasza się biznesmenów o… niedotykanie eksponatów, cha, cha, cha…

Suchar? Tak chyba określa się kiepski dowcip lub, jak w tym przypadku – niewyszukaną złośliwość – ale kogo wobec kogo? Cóż za kompletny brak taktu i wyczucia nakazał wprowadzić tę sekwencję do scenariusza? Co konflikt muzeum/teatr obchodzić może widzów przedstawienia? Na plakacie stoi wyraźnie: **„Lalka" – Bolesław Prus!** Pomyliłem spektakle?

Na scenie i w powieści - Wokulski wraca ze światowych wojaży z walizkami pełnymi pieniędzy. Wita go Rzecki, przyjaciel i plenipotent. Snuje nowe plany, roztacza wizje, zdaje się nawet sugerować dobrą partię małżeńską… Pani Stawska… Ale Wokulski… Ten tylko pyta o pannę Izabelę Łęcką. Piękność próżną i próżność piękną, co jak miłość - jest niestała, przewrotna, kokieteryjna i zwodnicza. **Jak każda…**

- Dlaczego wszyscy „twardziele" śnią o takiej kobiecie? – usłyszałem głos siedzącego obok mnie pana Prusa.

- A… - uśmiechnąłem się. – Teraz rozumiem… To dlatego tak dobrze prowadził pan tę intrygę… Nie umiał pan znaleźć odpowiedzi na proste, a zarazem fundamentalne pytanie: dlaczego mężczyźni zakochują się… bez sensu?

- Ciii… – syknęła jejmość siedząca za nami.

Dopiero po chwili zaświtała mi w głowie myśl – kogo pan Prus miał na myśli?

Dzieło skończone

Lektura „Lalki" jest jak symfonia Brucknera, ta Wagnerowska. Jest niekontrolowaną eksplozją uczuć. Emocjami przewyższa nawet piątą Mahlera. Napisana została potoczystym, pięknym językiem swojej epoki. Od pierwszych akapitów synchronizuje się z afektami każdego czytelnika. Uniwersalna w kreśleniu mechanizmów, jakimi miłość burzy nam świat w takim samym stopniu jak uskrzydla, podrywa nas do działania, zazwyczaj wbrew logice. Tylko człowiek bezgranicznie zakochany jest w stanie pofrunąć w ogień, który go… nie strawi.

- Nie? Nie mam racji? – prowokowałem Autora.

- W miłości to o ten właśnie egoistyczny akt idzie. – Pan Prus splótł dłonie w cierpiętniczym geście. - Na myśl o ukochanej, na jej widok doznajemy uczuć, które wyzwalają w nas euforię. Kochamy ją. Tę… euforię.

- A ona?

- To znaczy – kto? A…! Ukochana…? – Pan Prus przymknął powieki. - No, też, tak, oczywiście, ma się rozumieć, nie inaczej! Ale tak naprawdę, to… kochamy być zakochanymi. Tym bardziej, im mocniej nasze uczucia wyznajemy komuś innemu.

Skomplikowany to mechanizm, przyznaję, ale sprytnie pomyślany.

Obaj uśmiechnęliśmy się, posyłając siedzącej za nami damie lekkie skinienie głową. Ta odwinęła woalkę znad kapelusza, odgradzając się od nas w sposób dziwnie przybliżający pewne cechy pięknej oprawy jej oczu…



Hm… Zauważyli Państwo? Kluczę, uciekam, brnę w dygresje, imaginuję postać samego Autora, bo szukam sposobu, jak tę „Lalkę" państwa Joanny Kowalskiej (scenariusz) i Piotra Ratajczaka (reżyseria)... poskładać? Rozleciała mi się już w pierwszych minutach spektaklu. Jak zebrać ją w całość, tchnąć w nią ducha wprost spod żebra Bolesława Prusa? A przynajmniej - elemntarnej logiki? O co tu idzie?

> W wypowiedziach prasowych i w wywiadach radiowych realizatorzy tego przedstawienia nie kryli, że „Lalkę" Bolesława Prusa… napisali na nowo. „Zmasakrowali" oryginał czyniąc go… atrakcyjnym. A pomysł inscenizacyjny uznali za… „szalony".
> Tak. Nie można się z nimi nie zgodzić!
> Robotę wykonali perfekcyjnie. Jak zawodowi terminatorzy. „Lalkę" zdemolowali.

Dlaczego?

Ideą dramaturgów było uwspółcześnienie „Lalki".

Ale – po co?

To prawda, można najpiękniejszy diament zastąpić świetnie wyszlifowanym szkiełkiem z dna butelki po tanim winie. Można Reja i Kochanowskiego przepisać ręką rapera (jakieś deliryczne próbki mieliśmy na scenie; oprawa muzyczna – bez pomysłu). Tylko – po co? Z czego wynika ten problem dzisiejszego „twórcy", który pozostając we własnej niemocy – nicuje dzieła czasów minionych? Mówią owi realizatorzy: chcemy te teksty ożywić, uwspółcześnić. A ja protestuję. **Tekst „Lalki" ma się doskonale! Powieść jest perłą literatury polskiej. Została przetłumaczona na wszystkie najważniejsze języki świata** (z wyjątkiem chyba tylko skandynawskich). **Jest dziełem skończonym.**

Dlaczego odbiera się widzom niezwykłą okazję do posłuchania, jakim językiem mówili (czyli – myśleli) Polacy przed 150 laty? Jak ewoluuje język (a więc myślenie)? Jak w języku odzwierciedlone zostały relacje społeczne? Jak – wreszcie – opisywano emocje, uczucia i doznania? **Język i narracja Prusa są bardziej kunsztowne niż koronka z mgły.**

> Twierdzę, że wszyscy nasi „twórcy" dlatego zabierają się za „uwspółcześnianie" klasyki, ponieważ sobie z nią nie radzą; oni dekomponują powieści i dramaty przez siebie - niedoczytane.

To zjawisko jest znane jako **strach nieuświadomiony.**

Klasyczny przykład: ktoś boi się tłumu, ale nie pamięta, że w dzieciństwie zgubił się w dużym sklepie.

Inny – zabiera się za przetwarzanie dzieła literackiego i mówi – dam mu nowe życie, poprawię, ulepszę, odmienię. Robi to ze strachu niegdyś nieopanowanego.

Twórcy inscenizacji nie kryją, że lekcji z „Lalki" nie odrobili we właściwym czasie. Fascynacja dziełem (nie wierzę) – przyszła później. I od razu przybrała kształt, jak odbicie ich i naszych twarzy w krzywym zwierciadle. Nasycone grymasami, minami, gębami, mającymi zagłuszyć skutki nieodrobienia życiowych lekcji.

To przedstawienie jest przykładem ignorancji

Powieść, a tekst dramatu. Powieść jest orężna we wszystkie środki artystycznego wyrazu, dramat – operuje dialogiem. Ten osadza w sytuacji. Ale jak z dramatu budowana jest opowieść, w widzów odbiorze – to jest pytanie o magię teatru. W niektórych próbach, wyobraźnia reżysera kończy się w przydrożnym rowie brawury i przekonania, że widz nie zauważy tej katastrofy.

> „Im większym ktoś jest ignorantem, tym bardziej jest przekonany o swojej wysokiej wartości…" - twierdzi amerykański psycholog David Dunning.

Perły uwspółcześnienia

- Stachu – mówi Rzecki - z Paryża przybył transport…
- Więc?
- Trzeba odebrać.
- Jak chcesz…
- O, z Szanghaju obstalunek za 500 tysięcy, ale to dopiero za miesiąc.
- Spodziewałem się…
- Z Berlina za 200 tysięcy… Cisną, żeby na jutro.
- Trzeba raz skończyć z tym kramarstwem – odzywa się Mraczewski. - Interes żaden, a wymagania ogromne.
- Jak to, chcesz zerwać ze wszystkimi kontrahentami…
- **Zerwać z Niemcami! Bardzo dobrze, że inni wycofują się z tych parszywych stosunków… Holdingi – niemieckie, gazety – niemieckie, sklepy – niemieckie. Człowiek chce normalną polską kiełbasę zjeść a tam tylko szwabskie wursty i sznycle. A Polki to tam jeżdżą po to, panie Rzecki, żeby starym niemrom dupy podcierać….**



W tym stylu dokonano uwspółcześnienia „Lalki" Bolesława Prusa,

- Co ten Mraczewski bredzi? – pan Prus szepcze mi do ucha. - Inni wycofują się z tych parszywych stosunków? „Tych" – czyli jakich, których? Kto, kiedy?

- Z tego co wiem, KAŻDY przedsiębiorca na świecie marzy o najmniejszych choćby relacjach biznesowych z Niemcami – odpowiadam równie zdziwiony. – Inscenizatorzy o tym nie wiedzą.

- Ciii… – syknęła ta sama co przed chwilą jejmość, siedząca za nami.

Polki jeżdżą, żeby starym niemrom…



Osiedle dla seniorów w Löcknitz.

Autorów i dyrekcję sceny Współczesnej pytam: kto od osiemdziesięciu lat każe Polkom gdziekolwiek jeździć, żeby innym nieść pomoc, troszczyć i opiekować się chorymi, niedołężnymi, może wegetującymi tylko ludźmi? Jeśli jest wśród nas ktoś, kto poświęca się dla innych – to robi to w imię miłosierdzia. Albo – po prostu – pracuje.

Cóż za obrzydliwy wątek. A słowa haniebne.

Znam wielu ludzi, którzy od nieszczęścia odwrócą wzrok, uciekną, ale znam też takich, którzy całe życie, z oddaniem i miłością pomagają innym. Na całym świecie. Bez przymusu. O wiele większe pieniądze zarobiliby ci ludzie pisząc scenariusze „Lalki" dla Teatru Współczesnego w Szczecinie. Jednak zmieniają opatrunki na ropiejących ranach, cuchnących odleżynach, zmoczonych prześcieradłach. Czuwają przy łóżkach konających, wysłuchują opowieści ludzi, zagubionych we własnych myślach, pchają wózki inwalidzkie, okrywają kocami nogi starcom, siedzącym na tarasach domów powolnego umierania. Są oficerami godności. Służbę swoją pełnią dzień i noc, dziesiątki lat.

> Bez względu na ich narodowość czy państwową przynależność, jestem pełen najwyższego szacunku dla osób zajmujących się ludźmi wymagającymi opieki.

Obok Szczecina, w przygranicznym Löcknitz, w promieniu (z nadatkiem) **jednego kilometra** od centrum miasteczka działa pięć dużych i kilka mniejszych ośrodków dla osób w wieku podeszłym, niepełnosprawnych i w stanie demencji. W samiusieńkim centrum (!) – obok kościoła i magistratu wybudowano w ostatnich latach największy obiekt dla ludzi wymagających nieustannej opieki. Dobiega końca budowa mini osiedla dla kolejnej grupy seniorów. Jestem pod wrażeniem standardów i skuteczności tego państwa w zakresie opieki nad starością. W okolicy nieustannie krążą małe, czerwone autka, z charakterystycznymi oznaczeniami – to lotne pogotowia pomocy dla ludzi schorowanych. Zapytałem… o Polki, rehabilitantki i pielęgniarki. Czy są tu na przymusowych robotach? Rozmawiałem z polskimi lekarzami. I wszystko wiem. Każdy może o te sprawy zapytać. Realizatorzy „Lalki" nie skorzystali z tej możliwości.

Żenujące…

Albo te wursty w słownej tyradzie scenicznego Mraczewskiego... Może źle zanotowałem lub niedosłyszałem, ale Mraczewski mówi „a tam tylko wursty…"? Czyli gdzie? Przez całe życie słyszałem, że polska jałowcowa i szynka Krakus to największe na świecie delikatesy! W żadnym polskim sklepie nie widzę wurstów. A sznycle? Jest coś takiego jak Wikipedia. Cytuję: *Oryginalna wersja sznycla, zwana Wiener Schnitzel, pochodzi z Wiednia i jest daniem typowym dla kuchni austriackiej.*

Co skłoniło uzdrowicieli „Lalki" do zbudowania tej sceny?

Oto jak z ramoty robimy arcydzieło! Współczesne!

Postaci, jak rośliny posadzone zielonym do dołu…

To nie jest możliwe, aby pójść na ten spektakl, uprzednio wymazując z naszej świadomości wielkość „Lalki", jej idealnie i proporcjonalnie zbudowany świat przedstawiony, złożony jest w gruncie rzeczy z dwóch powieści, bo mamy tam przecież wielki „Pamiętnik starego subiekta".

W pierwszym przypadku – nikt się nie połapie w kakofonii, która wyparła logikę prusowej narracji. Jaki więc był pomysł na tę arcynowoczesną „Lalkę"? O co w niej idzie? Dlaczego w tym, a nie innym miejscu otrzymujemy nowy wątek, wyrwany z kontekstu powieści? To tak, jakby lodówkę wstawić do salonu, a łóżko małżeńskie do przedpokoju. Na „sztorc". Przerywnikiem lub łącznikiem scen, substytutem bogactwa treści oryginalnej „Lalki" są wzorowane na chórach greckich – repetytoria sekwencji pominiętych. Oto oglądamy szwadron krytyków lub moralizatorów, atakujących widownię. Artyści ustawieni na skraju sceny rzucają w nas słowa, półzdania, komentując (tłumacząc, zasłaniając) dziejący się za ich plecami chaos. Za chwilę wracają do ról poszczególnych postaci. Przeróbka oryginału polega na tym, że sekwencje z powieściowo różnie rozłożonych myśli - są tutaj zbite w skandowane tyrady. Może, gdybym miał siłę trzeci raz obejrzeć spektakl, odkryłbym jakąś nieistniejącą tajemnicę?

Dlaczego pozostawiono wątek baronostwa Krzeszowskich? Do postaci pani Krzeszowskiej nawiązuje tytuł powieści. A w Szczecinie - słowo „lalka" ze sceny chyba nie pada ani razu? Przeoczyłem coś?

- To i dobrze – uspakaja mnie pan Prus. – Najważniejsze, że nieźle się bawię… Wy, teraz wszystko tak na głowie stawiacie? Ha, ha, ha… Już sobie imaginuję, co i jak zrobilibyście z moim „Faraonem", ha, ha, ha… Uwspółcześnionym, tak to nazywacie?

- Ciii… – podwójnie… przymilnie syknęła jejmość siedząca za nami.

Następny, proszę…

Zrobiło się nagle tak, jak w izbie przyjęć wymyślonego szpitala dla zwariowanych wariatów… Bo wśród normalnych wariatów jest… normalnie.

Zastanawiam się, jaki dramat przeżywają ci, którzy powieść dobrze znają. Jak odnajdą się w labiryncie poplątanych wątków i postaci.

Taki… Wokulski. No, Pinokio, wiadomo, był chłopcem z drewna. Koncepcja szczecińskiego Wokulskiego to czysty kompozyt. Takiego spłycenia portretu emocjonalnego bohatera „Lalki" się nie spodziewałem. W każdym aspekcie – relacji wobec Izabeli, kierowcy, naukowca, hrabiego, dziewczyny z przedmieścia… Także w scenie miłości własnej. Modulacja głosu, zmarszczki na czole, spojrzenia ponad głowami widzów… To wszystko? No, jeszcze te jego nieokrzesane maniery (to picie wina z butelki…, z której napełnia też kieliszki Izabeli i jej ojca), jego służalczość, gesty kretyna-milionera… A może tak miało być?

Dlaczego w premierowej obsadzie nie zaproszono do tej roli Grzegorza Młudzika? Wiem. Byłby Wokulskim mądrym i rzeczywiście cierpiącym, zbudowanym w dobrym warsztacie aktorskim, przepełnionym mądrością życiową. Nie wiem, może miał być Wokulskim, ale nie zgodził się lub nawet świadomie nie sprawdził się w scenach z toalety? Bo to aktor był klasowy, a nie szaletowy.



Rzecki… - Hm… Z Grzegorzem Młudzikiem – tak, to mogłoby się udać. Natomiast (…)

Wysocki – (powieściowy wozak) tutaj z roli kelnera i lokaja arystokarcji, człowiek najwyższych manier. Wysocki – w wersji szczecińskiej - ma wrócić do funkcji nie woźnicy, ale kierowcy. Jak to mówiono nam na tej lekcji matematyki? Kierunek dobry tylko zwrot przeciwny. Kto z współczesnych widzów kupi tę metamorfozę: sługa baronów i książąt, z salonów i pałaców zostanie wciśnięty do szoferki jakiejś ciężarówki. I goń, chłopie 1500 km dziennie. Śpij pod budą. Myj się raz na tydzień.

- Ciężarówki? – pan Prus spojrzał na mnie, zaskoczony tym słowem.

Poza tym - wszyscy się strasznie nachodzili w tym przedstawieniu.

Natomiast scena o wielkiej wymowie w powieści, gdy Wokulski zdradza, że zna język angielski – tutaj – wywołała efekt jak plastikowy tort na wystawie w cukierni. Całe szczęście, że aktorzy umieli „puszczać kaczki" w stronę widowni, czym zajmowali uwagę widzów… Trafnie trafi. Intrygujące rozwiązanie choreograficzne.

- Nie rozumie pan? – pan Prus bawił się coraz lepiej, doprowadzając mnie na skraj irytacji.

- Ciii… – jejmość siedząca za nami zabrzmiała już groźnie, a jej głos zdawał się brzmieć tak, jak każdy, który… przechodzi właśnie mutację?

Niewiele, a wręcz nic nie da się także o Izabeli powiedzieć. Chyba, że o jej sukience. Co to miało być? Prowokacja? Odwrócenie uwagi przynajmniej męskiej części widowni? Strasznie tani chwyt.

Izabela – koncepcja pięknej kobiety. (…)

- Jestem zwykłą dziewczyną…
- A gdybyś nie była Izabelą Łęcką, to kim?
- Alicją w krainie czarów.

No… Obaj z panem Prusem parsknęliśmy śmiechem. Współczesna Izabela chce być Alicją w krainie czarów. Czyli, gdzie? Obawiam się, że o ile nadrabianie zaległości w lekturach szkolnych państwa realizatorów w odniesieniu do „Lalki" zostało potwierdzone przez nich samych, o tyle brak znajomości Alicji ktoś tu pospiesznie nadrabiał w oparciu o jakiś bryk, choćby ten ze strony bryk.pl:

> Nie znosi nudy. Jest ciekawa świata. Kiedy trafia do Krainy Czarów, stara się być uprzejma. Uważa się za osobę wykształconą, wielokrotnie przywołuje informacje zdobyte na lekcjach i porównuje się ze swoimi koleżankami. Często jednak przekręca fakty. Jej racjonalne, logiczne myślenie, którego została nauczona, zostaje wystawione na próbę w Krainie Czarów — miejscu, w którym wszyscy „mają bzika" i „nic nie ma sensu". W konsekwencji dziewczynka przeżywa kryzys tożsamości — nie wie, kim właściwie jest. Mimo wszystko Alicja jest pewna siebie i stara się myśleć trzeźwo. Dzięki temu wychodzi cało z każdej przygody.

A może nie mam racji? Może to ja i my wszyscy mamy bzika i nic nie ma sensu? Nie to, co na scenie! Tam jest krwisty, współczesny świat! I Teatr. Współczesny. Wiadomo, ze Szczecina.

Pierwsze tłumaczenie Alicji ukazało się w Polsce w 1910 roku jako „Przygody Alinki w Krainie Cudów". Ciekawe są okoliczności premierowego i kolejnych tłumaczeń oraz wydań arcydzieła. Tego pierwszego wydania nikt nie znał do roku 2009, kiedy jeden egzemplarz został przypadkiem odnaleziony - informacja z Internetu.

Niemniej ponawiam pytanie: jaki związek sceniczna Izabela Łęcka miałaby mieć z Alicją lub Alinką, pierwszą - w Krainie Czarów, a drugą - w Krainie Cudów? Do krainy oryginalnej „Lalki" już się nie będę odwoływał.

Każde dzieło należy do swojej epoki

Inscenizatorzy dokonali profanacji i targnęli się na dzieło oryginalne. Bo – podobno – mogą. Dzieło należy do domeny publicznej. Nikt nie upomni się o prawa autora, o zachowanie integralności dzieła. Można zrobić z nim wszystko, cokolwiek się komu pomyśli. I zrobili to!

Tą metodą można byłoby wszystkie dzieła przeszłości – uwspółcześnić. Choćby słynną broszurę pióra W. Sz. P. Jeleńskiego, zatytułowaną: „Niemcy, Żydzi i my", w swoim czasie równie popularną jak „Lalka". Do dzieła! Zresztą Szczecin już zainicjował ten proces.

Prus przytoczył w swojej powieści pogląd, a wręcz przekonanie, że „Żydzi krwi chrześcijańskiej używają na mace…". Agitacja antyżydowska u zarania XX wieku była silnym chwytem marketingowym w promocji polskiego biznesu. Jak z tą kwestią poradzili sobie szczecińscy inscenizatorzy? Oto próbka:

- Na dostawach bogacą się tylko Chiny i Niemcy. Nasi nie mają do tego głowy.

W oryginale czytam:

- Na dostawach bogacą się tylko Żydzi i Niemcy; nasi do tego nie mają głowy." – (Tom I, Rozdział IV: *Powrót*).

W innym fragmencie ze sceny:

- Żydki rosną w siłę.
- Dobrze – odpowiada Wokulski. – Trzeba mieć ich po naszej stronie.
- Co ty! – woła Rzecki. – A patriotyzm? Sprawiedliwość?
- Sprawiedliwość? – Wokulski prawdopodobnie miał w tym momencie przywdziać minę filozofa… - A… Sprawiedliwość? A sprawiedliwe jest to, że silni mnożą się, a słabi giną…
- I ty to mówisz, Stanisław?
- Ja mówię: to samo prawo stosuje się do mnie, do ciebie, do nas wszystkich.
- No dobrze… – mięknie Rzecki.

W oryginale znalazłem tę scenę:

Wokulski tymczasem jadł.
— No, cóż nowego? — rzekł spokojniejszym tonem pan Ignacy trącając gościa w kolano. — Domyślam się, że ci chodzi o politykę — odparł Wokulski. — Będzie pokój.
— A po cóż zbroi się Austria?
— Zbroi się za sześćdziesiąt milionów guldenów?… Chce zabrać Bośnię i Hercegowinę.
Ignacemu rozszerzyły się źrenice.
— Austria chce zabrać?… — powtórzył. — Za co?…
— Za co? — uśmiechnął się Wokulski. — Za to, że Turcja nie może jej tego zabronić.
— A cóż Anglia?
— Anglia także dostanie kompensatę.
— Na koszt Turcji?
— Rozumie się. Zawsze słabi ponoszą koszta zatargów między silnymi.
— A sprawiedliwość? — zawołał Ignacy.
— Sprawiedliwym jest to, że silni mnożą się i rosną, a słabi giną. Inaczej świat stałby się domem inwalidów, co dopiero byłoby niesprawiedliwością.
Ignacy posunął się z krzesłem.
— I ty to mówisz, Stasiu?… Na serio, bez żartów?
Wokulski zwrócił na niego spokojne wejrzenie.
— Ja mówię — odparł. — Cóż w tym dziwnego? Czyliż to samo prawo nie stosuje się do mnie, do ciebie, do nas wszystkich?… Za dużo płakałem nad sobą, ażebym się miał rozczulać nad Turcją.
Pan Ignacy spuścił oczy i umilkł. Wokulski jadł.

Czy uwspółcześnienie to synonim przeinaczenia?

W tle tego dialogu – trwa bezładny ruch sceniczny uczestników gali biznesowej. Tłum został lekko wyciemniony. Cóż za posunięcie? Nie ma lepszego sposobu na uczynienie jakiegoś elementu bardziej od oświetlonego widocznym, jak wycofanie go i wprawienie w ruch… Wtedy widzowie wytężają wzrok i słuch – co też tam w tle się dzieje? A tam się nic nie dzieje. A przynajmniej – nie powinno.

Inny „zabawny" drobiazg… Fotografia zbiorowa. Aby wywołać uśmiech na twarzy – nasi lalkowicze mają powiedzieć: KA-SA.

Albo ta sekwencja z furmanem Wysockim, (w wersji szczecińskiej - z szoferem), którego auto definitywnie się zepsuło. Ze sceny:

- … takie czasy nastały, że wszyscy musimy zginąć.

- Jutro przyjdziesz po południu do mnie, dostaniesz adres, tam wybierzesz sobie samochód, a po świętach przyjedziesz do mnie do pracy, u mnie zarobisz z sześćdziesiąt za godzinę…

- Dlaczego mi pan pomaga?

- Bo mogę, Wysocki. Jesteś uratowany. Jesteś zbawiony, bo MI się tak podoba.

I w innym miejscu:

- Jacyż oni szczęśliwi, biedacy. Jak łatwo ich uszczęśliwić. Nawet moim skromnym majątkiem byłbym w stanie wydźwignąć kilka tysięcy rodzin. Nieprawdopodobne. A przecież tak jest.

I cytat z powieści – proszę zapiąć pasy:

- Jakże oni szczęśliwi, ci wszyscy, w których tylko głód wywołuje apatię, a jedynym cierpieniem jest zimno. I jak łatwo ich uszczęśliwić!… Nawet moim skromnym majątkiem mógłbym wydźwignąć parę tysięcy rodzin. Nieprawdopodobne, a przecież — tak jest.

- Ciii… – jejmość siedząca za nami lekko się uniosła, mocniej ściskając w dłoni parasolkę, może kupioną w sklepie Wokulskiego?

- Ale my nic nie powiedzieliśmy! – z panem Prusem zgodnie odpowiedzieliśmy damie.

Scen równie egzotycznych jest tu wiele. Np. Wokulski podaje subiektowi rękę na powitanie. Albo Wokulski wpada w panikę i histerię, gdy w odpowiedzi na żądanie klientki Łęckiej sięga po jakieś katalogi. Ten jest tak zmieszany wizytą panny Izabeli, że inscenizuje jakiś małpi gaj. Że też fikołka nie zrobił: ta scenka trwa o sto lat za długo.

- Te katalogi i foldery to nie są gorące kartofle, panie Wokulski! – wyrywa się pan Prus i z trudem tłumi śmiech politowania.

Dlaczego reżyser robi ze swojego bohatera – kretyna? To był człowiek głęboko zraniony, zakochany, zakompleksiony, bogaty… Jeśli cokolwiek manifestował, to… w sobie. Nikt jego reakcji, tym bardziej podyktowanych afektem, nie widział. Nawet sprawa pojedynku… Ale o czym ja tu piszę…

Rzecki, na początku przedstawienia, odlatuje: **Życie bez sztuki jak kapitalizm bez pieniędzy.**

Otóż subiekcie Rzecki, kapitalizm nie polega na posiadaniu pieniędzy. Kapitalizm to obracanie pieniędzy/pieniędzmi. Pieniądze są elementem uruchamiającym mechanizmy całego systemu gospodarczego i społecznego. Pieniądz w kapitalizmie to to samo co „ciągły ruch". Ale u nas, zdaniem realizatorów „Lalki" jest inna ekonomia i ekonomika. Tenże Rzeczki, sceniczny, podkreśla dalej, że „**gość bierze pieniądze i znika. Ale sprawiedliwość zwycięży dzięki liderom naszego polskiego biznesu!**" - zapewnia nas Rzecki sceniczny. Brawa! O co chodzi?

W innym miejscu, potencjalni wspólnicy Wokulskiego, już poza jego wzrokiem mówią o nim: „Wokulski bystry jak woda w klozecie. Biznesmen! Chyba z Wołomina".

> Mój Boże, łaska Twoja nie ma granic, a pobłażliwość wobec swobody myśli teatralnej – poraża. Dałeś człowiekowi wolną wolę, ale myślenie pozostawiłeś zakute w duby. Tych czołem rozbić się nie da. Co Wokulski tamten lub ten ma wspólnego z Wołominem?

Trzy głębokie wdechy

Spektakl miał kilka finałów. Składał się z dość autonomicznie naszkicowanych sekwencji. Każda miała napędzać akcję. Sypano aforyzmami, złotymi myślami, pointami i moralnymi przestrogami w stylu tak dobrze znanym uczestnikom dawnych pochodów pierwszomajowych, wykrzykujących propagandowe, puste hasła.

> Który aspekt lub fragment szczecińskiej „Lalki" – miałby przyciągnąć do teatru młodych widzów? Z arcydzieła Prusa – nic się na tej scenie nie uchowało. Imiona i nazwiska? Ale te, zgodnie z popularną klauzulą, należy uznać za całkowicie przypadkowo tu wykorzystane.

Dobrze, dajmy szansę przedstawieniu…

Choreografia. Układy długie, a kręcenie młynka, wyrzucanie rąk, jak w mojej porannej gimnastyce, nawet mnie nie porwało.

Scenografia. Pomysł jedności miejsca i czasu akcji, choć ta w istocie rozgrywa się mi.in. nad wodą, w parku, w sklepie, na stronie – bardzo męczący i nużący. Ponad dwie godzimy patrzmy na to samo.

Kostiumy. Rewia od bokserek Schlangbauma po klasyczne fraki. Istny przekładaniec. Misz i masz. Dziewiarstwo może rzeczywiście bliższe współczesnym galom biznesu niż rautom i przyjęciom sprzed ponad wieku. Frak był wtedy jak zbroja, jak hełm Mandaloriana z „Gwiezdnych wojen". Niegdyś pewni ludzie wręcz we fraku się już rodzili. Inny strój zabijał ich tożsamość. Tutaj – sukienka panny Izabeli nie sprzyjała skupieniu. Po pierwszym wrażeniu, następne manifestacyjne pokazywanie tej kreacji wręcz drażniło. Noszenie się w takim stroju to wyższa szkoła jazdy figurowej, a nie człapanie i stawanie w rozkroku. Kobiety mają niezwykłą umiejętność niemal całkowitego zakrywania czegoś, co i tak dalej pozostaje w pełni odkryte. Naprawdę, one to potrafią. Izabela – nie.

Multimedia. Uczestniczyliśmy w trzech albo czterech przekazach telewizyjnych z teatralnej toalety. Podglądaliśmy nieudaną próbę uprawiania seksu, Wokulski tam właśnie postanowił się powiesić. Ale jak przystało na życiowego nieudacznika, laureata Gali Bigosu, nawet ten zamiar mu się nie powiódł. Zastanówmy się. Co by się stało, gdyby tych scen nie włączać do przestawienia, a sytuacje jedynie zamarkować? Np. gwałtowne wprowadzenie Wokulskiego, odciętego od paska z komentarzem, że tam się „gdzieś" właśnie wieszał.

Wreszcie finał. Ale czego? Tyle wątków, tyle sekwencji, taka gęstość sytuacji… Widownia nie znająca „Lalki" mogła w tej gęstwinie



Ciekawe ujęcie... doskonale oddaje moje wrażenie, że takie też wrażenie towarzyszyło aktorom „Lalki"

czuć się jak w aucie po dachowaniu, ale nadal w pełnym biegu. Na dodatek – pojawiły się teraz dymy, konfetti, Arkadiusz Buszko z zapamiętaniem grał na perkusji… Szansonistka coś jakby bluessowała. Czułem się jak pasażer pociągu o szklanej podłodze, który w pełnym biegu sunie przez monstrualnie rozbudowane skrzyżowanie tysiąca torów, ale nikt nie wie, dokąd po tych 150 minutach przedstawienia dotrze? Czy w ogóle ten spektakl kiedyś się skończy?

Piosenki – nie wiem, w jakim muzycznym stylu i o czym. Tekst nie do usłyszenia.

Muzyka – łomot i pitolenie. Kto sięgnąłby po CD ze ścieżką dźwiękową tego spektaklu?

Na finał finałów – najpierw „chór grecki", a potem płomienny monolog Rzeckiego, niemalże jak z Szekspira, winien zaczynać się od słów: „…czy ktoś wie, o czym to było…?".

Arkadiusz Buszko – bardziej Falstaff niż Hamlet, niestety, w tym momencie w moją stronę nie puścił „oczka". A tak na nie czekałam.

Chór postaci "rzucających" kaczki w stronę publiczności, tak mówił o laureacie gali biznesu, który odrodzi polską gospodarkę.

- Wokulski gdzieś wyjechał. Nagle. (…)
- Wszystko zostawił.
- Wszystko sprzedał.
- Komu?
- Hurtem Schlangbaum kupił.
- Za dosyć niską cenę.
- Zbankrutował.
- Racja. Dokąd wyjeżdża człowiek, który ma pieniądze i rozum Bóg wie, gdzie (…)
- Tyle pieniędzy w błoto poszło.
- A, co to za obywatel, co Żydom sklep sprzedaje.
- Ucieka i tylu ludzi w nędzy zostawia i niepewności.
- To jest przypadek półgłówka typu: polski romantyk.
- Nigdy nie działał przytomnie.
- Miał pieniądze, miał pannę i gdzie teraz jest?
- Szuka szczęścia
- Palnął sobie w łeb (…)
- Tyle chciał zrobić.
- Tyle. Mógł zrobić.
- A nic nie zrobił.
- Nic.

Nie wiem… Pochwała to głupoty czy głupota pochwały?

Z oryginału:

„Jestem dziki człowiek — mówił sobie — więc wpadłem w obłęd, ale wydobędzie mnie z niego cywilizacja."

Z końcowego fragmentu przedstawienia, zacytuję za chwilę słowa Rzeckiego. Rola pomyślana jako moralizator, prawie jak Horacy, ale siermiężny, polski. Myślowo i emocjonalnie jego sekwencja przypomina jazdę rowerem o jajowych kołach. To ostatecznie, o którym Wokulskim jest ten spektakl? Co jest tekstem Prusa, a co grafomanią? A już logika, zawarta w zdaniu o Schlangbaumie wprost przeraża! Co to za przesłanie?

Przesłanie donikąd – szczecińska wersja pamiętnika starego subiekta

„Stacha było rozpoznać łatwo. Jest jednym słowem: człowiek o wielkiej duszy. On dba o interesy wielu. Myśli dziesiątki lat naprzód. Nie jest to jakiś specjalny dar. To jest mus. Świata nie wymyślili ani filistrowie ani geszefciarze, tylko tacy wariaci jak on. Jeśli świat myślałby tylko o finansach, do tej pory bylibyśmy małpami. A dlaczego nasz sklep musi upaść? Bo gospodaruje w nim Schlangbaum, a nie Wokulski. A dlaczego nie gospodaruje Wokulski? Bo Stachu nareszcie znalazł sposób, żeby wyjść na świeże powietrze, a zresztą, po tym wszystkim co się tutaj stało, to było najlepsze wyjście".

- ***Przepraszam … – jejmość siedząca za nami lekko się w naszą stronę pochyliła. – A czy w związku z bankructwem, to będziecie panowie w tym sklepie jakąś promocję mieli?***

- Dla łaskawej pani – pan Prus uniósł lekko głowę i wbił wzrok w oczy teatromanki – wszystko za pół ceny, „jako towar wybrakowany i nie znajdujący nabywców" . Pani będzie łaskawa jutro przyjść do południa….

150 minut... za 50 PLN. Niby niedrogo. Tylko – po co?

„Lalka" jak i pokaźna część polskiej klasyki to wyzwanie dla wirtuozerii aktorskiej, dla polskiego języka, dla aktorów zdolnych prowadzić scenicznego bolida F1, pod dyktando reżysera klasy najwyższej.

Kiedy powstawała „Lalka", nie było fotografów i filmowców. Dramaturdzy i pisarze „kręcili filmy" pięknym słowem. Tak utrwalali żywy obraz czasu i świata. My na scenę wprowadzamy poetykę szaletów, niekoniecznie publicznych. Czy tam właśnie współcześni Wokulscy chodzą się wieszać? To jakaś totalna skucha w imaginacji inscenizacyjnej. Że to niby metamorfoza, taka „rozdarta sosna"?

Ratunku!

Noblista Czesław Miłosz nazwał „Lalkę" arcydziełem pozytywizmu: to „**XIX-wieczny realizm w najlepszym wydaniu**". W *London Review of Books* Patrick Parrinder stwierdził, że „Lalka"to „**najwybitniejsza realistyczna powieść XIX-wiecznej literatury polskiej**", podkreślając zarazem, że mimo dużej objętości pozostaje ona dziełem niezwykle przyjemnym w lekturze.

Stanisław Barańczak we wstępie do wydania angielskiego zauważył, iż powieść Prusa jest równocześnie „staroświecką, lecz wciąż fascynującą opowieścią miłosną, pozostaje aktualną diagnozą chorób społecznych oraz sugestywnym portretem tragicznie skazanego na klęskę człowieka".

Współcześni krytycy zwracają uwagę, że „Lalka" oparła się upływowi czasu lepiej niż wiele utworów pisarzy nagrodzonych Noblami z jej epoki – dziś jest uznawana za prawdopodobnie największą polską powieść XIX wieku.

Feblik

Podmuch świeżego powietrza przed gmachem teatru przywrócił spokój i miarowy oddech. Drobna mżawka chłodziła nasze, z pana Prusem - rozpalone twarze. Nagle i zupełnie niespodziewanie ujęła obu nas pod ramiona nasza… teatromanka.

- Kochał baron Ewelinę czy nie?… — zapytała.
- Wariował za nią!
- Otóż nieprawda, on udawał, że ją kocha, kłamał, że ubóstwia… Ale przy najpierwszej sposobności dowiódł, że nawet nie traktował jej jak równego sobie człowieka, ale jak niewolnicę, której za chwilę słabości można założyć powróz na szyję, wyciągnąć na rynek, okryć sromotą… O, wy panowie świata, obłudnicy!… Dopóki was zaślepia zwierzęcy instynkt, włóczycie się u nóg, gotowiście spełnić podłość, kłamiecie: ty najdroższa… ty ubóstwiana… za ciebie oddałbym życie… Kiedy zaś biedna ofiara uwierzy waszym krzywoprzysięstwom, zaczynacie się nudzić, a jeżeli i w niej odezwie się ludzka, ułomna natura, depczecie ją nogami… Ach, jakie to oburzające, jakie to nikczemne… Czy mi pan co nareszcie odpowiesz?…

Niepostrzeżenie wysunąłem moje ramię spod uścisku teatromanki, zwolniłem kroku i patrzyłem, jak ta doprawdy urocza para kroczyła bulwarem Wałów Chrobrego…

- Czy pani baronowa nie romansowała z panem Starskim? — zapytał Wokulski.
- O!… zaraz romansowała. Flirtowała go, zresztą miała do niego feblik…
- Feblik?… Nie znałem tego wyrazu. Więc jeżeli miała feblik do Starskiego, to po cóż wyszła za barona?
- Bo ją oto błagał na klęczkach… groził, że odbierze sobie życie…
- Przepraszam, ale… Czy on ją błagał tylko o to, ażeby raczyła przyjąć jego nazwisko i majątek, czy też i o to, ażeby nie miała feblika do innych mężczyzn?…
- A wy?…a mężczyźni?… co wyrabiacie przed ślubem i po ślubie?… Więc kobieta…
- Proszę pani, nam jeszcze, kiedy jesteśmy dziećmi, tłumaczą, żeśmy zwierzęta i że jedynym sposobem uczłowieczenia się jest miłość dla kobiety, której szlachetność, niewinność i wierność trochę powściągają świat od zupełnego zbydlęcenia. No, i my wierzymy w tę szlachetność, niewinność ***et caetera***, ubóstwiamy ją, padamy przed nią na kolana…
- I słusznie, bo jesteście daleko mniej warci od kobiet.
- Uznajemy to na tysiące sposobów i twiedzimy, że wprawdzie mężczyzna tworzy cywilizację, ale dopiero kobieta uświęca ją i wyciska na niej idealniejsze piętno… Jeżeli jednak kobiety mają nas naśladować pod względem owej zwierzęcości, to niby czymże będą lepsze od nas, a nade wszystko: za co mamy je ubóstwiać?…
- Za miłość.

Uwspółcześnić "Lalkę"...

Mamy dostać w prezencie nowy teatr. Współczesny. I takie w nim będą "Lalki" w repertuarze sie trafiały? Pan Prus sugerował, że może "Faraona" udałoby się "przerobić", tzn. uwspółcześnić? Jestem za. Mamy przecież świetnego kandydata - "kierownika wszystkich kierowników".

Koniec początku

Nie będzie nowego teatru Współczesnego w marszałkowskiej Kwadraturze Owalnego Sześcianu Kultury. Pomysł takiego szczecińskiego hollyłudu padł - podobno - definitywnie.

Ale to nie koniec, problemów, to dopiero początek końca!

A ten może trwać, i trwać, i nawet jeszcze dłużej nie tylko kisnąć, ale i kisić się.

Kosmetyka i chirurgia mają jedną cechę wspólną. Szybkość. Nic bardziej okrutnego jak wolne zrywanie starego opatrunku. To już lepiej złamać kość jeszcze raz. Szybko, trochę głośno i po szoku. A przy wolnym zdejmowaniu plastra depilacyjnego wyjesz z bólu aż do omdlenia. Nam funduje się właśnie ten drugi wariant. Z klapkami na oczach brną liderzy w ślepy zaułek, teraz gdzieś w okolicach Krasińskiego, zwieńczony lśniącym Teatrem Współczesnym. **Budowlą, a nie ideą!**

W nowej sytuacji jeszcze bardziej zasadne wydaje się jasne, wyraźne, niebudzące wątpliwości uzasadnienie: JAKI TEATR WSPÓŁCZESNY mielibyśmy sobie, my, szczecinianie zafundować? MY, a nie marszałek czy milczący dyrektorzy Teatru Współczesnego. Cała trójka ma jedną cechę wspólną – kadencyjność. A MY – tu zostaniemy. Z ich „nie naszymi" wizjami.

Zatem – jaki teatr? Z kim o teatrze rozmawiać? Bilety sprzedawane są w 80% zakładom pracy, firmom i biurom. W Niemczech teatr finansowany jest przez widzów, przez abonamenty roczne. Podoba mi się repertuar - chodzę i płacę. Nie podoba - rezygnuję. U nas - celem jest utrzymanie teatru, a nie spełnianie oczekiwań widowni. Z drugiej strony - ludzie pójdą na wszystko, bo pamiętają TEATR.

Dlaczego nikt nie powie wprost: zbudujemy teatr taki jak tankowiec, drobnicowiec, żaglowiec lub łódź podwodna. Jasno i otwarcie.

Pieniądze? Zmarnują się – martwi się marszałek. Nie. Zapewne zostaną wydane na inne, bardziej uzasadnione i społecznie akceptowane cele. Niekoniecznie przez nas. Ale dla nas.



Pokaż mi takie miejsca w Polsce

(tekst dedykuję realizatorom „Lalki” w Teatrze Współczesnym w Szczecinie)

Bez wątpienia - są takie miejsca także i u nas. Może nawet piękniejsze. Ale jaki procent społeczeństwa z nich korzysta? Są gwarantowanym standardem czy luksusem?

- Moja ciocia płaci miesięcznie 10 EUR za metr powierzchni w okresie grzewczym.

- To dużo? Nie wiem…

- Policz. To „mieszkanie na starość” ma 60 metrów kwadratowych… Ganek i taras… Wszystko na parterze. Żadnych schodów.

- Nieźle!

- Taki na tym osiedlu panuje standard. Miesięcznie – 600 Euro.

- Dużo czy mało? – dopytuję.

- Dla nas wszystko jest za drogie…

Śmiejemy się umożliwiając przejazd ciężarówce, która przywiozła materiały budowlane.

- No i możliwość korzystania z tego….

Moja rozmówczyni wskazała duży, obłożony jeszcze rusztowaniami budynek – centrum rehabilitacji i rekreacji. Poza tym – wycieczki, wyjazdy, pikniki, spacery.

Idę przez to najnowsze osiedle, jedno z czerech tylko w tej miejscowości.

- Nie, pięć. Zapomniałaś o tym przy Prenzlauer Strasse? – do rozmowy włącza się sąsiadka ciotki mojej rozmówczyni.

To prawda. Ten najnowszy kompleks jest mniejszy, ale mieści się w zielonym centrum miasteczka, na skraju przepięknych błoni, pełnych błotnego ptactwa. Sprawia wrażenie „szczególnie oświetlonego”. Ta konstatacja nieco mnie zaskoczyła. Ale to fakt. Kompleks długich budynków typu bungalow tworzy zamkniętą przestrzeń. Literę „U”. Całość sytuowana jest tak, aby w zależności od pory roku – każde z mieszkań, choć przez chwilę, miało widok na wschodzące słońce. Taki drobiazg… Z trzech stron – stara zieleń, łagodząca ostre popołudniowe zachody słońca.

- Łącznie, w tej podkówce mieszkają czterdzieści dwie osoby. Nieco inne osiedle jest także z tamtej strony miasteczka, od wjazdu ze Szczecina. Tam także, standardowe mieszkanie ma dwa pokoje, łazienkę, kuchnię oraz przedpokój. I żadnych schodów! Personel pielęgnacyjny i lekarze to grupa międzynarodowa. Jest tu rzeczywiście wiele osób z Polski, przede wszystkim lekarze. Niektórzy od lat mieszkają w okolicy, są już „ludźmi stąd”, ale wielu codziennie dojeżdża do pracy ze Szczecina.

- Okres oczekiwania na nowe miejsce to minimum rok. Podpisuje pan umowę, firma buduje osiedle i klucze otrzymuje pan po około roku. – Poznaję kolejną sąsiadkę. - Kolejka chętnych jest rzeczywiście duża.

- W jakim procencie zaspakajane są tutejsze potrzeby na takie mieszkania dla osób starszych?

- O! O wiele za mało jest tych obiektów. Ludzi starych jest coraz więcej. I ta tendencja chyba długo się nie zmieni. Firmy budowlane i deweloperzy, wspierani przez państwo mają sporo roboty.



- Jeśli wziąć pod uwagę tylko nasz regon Löcknitz-Penkun – wtrąca się sąsiadka mojej rozmówczyni, – to cztery razy tyle podobnych ośrodków byłoby za mało.

- No tak, a na tym obszarze mieszka około pięciu tysięcy abonentów naszej gminnej gazety – dopowiada kolejna lokatorka osiedla. – Stąd wiemy, ilu nas tu jest.

To kolejne ciekawe spostrzeżenie. Gmina wydaje swoją gazetkę z rozporządzeniami, gratulacjami dla jubilatów, nekrologami i newsami z okolicy. Ludzie spoglądają zawsze na nakład gazety, bo na tej podstawie dowiadują się, czy mieszkańców ubywa, a może przybywa?

- Starzy ludzie nie mają narodowości. Starzy ludzie mają zespół cech wspólnych – mówi lekarz, od wielu lat zajmujący się pracą z niemieckimi emerytami. – Nie zaskoczę pana żadną egzotyką czy szczególnymi przypadkami. Ci ludzie potrzebują opieki medycznej na elementarnym, a niekiedy bardziej specjalistycznym poziomie. Ale przede wszystkim – najlepszą terapią jest pozostawanie w społeczności. Widział pan ten najnowszy zbudowany zaledwie przed chyba dwoma laty kompleks rehabilitacyjny i hotel? Gdzie został on usytuowany? W najściślejszym centrum miasteczka! Szok, prawda? W Polsce – byłby to najdroższy plac w mieście. Tu – przeznaczono go dla ludzi starych. Z każdego okna widzi pan życie miasta. Wychodzi pan z tego heimu wprost na miejską ulicę. Tu jest rynek, na który przyjeżdżają komiwojażerowie ze swoimi straganami, tam jest supermarket, kościół, fryzjer, dwa banki, urząd gminy. I poczta. Ci ludzie ani na chwilę nie pozostają odcięci od społeczeństwa. Mają lepszą opiekę niż w domu, gdzie ich bliscy biegną do pracy, do szkoły. Ale wszyscy mogą spotykać się, kiedy chcą i spędzać czas tak długo, jak tego pragną. Tu, w świetlicy.

- Tak, podcieramy im tyłki, jak pan powiedział. Trzymamy ich za rękę. Często w ostatniej chwili życia. Rozmawiamy. Ale z niektórymi - bez słów. Niektórzy opowiadają nam o swoim dzieciństwie, proszą o różne przysługi. Miło jest widzieć ich wdzięczność. I tak jak doktor powiedział – tu nie ma podziału na narodowości. Tu jest wspólnota celu. My im pomagamy, bo taka jest kolej rzeczy.





Wśród moich bliskich, pewną ich udręką, były „karteluszki".
- Oooooo! Nie wyrzucaj, bo tam coś ważnego mogłem zapisać… I upychałem te moje fiszkowe „raporty" - gdzie się dało, by po latach odnajdywać je ku zadumie, radości, stresowi, ale zawsze z wielkim sentymentem.
Dziś treści "karteluszek" łączę w całość ze współczesnością, oglądaną przez szybę Czasu, zmatowioną jego upływem. Ot, taki „porannik codzienny".



Niemcy
część trzecia

DDR

(Lubieszyn, stacja benzynowa, połowa marca 2025)

- Zaraz, zaczekaj!

Niemiec zauważył, że chcę zaparkować obok niego. Zatrzasnął drzwi pasażera podjechał metr do przodu. W prawym dolnym rogu tylnej ścianki jego auta dostrzegłem tabliczkę z oznaczeniem „DDR".

Zauważył, że wpatruję się w tę plakietkę.

- Wierność wobec oryginału…
- Chcesz powrotu DDR? – nie kryłem zdziwienia.
- Nie. Wierność wobec oryginału całego wyposażenia auta. To model z okresu DDR. Nie znajdziesz Niemca, który chciałby powrotu DDR.
- Aż tak źle ci było?
- Nie gorzej niż dziś.
- A skąd jesteś?
- Ueckermünde.
- To kawałek.
- Zakupy, a przy okazji odwiedzimy syna. Mam dwóch. Jeden został tutaj, przy granicy. Ma całkiem duże gospodarstwo rolne.
- A ty?
- Już emeryt, całe życie „kręciłem"! Od 1991 roku byłem kierowcą ciężarówek w ruchu międzynarodowym. Teraz jeździ mój drugi syn. No, nieźle zarabiałem. Ale, rozumiesz, pies ma budę, a ja – ciągle byłem w drodze. Człowiek bez domu.
- Nie to co teraz…
- A i owszem, nie najgorzej, choć wku..y jestem jak nigdy wcześniej. Wybory mieliśmy dopiero co i...
- … i głosowałeś na AfD…
- Nie o to chodzi. Głosowałem przeciwko wyzyskowi, jaki Europa stosuje wobec nas, Niemców. Kto najwięcej wpłaca do wspólnej kasy? Całe życie pracowałem. Płaciłem wszystkie podatki. I teraz od emerytury mam dalej płacić podatki? Chcę wszystko oddać dzieciom. To wymyślili, że mam jeszcze raz zapłacić podatek od życiowego dorobku!
- Tyle płacicie, ale też nie mało z Europy bierzecie?
- Bo mamy z czego płacić? A z czego mamy to, co mamy? Ukradliśmy? Powiem ci tak – w jednej sekundzie zatrzymałbym wszystkie wypłaty z socialu. Te zasiłki dla bezrobotnych. Ty wiesz, ilu naszych ludzi głowi się i ciężko pracuje, żeby…. nie pracować? Jestem za przymuszeniem bezrobotnych do szukania pracy.

Do auta podeszły dwie starsze panie. Te same, które przed kwadransem spotkałem w jednym z marketów. Stały tam i w skupieniu czytały gazetki reklamowe. Obie miały w dłoniach smartfony z aplikacją tłumaczącą teksty z polskiego na niemiecki.

- Te same produkty co i u nas – a niektóre o wiele taniej.
- Mój mąż uwielbia parówki z żółtym serem. U nas – zbankrutowałabym, gdybym kupowała tyle, ile on potrafi zjeść. Tutaj jest taniej.
- Miesięcznie - ile oszczędzisz na tych parówkach?
- Nawet dwadzieścia euro!

Śmieją się, wkładając torby z zakupami do bagażnika. Obie już po wizycie u fryzjera, wyraźnie zadowolone.

- Gdyby tu jeszcze była jakaś elegancka, ale naprawdę elegancka kawiarnia z domowym ciastem…
- Ale przecież jest, pięć metrów za linią graniczną, wasza, po niemieckiej stronie…
- E, leśna buda. Ja mówię: porządna kawiarnia, rozumiesz? Elegancka.

Obie panie poszły na dalsze zakupy. Mój rozmówca zaproponował skręcenie papierosa.

- A, lubię, dwa-trzy dziennie. Już nie to zdrowie.
- Przeprowadź się do Polski. Wszystko kupisz taniej, nawet benzynę…

Kierowca pokazał dłonią tę stronę auta, której z chodnika nie widziałem. Stały tam trzy kanistry pełnie benzyny.

- Znam dwie osoby, które kupiły w Szczecinie mieszkania. Oni nawet zarabiają, bo te mieszkania wypożyczają znajomym, którzy chcą spędzić w Szczecinie kilka dni. Hotele są za drogie. Poza tym, rozumiesz, jakoś w domu to jednak w domu…
- Na kilka dni, na zakupy?
- Nie. Nie tylko. My całe życie spędziliśmy na wsi albo w jakichś małych mieścinach. Berlin za drogi. A chciałoby się trochę pochodzić po dużym mieście…

Potarł zapałkę o draskę. Syk siarki i buchnął płomień, którego nie dałoby się skrzesać dawnymi sianowskimi patyczkami... Jednak… Jednak lubię zapach dobrego tytoniu…

Nie palę już ćwierć wieku, ale pamięć tego pierwszego zaciągnięcia się, pozostała. Tak jak ich tęsknota za dużym miastem.

Sałatka ze śledzia z buraczkami

(Bremerhaven, 1982)

Pierwsza noc. Obcy dom. Obcy ludzie. Wszyscy pytają mnie tylko o Kriegszustand. Pytają. Nie komentują. Do dziś zastanawiam się: nie rozumieli czy bali się porównań?

Cisza. Uchyliłem okno połaciowe. Wielka łuna świateł nad portem. A z drugiej strony to już pewnie przedmieścia portu w Bremie? Nie byłem przyzwyczajony do takiej ciszy. Uśmiechnąłem się na myśl, że tu nawet owady w nocy nie hałasują, a auta w kapciach jeżdżą.

Obudził mnie ledwie słyszalny odgłos klapki od skrzynki na korespondencję. Po chwili Elke zeszła na dół. Z plikiem gazet i folderów reklamowych weszła do kuchni. Poznałem po odgłosie, jakie wydaje jedno krzesło, gdy się je przesuwało po podłodze.

Elke siedziała nad wycinkami z gazetek reklamowych i przekładała je, jakby to były puzzle.

- No, to już wiadomo, co dziś robimy – powiedziała, gdy wszedłem do kuchni, a ona już sięgnęła po świeżo zaparzoną kawę.

Zebrała wycinki, układając je w plik-książeczkę, a całość spięła dużym biurowym spinaczem.

- Najpierw pojedziemy po sałatkę kartoflaną. Dwa wiaderka w cenie normalnej, ale trzecie tylko dziś - za pół ceny! Potem jogurty. Chłopaki nie potrafią zjeść jednego. Muszą mieć przynajmniej po trzy. A te są dziś, w paletach, w promocji także 2 +1 za pół ceny. Najważniejsza jest sałatka śledziowa z buraczkami. Wezmę całe wiaderko. Wieczorem zniknie w oka mgnieniu. Mówiłam ci? Będziemy mieli gości. A w restauracji portowej jest dziś kiermasz. Czyli obiad zjemy pod parasolem. Pamiętaj, żeby nie zamawiać żadnego głównego dania. Jest drogo i się nie najesz. Ale możesz cały talerz wypełnić małymi porcjami do degustacji. Oni tyle tam tego narobią, że i przez tydzień nie przejesz choćby połowy.

Ruszyliśmy po lekkim śniadaniu i dużej kawie. Erwin zatrzymał się na pobliskim parkingu przy markecie, którego Elke nie miała w planie tej wyprawy.

- Jest ok. On tak zawsze. Idzie po kupon totolotka.

Każdy z nas dostał prawo do skreślenia przydzielonej (pod względem ważności w grupie) ilości cyfr.

Ja mogłem skreślić tylko jedną.

Zakupy i degustacja były rzeczywiście udane.

- Dwadzieścia pięć marek zaoszczędzone.
- Ale… paliwo – zapytałem. – No i ponad pół dnia poza domem.
- Paliwo zabierze połowę tej kwoty. Więc ile zostanie? Czy opłaca się? A możesz powiedzieć, gdzie jest takie miejsce, w którym ktoś rozdaje innym po dwadzieścia pięć marek? Za darmo? My nie lubimy wydawać mało. Bo takie małe kwoty od razu mówią – widzisz, tracisz wszystko, co zaoszczędziłaś na dzisiejszych promocjach.

Trudna i dość specyficzna filozofia. Każda transakcja i każdy dzienny bilans oraz zaoszczędzona kwota była wpisywana w elkowym zeszycie.

Pojechaliśmy na boisko piłkarskie. Erwin jest ich trenerem młodzieżowej drużyny piłkarskiej.

- Zaczekaj! Kawę wypijemy w klubie – zareagowała Elke, gdy do kubka chciałem nalać wodę z kranu. – Mają tam dwa ekspresy (wtedy - nowość). Na pewno będzie też ciasto.

Wieczorem Erwin znów zatrzymał auto przy kolekturze totalizatora.

- Zobacz! Wygraliśmy!

Erwin wyraźnie zadowolony (nie wiem, czy kiedykolwiek widziałem inny wyraz jego twarzy) pokiwał głową.

- No, mów, ile? - doptywała Elke.
- Wystarczy!

Erwin trzymał ten tajemniczy wyraz twarzy do końca ceremonii podziału wygranej.



- Ty – kładł na otwartą dłoń żony banknoty - dostajesz swoje, raz, dwa, trzydzieści marek. Ty, Marek, dostajesz - dziesięć – zrobiłeś tylko jedno skreślenie. Reszta moja. Każdemu na miarę jego wkładu w wygraną.

Na tarasie, wieczorem królowały dwa tematy. Ktokolwiek przechodził obok furtki ogrodowej dowiadywał się, że dziś tanio kupiliśmy sałatkę ze śledzi w buraczkach i wygraliśmy sto marek.

Kubek z żaglowcem

(Osnabrück, 1977 [?], centrum handlowe na przedmieściach)

Chciałem przejść na drugą stronę długiego stołu pełnego gadżetów i upominków o tematyce morskiej. Bardzo spodobał mi się wysoki, wąski kubek z trójwymiarowym wzorem liny, oplatającej jego cylinder. Nagle mignęła mi przed oczyma znajoma twarz.

- Podobna do B…? - pomyślałem.

Po chwili ta pospieszna myśl dała o sobie znać już wyraźnym napomnieniem i myślą, że to mogła być ona…? B.? Chyba najlepsza na roku stomatolożka. On, też dentysta, ale wyjechał kilkanaście miesięcy wcześniej. To ona prosiła mnie bardzo o wrzucenie listu do pierwszej pocztowej skrzynki po tamtej (czyli już tej) stronie granicy. Zrozumiałem, co mogła zawierać tamta przesyłka.

- Tak to będzie szybciej, bo jak przez pocztę to nawet i miesiąc taki list będzie szedł do odbiorcy – przekonywała.

Odnalazłem ją w tłumie. Nie udawała zaskoczenia. Ona też mnie zauważyła, ale z jakiegoś powodu – przeszła obok.

- Ja też w pierwszej chwili nie mogłam uwierzyć, że to ty. Tutaj?

Jedną dłoń trzymała na rączce wózka. W nim spało maleństwo, nie więcej jak dwumiesięczne.

- Tutaj urodziłaś?

- Uhmu… Ledwo zdążyłam. Przyjechałam w nocy, około drugiej, a w południe Kasia już była ze mną…

- To znaczy… - drażniła mnie ta liczba pojedyncza w opowieści B.

- Teraz ci mogę powiedzieć. Ta koperta, którą prosiłam, żebyś wrzucił do skrzynki, jak będziesz na Zachodzie…

Potwierdzenie pochodzenia niemieckiego. Dokumenty przodków albo papiery rodzinne o krewnych na przykład w Ameryce, do których zainteresowany będzie chciał jak najszybciej pojechać. Przez Niemcy. Bo z Polski – rzecz niemożliwa.

Ludzie wtedy zamykali oczy na wszystkie aspekty historyczne, narodowościowe, tragedie rodzinne, a chwytali się najcieńszych rodowodowych nitek, aby uzyskać pretekst do wystąpienia o zgodę na przesiedlenie. Mieszkać i pracować wszędzie tylko nie w Polsce.

- A ja sądziłem, że…

- … że to był list miłosny? Dziecko jest jego, ale tu się okazało, że on już ma drugie. Także dziewczynka, o tydzień od Kasi starsza…

Rozpłakała się bezgłośnie. Kosmyk włosów zsunął się na brwi, przeskoczył na rzęsę, pociągnął głowę w dół.

- Nie wrócę. Kasia będzie miała niemieckie obywatelstwo, bo się tutaj urodziła. Takie dzieci dostają pomoc. A w Polsce? Zapłakałabym się na śmierć ze wstydu.

Niektóre z tych listów, które wrzucałem do zagranicznych skrzynek – wierzę w to do dziś - były rzeczywiście wyznaniami uczuć. Tyle, że często zostały obudowane szczegółami o tym, że kiedyś nadejdzie ten dzień, gdy spotkamy się w domu mojej ukochanej cioci, która… I tu już opisane zostały detalicznie kwestie rodowodowe.

- Kup, proszę znaczek na poczcie i wyślij pod ten adres.

Inny ktoś hipnotycznie patrząc mi w oczy mówił:

- On uwielbia krzyżówki. Daj mu tę gazetę. Tu jest krzyżówka dla niego.

Spojrzałem na zrulowane czasopismo. Zacząłem przerzucać kartki. Rzeczywiście, była tam krzyżówka na prawie całą stronę. Ale w połowie już rozwiązana? Zdziwiłem się.

- Nic nie mów, tak ma być. On musi dokończyć.

Po latach okazało się, że hasła wpisane w tę krzyżówkę, w kolejne rzędy i kolumny czytane „metodą”, zawierały dane osobowe, jakieś adresy.



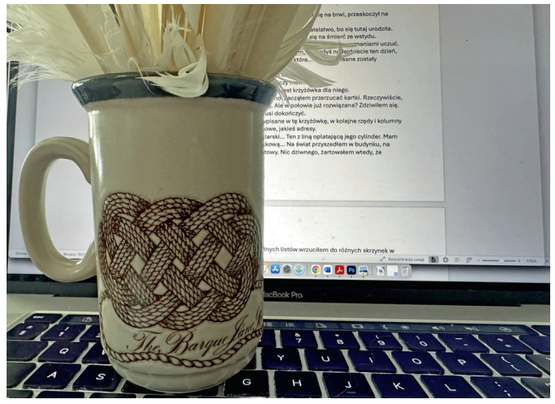

Trzymam więc w ręku ten kubek żeglarski… Ten z liną oplatającą jego cylinder. Mam go do dziś. Kojarzy mi się z pocztą butelkową…

Na świat przyszedłem w domku, na parterze którego mieścił się urząd pocztowy. Nic dziwnego, żartowałem wtedy, że urodziłem się… listonoszem. Kilka prywatnych listów wrzuciłem do różnych skrzynek w Niemczech, w Szwecji czy Danii. Do niedawna spotykałem na moim osiedlu, przy którym mieszkałem – ówczesnych rozbitków, którym wysyłałem dokumenty. Krewnych i niemieckich przodków nigdy nie mieli. Ale nosili nazwisko, które choć po polsku pięknie brzmiało, to po niemiecku wyglądało o wiele lepiej w wersji pisanej w paszporcie. Kiedy dorobiwszy się, wrócili, kupili wille, założyli biznesy to wyczyścili dawną pamięć. Kto by tam pamiętał o jakimś… listonoszu.

Landsleute

(Bled, Jugosławia, 1990 lub 1991)

Przejechawszy pół Europy, rano zaparkowałem przed bajecznie usytuowanym pawilonem kongresowym w Bled w Jugosławii.

- Pamiętam to jezioro i tory treningowe dla wioślarzy. Tafla jeziora wypełniała nieckę skalną. Jeden brzeg tej wody graniczył z głębokim urwiskiem – zachwycał się kiedyś Ryszard Stadniuk, olimpijczyk, który bywał w Bled na zgrupowaniach, gdy mu wspomniałem o tym miejscu.

Poranne mgły czyniły widok wręcz bajkowym. Lekkie podmuchy wiatru kręciły z mgielnymi tumanami różne walce i poleczki.

Obrady krajowych delegatów Circom Regional, stowarzyszenia wszystkich europejskich stacji regionalnych należących do telewizji państwowych w Europie już się rozpoczęły. Bezszelestnie, jak mi się wydawało, wszedłem na salę konferencyjną. Oczywiście – wszyscy odwrócili głowy, a prowadzący obrady, Peter Zimmermann z Bayerischer Rundfunk spojrzał spod okularów, z wyrazem miłej dezaprobaty dla mojego spóźnienia. Z prawej strony zobaczyłem, że ktoś uniósł rękę, pokazywał mi jedyne wolne miejsce. Przecisnąłem się, usiadłem, choć ze wstydu wolałbym schować się pod stół. Punktualność dla tych ludzi była podstawą ich funkcjonowania. Starszy pan uśmiechał się i powiedział półgłosem, że to nic, każdemu się może takie małe spóźnienie przytrafić.

Przedstawiłem się. Mężczyzna zbladł. Skąd? Ze Szczecina – powtórzyłem. On zdjął okulary, uniósł lekko głowę w wymownej pozie, typowej dla wagnerowskiego bohatera.

- Aus Stettin? Ja też jestem ze Szczecina… - ręką zakrył usta, uświadamiając sobie, że wręcz krzyknął, ponownie zwracając na nas uwagę całej sali.

- No to jesteśmy krajanami… - wypaliłem, od razu reflektując się, że mnie chyba też trochę poniosło.

Pan Falkenberg, jak się chwilę później dowiedziałem, współtwórca i organizator Circom Regional wstał, odwrócił się w moją stronę i wyciągnął rękę. Oczywiście ja też wstałem. Patrzyliśmy sobie w oczy. Peter Zimmermann ponownie przerwał swoje przemówienie.

- Panowie?

- Jesteśmy krajanami… - redaktor Falkenberg wypowiedział to zdanie scenicznym szeptem, ale słyszalnym w każdym zakątku tej sali, z oknami wychodzącymi na to najpiękniejsze górskie jezioro Europy. O tej porze uwolnione już od eterycznej porannej mgły.

Ktoś klasnął w dłonie, po chwili – wszyscy się uśmiechali, powtarzali to słowo, którego użył pan Hans-Geert Falkenberg.

– Landsleute… Landsleute…

Człowiek-legenda niemieckich mediów, szczególnie telewizji. Dziennikarz, komentator, potem menedżer, reformator, człowiek, który określał porządek w europejskim systemie telewizji państwowych. Koordynator wszystkich najważniejszych regulacji prawnych na europejskim rynku medialnym. Szczecinianin.

Na kolejnych konferencjach zawsze siadaliśmy obok siebie, żeby… pomilczeć.

- Wiesz, znasz, byłeś, widziałeś…? - I wymieniał nazwy ulic, numery domów, wspominał firmy, instytucje, warsztaty rzemieślnicze, szkoły.

Byłem strasznie podekscytowany, gdy zarząd Circom Regional zgodził się i przyjął moje zaproszenie, aby druga edycja festiwalu Prix Circom Regional odbyła się w Szczecinie. W naszym Ośrodku Radiowo-Telewizyjnym.

- Nie wiem, czy dam radę… – powiedział mi Hans-Geerd, gdy po ogłoszeniu przez Petera Zimmermanna decyzji o szczecińskiej edycji festiwalu, gratulował mi realizacji pomysłu. – Nie wiem, czy starczy mi sił, aby przyjechać.

- Don Chaos – odważyłem się jeden raz w życiu tak się do zdecydowanie starszego kolegi odezwać, przywołując jego środowiskowy pseudonim. – Co sobie pomyślą wszyscy inni, kiedy przyjadą do Szczecina i zobaczą, że nie siedzimy obok siebie?

Ujął mnie mocno za przedramię, uścisnął i…

Rosenregatta

(Świnoujście, Monachium, Budapeszt, Saarbrücken, Los Angeles 1989 - 1993)

Oni ciągle trwają w tym zjednoczeniowym amoku – zapisałem na marginesie folderu targów żeglarskich w Hamburgu w 1990.

Każdy mówił wtedy o obaleniu muru berlińskiego. Ale wiosną 1989 roku, podczas międzynarodowej konferencji „West-East”, poświęconej współpracy i wymianie kulturalnej między Europą Wschodnią i Zachodnią nikt nie przypuszczał, że te marzenia się spełnią tak szybko. Planowaliśmy tam, w Budapeszcie, wiele inicjatyw programowych z udziałem Telewizji Polskiej już w ramach kooperacji europejskiej. Magia Wałęsy działała niezwykle skutecznie. Rozmawiałem właśnie z menedżerem węgierskiej grupy Locomotiv GT, gdy przysiadł się do naszego stolika dyrektor sopockiego festiwalu piosenki. Wielkie koncerty, wielkie międzynarodowe i wielodniowe imprezy na największych stadionach i salach koncertowych świata. Transmisje satelitarne umożliwiały już przekazy w czasie rzeczywistym. Kilka tygodni później, w podobnym gronie, lecieliśmy do Los Angeles. Tam jest organizowany festiwal festiwali. Wszyscy laureaci lokalnych festiwali ruszą przez świat z piosenką niosąc ideały świata bez granic… Taka była idea.

Jürgen Hassel z WDR był wziętym nawigatorem. Nie tyle żeglarzem co posiadaczem i szyprem wielkiej mieszkalnej barki, która cumowała w Amsterdamie.

- Jedziemy, po drodze o wszystkim ci opowiem.

Jürgen był dyrektorem wykonawczym Prix Circom Regional. Żartowaliśmy, obserwując jego zaangażowanie, że jest telewizyjnym misjonarzem Europy. To on skontaktował mnie z ekipą produkującą doroczne wielkie show Rossenregatta, w ramach projektu „Kurs Europa”.

- Słupy graniczne łatwo wbić w ziemię - mówił. - Możesz przestrzeń zagrodzić. Ale woda sama sobie buduje brzegi. W wodę żadnych słupów granicznych nie wbijesz. A tą wodą my też jesteśmy…

Teraz…

Teraz, gdy po latach porządkuję tamte notatki, dostrzegam aspekty towarzyszące ówczesnym spotkaniom i wspólnym akcjom, wynikające z jakichś atawistycznych wręcz przesłanek. Ludzie nie rozumieli żelaznej kurtyny. Wbijano nam w głowy jej nienaruszalność. Nieodzowność. Wtłaczano przekonanie, że nasz świat jest lepszy od świata po drugiej stronie. Że ludzie stamtąd są do nas wrogo nastawieni. Tamci z kolei trwali w poczuciu winy. Za wojnę, to oczywiste. Ale do dziś wielu z nich nie potrafi zrozumieć, że minęły, odeszły pokolenia winnych. My, ich potomkowie, cierpimy i wstydzimy się za ojców, lecz sami nie poczuwamy się do winy.

Ile podobnych dyskusji wówczas wiodłem? Jak bardzo każdy z nowo spotkanych ludzi po tamtej stronie uznawał za konieczne powiedzieć mi: jesteśmy ci życzliwi. Na gruncie telewizyjnym owa chęć współpracy była wręcz manifestowana.

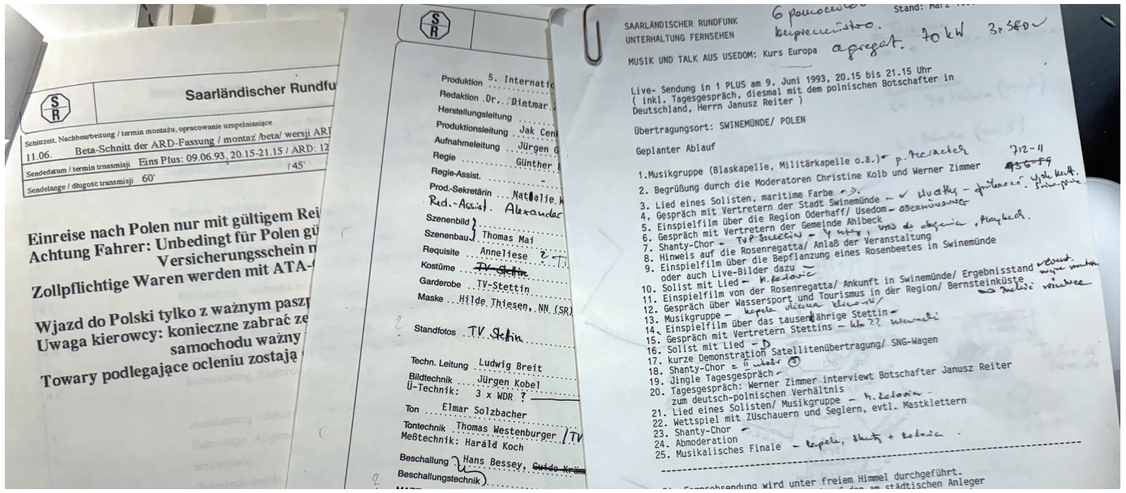

W Amsterdamie, niemal w centrum, już czekała na nas znajoma Jürgena. Jeśli ma sens porównanie: prowadziła motorówkę „na wysokich obcasach” to niech to określenie wystarczy na określenie wirtuozerii, z jaką mknęliśmy do zacumowanego przy palach pływającego domu mojego kolegi.

- To bardzo popularny program estradowy. Wielki show. Ludzie uwielbiają te klimaty biesiadne, z dobrymi moderatorami, znanymi gośćmi, z pięknymi ujęciami plenerowymi.

Umyśliliśmy, że tegoroczną edycję programu zorganizujemy w… Świnoujściu.

Nie mogłem zareagować inaczej jak entuzjastycznie. Zaraz… My, z Niemcami, satelitarnie, pierwszy raz w historii Telewizji Polskiej, na żywo, ze Świnoujścia, artyści z obu krajów i z Ameryki… Tchu brakowało, gdy czytałem scenariusz.

Majestatyczna plattbodenschiff sunęła w stronę wattenmeer, aby zdążyć przed odpływem.

- Pamiętaj, najpopularniejsi wykonawcy z twojej strony. Rób co chcesz, ale musi być Maryla Rodowicz – Jürgen położył przede mną „prospekt” programu. Mam go do dziś. Pokreślony, pełen notatek. Zrealizowany w całości.

Koncert wypadł doskonale. Oszałamiające dla naszych realizatorów było to, jak w zachodnich stacjach przygotowuje się podobne show. Kilka tygodni wcześniej przyjechała do nas cała ekipa ich realizatorów. Najbardziej fascynował mnie scenograf, który z dwoma pomocnikami błyskawicznie szkicowali niemal wszystkie ujęcia planów dla głównych kamer. Potem, w hotelu, siedzieliśmy nad rysunkami i… odbijaliśmy piłeczki z życzeniami.

- Wiesz, jakby się udało ten pomost przedłużyć o dwa metry, a ten maszt przesunąć o trzy…

Rany! On jest z Księżyca, myślałem? Dla telewizyjnej transmisji mielibyśmy przebudować marinę? Kiedy jednak przeszliśmy do szkiców wnętrz kawiarni i restauracji, do plenerowej sceny – zastanawiałem się, czy mam zwolnić się z pracy teraz czy zaraz?

Niewykonalne są te ich pomysły! Niemożliwe!

- Ale domyślasz się, jakie byłyby koszty takiej przebudowy? – trzeźwiłem zapędy gości.

- Ale o ile lepiej to wszystko będzie wyglądało! My po transmisji zabierzemy nasze klocki, a wam zostanie tak piękne miejsce.

Restauratorzy i bosman przystani przyszli wieczorem na zebranie. Nie wiedziałem, jak zagadnąć, zapytać. Nie musiałem jednak nic mówić.

- Zrobi się – powiedział właściciel tarasu kawiarnianego.

- Pomost dłuższy o jeden „skok” – załatwione.

Termin koncertu zbliżał się szybciej niż cokolwiek i kiedykolwiek. Podejrzewałem nawet, że Ziemia chyba szybciej się teraz kręciła.

Najdłuższe debaty miałem z lokalnym Urzędem Celnym. Niemieckie wozy transmisyjne mają wjechać na nasz teren. Precedens. Pierwszy raz taka sytuacja. Narady, dalekopisy, konsultacje… Potrzebna jest pełna specyfikacja, opis każdego urządzenia, kabla, akcesoriów… I polisa ubezpieczeniowa z podaniem wartości każdego elementu, jaki niemiecka ekipa będzie chciała wwieźć do Polski. Pełna odprawa warunkowa, karnety ATA… Rok załatwiania!

Pamiętam… Patrzyłem w kamienny wyraz twarzy celnika i zastanawiałem się, jak on znosi ten kosmiczny śmiech, który przecież musi go od środka rozrywać na myśl o niewykonalności stawianych przez niego żądań.

- Takie są wymogi odprawy warunkowej. Pan myśli, że my wpuścimy na teren Polski te miliony marek na kółkach, a one po waszym koncercie wyjadą na felgach, bo wszystko może zostać tutaj zbyte?

Nigdy wcześniej ani później nie doświadczyłem uczucia tak potężnej pustki w głowie. *To tam* – myślałam – *w tej głowie tyle jest wolnego miejsca, jeżeli się zdrowy rozsądek z tej głowy usunie?*

Samochody z wyposażeniem przyjechały do Świnoujścia przez Kołbaskowo. Ale wóz satelitarny – od strony Ahlbecku.

Machamy sobie, biegamy z dokumentami, skoroszytami, polisami, a oficer straży granicznej o ustabilizowanym i wypoziomowanym poczuciu własnej roli, na moje pytanie: czy możemy tu podjechać pod ten budynek odpowiedział spokojnie:

- To jest piesze przejście graniczne, a nie drogowe.

- Ale, wystarczy tylko szlaban unieść, to auto zmieści się bez problemu.

- Nie wątpię, ale to jest piesze przejście, a nie drogowe.

Nic się nie dało zrobić. Koncert za kilkanaście godzin, trzeba ustawiać uplinki, anteny, rozkładać kable, aby połączyć się z wcześniej zmontowaną aparaturą od strony polskiej.

- Piesze, przejście piesze, pan rozumie, piesze przejście graniczne. Nie drogowe.

Katastrofa. Armagedon.

- Piesze, zwykłe piesze przejście graniczne. Nie drogowe,

Dziś już nie pamiętam, w którym momencie doszło do przełomu w rozmowach. Nie, nie – nie wpuszczono auta! Uzgodniliśmy, że nie zauważone zostaną kable, które pod szlabanem przeciągniemy przez granicę na stronę polską. Kable, które połączą naszą aparaturę, ich kamery i mikrofony z… ich wozem satelitarnym, który… nie mógł przejechać przez piesze przejście graniczne!!!!!!!!

Ale kable okazały się… za krótkie.

Skąd wzięliśmy przedłużacze do polskiej sieci energetycznej? Nie pamiętam. Na półce mam kasetę VHS z nagraniem tego programu. Był rzeczywiście „eksportowy”.

Później odważyłem się poprosić o podobną współpracę ARD i RTL, ale już tylko na zasadzie emisji podobnych koncertów „z puszki” czyli – z taśmy.

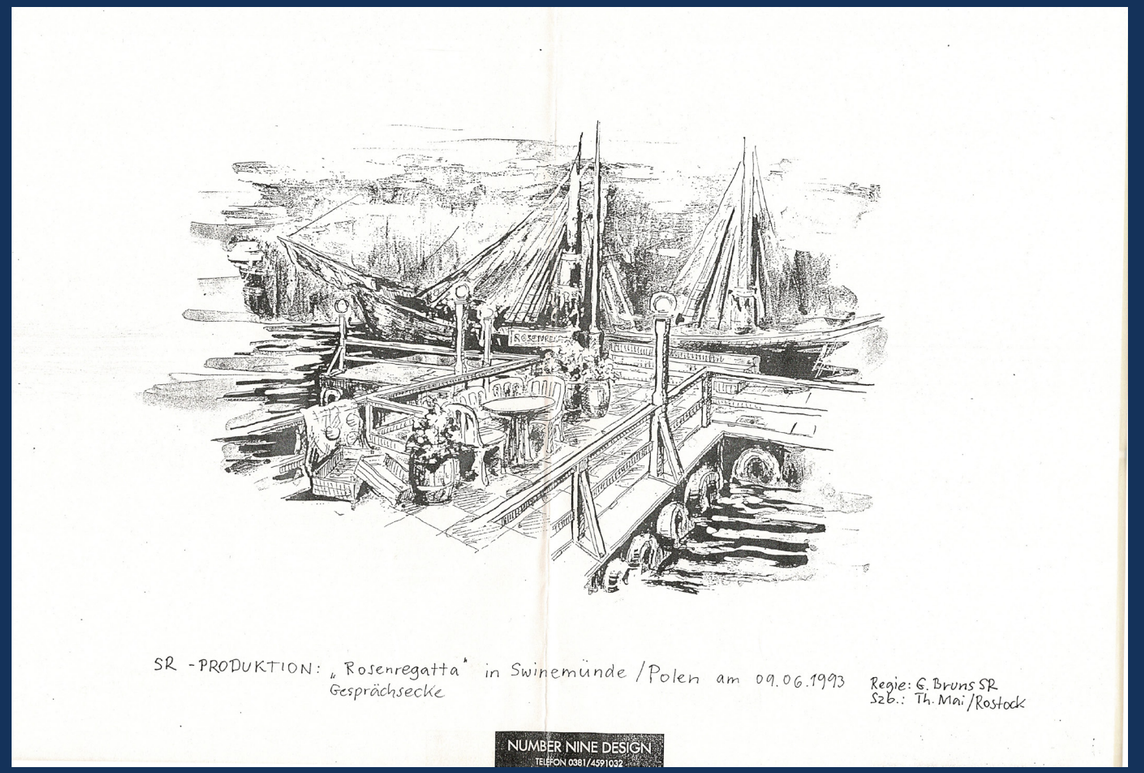

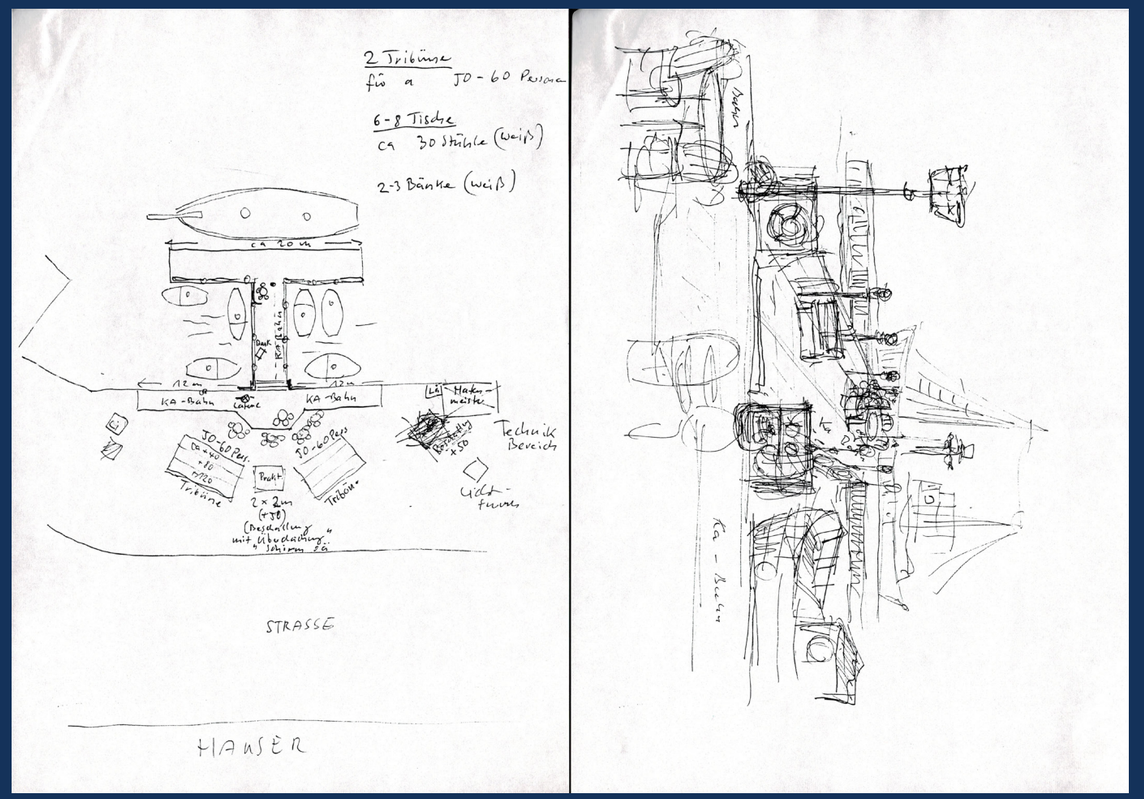

Entuzjazm, poświęcenie a nade wszystko – nowy sens życia…

Zapytałem bohatera jednego z moich reportaży, dlaczego po wojnie nie wrócił w swoje rodzinne strony? To przecież tylko osiemset kilometrów ze Szczecina. A przeszedł na piechotę trzy razy dłuższy szlak, wracając z „robót" okupacyjnych.

- Szedłem przed siebie, dwa, może trzy miesiące…? Pogoda dobra. A serce boli, że w polu nikt nie pracuje… Któregoś dnia przysiadłem się do człowieka, który odpoczywał na niewysokiej skarpie. Panie, zapytałem, a czy to już jest Polska? On się wyprostował, lekko odsunął ode mnie i powiedział: ja, ja wohl! Hm… Siedzieliśmy obok siebie dłuższą chwilę. On wyciągnął tytoń, ja miałem zapałki. Zza zakrętu wyłoniła się grupa kilku osób. Kobieta pchała wózek dziecięcy załadowany tobołkami. Była bardzo zmęczona. Odgasiłem papierosa, powiedziałem do tego… obcego… do widzenia, on odpowiedział: Auf Wiedersehen i dołączyłem do grupy. Wziąłem ten wózek, bo właśnie zaczynało się lekkie wzniesienie. Po kilku kilometrach doszliśmy do opuszczonej wioski. Z kościołem! I tu zostałem. Strony rodzinne? Tak, chciałem kiedyś pojechać. Ale jakoś ciągle się nie składało. Ale pojadę…

Dwa wyroki śmierci i …

Część trzecia – ostatnia



Relację inżyniera Jerzego Kędzierskiego zakończyliśmy w momencie, gdy został mianowany naczelnikiem Wojewódzkiego Wydziału Odbudowy. Był grudzień 1946 roku. Sroga zima. Podsumowano wyniki przetargu na samochody ciężarowe.

Zdjęcia: Narodowe Archiwum Cyfrowe

Mysia wojna

Wyniki przetargu 23.XII 46 r. zawiozłem do akceptacji ministerstwa, a już 24 XII wracałem otwartym samochodem (gratem) do Szczecina. Wskutek lichego stanu ogumienia, przy 15 stopniowym mrozie, powróciłem do domu o godzinie 24.00

W tym też czasie zorganizowałem powiatowe składnice materiałów (budowlanych), aby skrócić drogę do poszczególnych wsi. Dzięki temu dowóz materiałów do wsi mógł posługiwać się furmankami konnymi.

Zaraz po zakończeniu wyborów już w pierwszych dniach stycznia rozpoczęły się roboty we trzech przygranicznych powiatach. Jeszcze czekał mnie mozolny trud poszukiwania kandydatów na architektów powiatowych i na inspektorów nadzoru dla prowadzonych w terenie robót.

W tym czasie nie funkcjonowały jeszcze w Szczecinie, ani Państwowe Przedsiębiorstwo Budowlane, ani Przedsiębiorstwo Budownictwa Wiejskiego będące w fazie organizacyjnej. Do obowiązków przedsiębiorstw należało na początku wjazdu i na wyjazdu ze wsi umieścić tablice informacyjne z pokazaniem na schematycznym zarysie zabudowań, jednolicie oznaczone zagrody będące w remoncie, oraz nazwę i adres przedsiębiorcy i inspektora nadzoru. Do obowiązków też należało sporządzanie fotografii przed rozpoczęciem remontu i po jego zakończeniu.

Tymczasem w terenie zachodziły ciekawe zjawiska. Oto wskutek panicznej ucieczki Niemców przed spodziewanym odwetem za mordy okupacyjne, na polach, na wozach, także na podwórkach i w stodołach pozostawiono zżęte, a nie wymłócone zboże. Ta obfitość jadła przyczyniła się do niebywałego rozmnożenia się gryzoni, które stały się istną plagą, niszczącą nawet nieznaczne zapasy ziarna u przybyłych osadników polskich. Doszło do tego, że rolnicy pozostali bez ziarna na zasiew wiosenny. Rozwydrzone gryzonie czyniły też szkody dobierając się do niemowląt, wyżerając pożywienie inwentarza. Toteż możność zarobienia przy remontach zagrody bądź przy dowozie materiałów była prawdziwym ratunkiem. Tymczasem jak nagle powstała ta plaga, tak też szybko sama natura pomogła do jej likwidacji. Oto równocześnie z powiększaniem się gryzoni, zaczęła rosnąć liczba ich wrogów: sów i wron, a ostateczną klęskę przyniosła wczesna i gwałtowna wiosna. Oto jeden b. słoneczny dzień stopił metrową warstwę śniegu zatapiając nory myszy i szczurów. Nocny silny mróz zasklepił nory i udusił gryzonie.

Meandry socjalistycznej gospodarki

Wielkim sukcesem i dowodem zaufania do mnie było powiększenie w 47 r. budżetu ze 120 milionów zł. do 700 milionów co łącznie z uratowanym kredytem i zakupem drewna po cenie 46 r. oraz wartością materiałów z rozbiórek ogromnie pomnożyło możliwości realizacyjne. Kiedy jednak rozkręciłem roboty, to jedna z kolejnych inspekcji kontrolnych ministerstwa doniosła wojewodzie, że ja zaciągam zobowiązania powyżej przyznanego kredytu, stawiając państwo w sytuacji przymusowej. Nawet wojewoda wezwał mnie na badanie, czy zdaję sobie sprawę z konsekwencji jakie to może spowodować. Odpowiedziałem mu, że jestem gotów ponieść te konsekwencje, a on winien raczej cieszyć się, że będzie miał wcześniej odbudowane i zagospodarowane województwo. Aby jednak rozładować jego niepokój, wyjaśniłem, że nie działam bezmyślnie, a z wyrachowaniem.

Z dotychczasowej praktyki wiem, że niektóre województwa nie są w staniej przerobić kredytów i wówczas ministerstwo szuka, gdzie jest możliwość ich przerobu i czyni odpowiednie przerzuty. Ponadto, biorąc pod uwagę fakt, iż roboty wykonywane i podliczane są dopiero pod koniec roku budżetowego, a za nim rachunki zostaną sporządzone i sprawdzone będzie pokrycie z nowego budżetu. Jest to więc tylko tzw. antycypacja robót. Po zakończeniu kolejnej inspekcji robót z ramienia departamentu kontroli i naczelnego komisarza odbudowy wsi, inż. Piaścika, przewodniczący jej po zaznajomieniu się z całokształtem mych prac oświadczył, iż uważałby sobie za zaszczyt pracować pod moim kierunkiem.

Szczecińska szczodrość

Mimo tak intensywnej pracy dla województwa znalazłem czas i dla ukochanego rodzinnego grodu Warszawy. Pamiętając jak bardzo stolica została ogołocona z pomników przez barbarzyńskich okupantów, gdy odnalazłem w stanie zaniedbanym pomnik Colleoniego dłuta Verocchio, kopię naturalnej wielkości pomnika stojącego na głównym placu Wenecji oraz w wypalonym pałacyku byłego właściciela cementowni w otwartym parku w Dąbiu - kopię w kararyjskim marmurze Michała Anioła pod tytułem „Mojżesz", na mój wniosek żywo uzasadniony, Wojewódzka Rada Narodowa ofiarowała oba te pomniki dla Warszawy. Teraz zmobilizowanie aktywu do rozmontowania, przewozu i załadowania na wagony było dziecinnie łatwym zadaniem.

W uznaniu mych zasług otrzymałem srebrną odznakę odbudowy Warszawy w dniu 30.IV.1947 r.

Szczecińskie powiaty

Jak tylko rozkręciliśmy roboty w 3 pogranicznych powiatach, przystąpiliśmy do organizacji pozostałych 20 powiatów uruchomiając tam roboty systemem gospodarczym przy pomocy własnych ekip budowlanych.

Oprócz poważnej akcji odbudowy wsi, do obowiązków naszych należało porządkowanie miast i uzdrowisk, opieka nad zabytkami, a także ekshumacja prowizorycznie pochowanych żołnierzy radzieckich i polskich, poległych i pochowanych na placach i skwerach miasteczek i w Szczecinie. Zwłoki te chowano na uprzednio zaprojektowanych honorowych cmentarzach.

Nic dziwnego, że wkrótce zyskałem opinię człowieka o niespożytej energii i inicjatywie, a minister Kaczorowski nazywał mnie stukonnym motorem. Nieraz dyktowanych chęcią zemsty za wyrzucenie notorycznego pijaka, UB aresztowało Bogu ducha winnych architektów



powiatowych. W Szczecinie podczas remontu dachu na budynku UB przy ul. Małopolskiej, gdy podczas huraganu zawalił się szczyt i jedna cegła przebiwszy strop spadła na stół w nieczynnym pokoju przesłuchań, aresztowany został sędziwy architekt pełniący nadzór nad robotami. Nie trzeba udowadniać, jak to wpływało hamująco na tok prac, zwłaszcza, gdy na miejsce aresztowanych nie było chętnych do ich zastąpienia. W każdym z tych wypadków osobiście interweniowałem, nieraz pod groźbą rezygnacji z pracy. We wszystkich wypadkach uzyskałem zwolnienie aresztowanych.

Życie pierwszych osadników było nader ubogie i nawet niebezpieczne, dalekie od poziomu mieszkańców miast. Zdani na własne siły pozbawieni możności zaspokojenia potrzeb zaopatrzenia, zdrowotnych i opieki przed nachalnymi szabrownikami, a także grasującymi zbrojnymi bandami terrorystycznymi hitlerowskimi, bytujący w nader prymitywnych warunkach, czuli się zagubieni, a nawet sporadycznie nękani pogróżkami b. właścicieli, straszących zemstą za niezawinione zniszczenia ich zagród. Pragnąc choć w części pomóc ich doli, dać odczuć więź ze społeczeństwem polskim, miejskim, zainicjowałem akcję społeczną pracy zespołu Wojewódzkiego Wydziału Odbudowy w dni wolne od pracy dla poprawienia ich warunków bytowania. Przez szereg dni świątecznych cały nasz zespół wyjeżdżał ciężarówką do jednej z wytypowanych wsi w powiecie Pyrzyce, by pracować nad uprzątnięciem wraków i śladów zniszczeń wojennych, wyremontować budynek szkolny, adoptować inny na świetlicę, nadać wsi, charakter polski przez pobielenie elewacji ceglanych, wykonać dwa kilometry drogi do nowo zbudowanego przysiółka, obsadzić tą drogę drzewami zakupionymi w szkółce drzew, posadzić drzewa i krzewy owocowe wokół zbudowanych w szczerym polu zagród, wreszcie ze składek naszych zakup radia do świetlicy. Początkowo osadnicy stronili od nas, "heretyków", nieszanujących dni świątecznych, jednak po wyjaśnieniu celu i charakteru naszej pomocy bezpłatnej dla dobra wsi, najpierw młodzież przyłączyła się do pracy, a w końcu także i reszta mieszkańców. Dla podkreślenia naszej dla nich przyjaźni, pod koniec pracy urządzaliśmy wspólną potańcówkę w świetlicy. Podając nasze osiągnięcia do wiadomości przedsiębiorstw pracujących przy odbudowie wsi, wzywając ich do naśladownictwa, uzyskaliśmy ich współpracę, dzięki czemu zdołano wyremontować wiele ponadplanowych obiektów najbardziej pożądanych we wsiach.

Cegły dla stolicy

Rosnące z roku na rok tempo odbudowy stolicy, napotkało na trudności uzyskania niezbędnej ilości cegły na zamierzone inwestycje.

Wobec zdewastowania wielu cegielni podstołecznych przez hitlerowców, nieliczne ocalałe nie były w stanie zabezpieczyć pokrycia potrzeb.

Aby temu zaradzić, rząd powołał pełnomocnika d/s odzysku cegły z rozbiórek ruin zagrażających bezpieczeństwu, a także ze zwałów gruzów tworzących zatory na drogach i ulicach miast. Pełnomocnik ten akcję narzucił wojewódzkim oddziałom Odbudowy. Mimo iż było to b. pracochłonne zajęcie, gdyż wymagało organizowania grup roboczych i ich rozliczania w systemie akordowym, przewóz i ładowanie na wagony, ale także dużo pracy papierowej, adresowania wagonów w/g wskazań otrzymywanych od pełnomocnika, ale także nadto dużej sprawozdawczości o każdym wysłanym wagonie, raporty tygodniowe i miesięczne. W interesie województwa leżało uporanie się ze zwałami gruzu tarasującymi drogi i ulice miast, a szczególnie z groźnymi kikutami rozbitych domów.

Dlatego też, mimo poważnego obciążenia personelu Wojewódzkiego Wydziału Odbudowy przyjąłem to zlecenie i akcję tą rozprzestrzeniłem w 23 powiatowych miasteczkach, a także w uzdrowiskach. W efekcie, w ciągu jednego tylko roku wysłaliśmy - dla Warszawy i okolic 120 milionów szt. cegieł, wysuwając się na pierwsze w kraju miejsce. Daleko łatwiej było prowadzić tę akcję w skoncentrowanym jednym mieście jak to np. uczynił Wrocław.

Podobnie i na odcinku odbudowy wsi udało nam się z ostatniego miejsca wyjść na pierwsze w kraju miejsce tak pod względem ilości odbudowanych zagród jak i ich ekonomii.

Na dobitek wojewoda obarczył mnie jeszcze jednym społecznym zajęciem - członkostwem w Wojewódzkim Zarządzie Towarzystwa Ziem Zachodnich.

Rzeźnia

Pracując jeszcze w Szczecińskiej Dyrekcji Odbudowy zaintrygował mnie jeden obiekt w porcie szczecińskim, którego koszt remontu tutejsi fachowcy określali na 200 milionów zł., co było wyższe niż całoroczny budżet S.D.O.

Był to jedyny obiekt będący pod opieką polską, gdyż cały port był w wyłącznym władaniu wojsk radzieckich. Skorzystałem więc z przepustki jednego z polskich robotników tam zatrudnionych dla zbadania go.

Jak się okazało była to rzeźnia eksportowa z rampami wyładowczymi żywca, rzeźnią oraz mechanicznymi transporterami połci do części ładowni w chłodni lub na statki. Całe zniszczenie polegało na zdmuchnięciu dachówek z dachów podczas podmuchów przy eksplo-



zji m.in. w porcie. Stosunkowo spora ilość dachówek spadła w stanie nie zniszczonym na poddasza. Według moich wyliczeń podawana suma kosztu naprawy była wielokrotnie zawyżona. Korciło mnie, by obiekt ten zabezpieczyć. Przypadek przyszedł mi z pomocą. Jednym z okrętów przywożących repatriantów z zachodu, przybyła rodzina (ojciec i 3 synów dekarzy), którzy przyszli do mnie z prośbą o poinformowanie, gdzie przebywa obecnie min. Kwiatkowski, gdyż przed wojną przez wiele lat pracowali pod jego kierunkiem przy budowie Gdyni. Poinformowałem ich, że wprawdzie inż. Kwiatkowski pracuje obecnie w Gdyni, mieszka w Sopocie, lecz, że jest delegatem rządu d/s całego Wybrzeża, więc i do nas często zagląda.

Aby bezczynnie nie czekać, zaproponowałem im postarać się o mieszkanie - i robotę dla całej czwórki, a także przydział niezbędnego umeblowania.

Przydzieliłem także brakującą ilość dachówki i materiałów wiążących. Nadspodziewanie szybko uwinęli się z robotą, a gdy min. Kwiatkowski odwiedził Szczecin robota była już skończona. Brak było tylko odpowiedniego pokrycia gotówkowego. Koszt tej inwestycji nie przekroczył 13 milionów zł. Mimo, iż w budżecie SDO nie było pokrycia, a nawet nie figurowała ta pozycja, to jednak byłem pewien, że min. Kwiatkowski udzieli pokrycia kosztu remontu.

Święto Morza

Dla spopularyzowaniu Ziem Odzyskanych i Szczecina w szczególności - postanowiono w 1947 r. urządzić wielki zjazd młodzieży z całego kraju na Święto Morza. Przewidywano zlot około dwustu tysięcy młodzieży.

Z Gdyni przybył statek szkolny Marynarki „Dar Pomorza", przycumowując przy Wałach Chrobrego. Przygotowanie dekoracji i programu święta wojewoda zlecił mnie. Kulminacyjnym punktem uroczystości miało być urządzenie ołtarza polowego na Wałach Chrobrego, następnie otwarcie wystawy wzorów wytwórczości województwa w wyremontowanym gmachu Muzeum tamże. Gmach ten odremontowany został z dotacji min. Kwiatkowskiego. Wykorzystując jako tło dla ołtarza strzeliste maszty „Daru Pomorza" zbudowano po obu bokach trybuny. Nieprzeliczone tłumy młodzieży ubarwiły trybuny, a na honorowym miejscu zasiedli przedstawiciele rządu z prezydentem Bierutem na czele, w asyście władz partyjnych i wojewódzkich. Po mszy i zwiedzeniu wystawy, młodzież rozeszła się po mieście, oglądać port i paradę jednostek morskich. Wypada zaznaczyć, że urządzenie wystawy odbyło się bez żadnych dotacji skarbu państwa. Po prostu wystawcy tak przedsiębiorstw państwowych, spółdzielczych jak prywatnych sami swoim kosztem urządzali swe stoiska. Okazało się, że wystawa przyczyniła się do poznania możliwości produkcyjnych województwa, nastąpiło szereg zamówień,

W/g niepisanej tradycji, gdy do jakiegoś portu zawijał statek szkolny, mer miasta urządzał przyjęcie dla załoga. W związku z tym udałem się kolejno do ówczesnego prezydenta miasta ob. Zaremby i do wojewody Borkowicza z przypomnieniem o tradycji. Niestety obaj panowie wykręcili się brakiem na ten cel funduszy.

Szkoła Morska

Ponieważ niedawno odbyły się w Szczecinie zjazd ponad 20 ministrów i wiceministrów na naradę gospodarczą, uświetniony bankietem, a że nie wszystkie butelki zostały wypróżnione, o czym dowiedziałem się w porę, toteż wojewoda zgodził się, by te flaszki użyć na przyjęcie dla załogi „Daru Pomorza", jakie zgotowali wystawcy z wystawy w Muzeum. Traf zdarzył, że w gronie oficerów „Daru Pomorza" znalazł się d-ca Szkoły Morskiej w Gdyni, kapitan żeglugi wielkiej Maciejewicz. Nawiązawszy przy tej okazji znajomość z oficerami i zaproszony na statek na lampkę madery i wyborne ciastka i lody sporządzone przez kucharza statku, zaproponowałem wycieczkę samochodami dla zwiedzenia miasta. Przy tej okazji pokazałem gmach, który Niemcy zaczęli budować w 1942 r. i nie zdążyli go wykończyć, doprowadzając go do stanu surowego, zamkniętego, t.j. z nakrytym dachem, kompletną stolarką i oszkleniem. Budynek ten, o części frontowej i dwóch bocznych skrzydłach, z dużym dziedzińcu i przyległym frontowym budynkiem mieszkalnym, zrobił na gościach duże wrażenie. Wówczas zapytałem, czy wobec tak znacznego powiększenia wybrzeża, przyjęcia tak dużego portu jak Szczecin i szeregu partów rybackich, jedna szkoła zdoła zaspokoić potrzeby tak wielkie, czy nie należałoby w Szczecinie otworzyć Oddział gdyńskiej uczelni? Myśl ta zyskała aplauz oficerów i w wyniku ich starań po kilku miesiącach dekret ministra żeglugi postanowił utworzenie filii szkoły morskiej w Szczecinie, właśnie w gmachu przy al. Piastów, który wskazałem gościom.

W tymże dniu zostałem odznaczony orderem srebrnym "Gryfa Pomorskiego" za zasługi na polu odbudowy, zagospodarowania i repolonizacji Ziem Odzyskanych z Nr. 7. Uznałem, iż jest to nie tylko moja zasługa, lecz całego zespołu, to też na spotkaniu z zespołem podziękowałem mu podkreślając, iż to zaszczytne wyróżnienie jest wyrazem uznania władz dla ich pracy.

Inspekcja angielska

1.X.1947 r. przybyła do Szczecina ministerialna wycieczka angielska pod przewodnictwem min. Silkina, która uprzednio zwiedziła południowe Ziemie Odzyskane łącznie z Wrocławiem. Zadaniem tej wycieczki było niewątpliwie zbadanie, w jakim stopniu Polacy zdołali zagospodarować te ziemie. Aby uniknąć posądzenia, że staramy się pokierować tą wycieczką, na tereny efektowniej zagospodarowane, wręczyliśmy gościom sporządzone przez Regionalną Dyrekcję Planowania Przestrzennego mapki z oznaczeniem wsi, w których aktualnie prowadzona jest akcja odbudowy i osiedlania, aby mogli wybrać dowolną marszrutę. Po dokonani! objazdu znacznej ilości wsi, mieli możność ocenić wysoki stan odbudowy zagród, przeprowadzania rozmów z osadnikami przybyłymi zza Buga, z centralnej Polski, z obozów przymusowych robót i kaźni hitlerowskich, a także z reemigrantami z Francji, Niemiec czy nawet Ameryki Południowej. Tłumaczem był konsul angielski, uczestniczący w wycieczce. Na zakończenie objazdu zaprosiliśmy na zaimprowizowany obiadek pod gruszą - na zsiadłe mleko z ziemniakami, okraszonymi skwarkami. Nie sadziliśmy się na jakieś wystawne przyjęcie jako kraj dźwigający się z pogorzeliska wojennego.

W podsumowaniu swych wrażeń z pobytu w Polsce, szczerze wyznali, iż o ile na południu Ziem Odzyskanych zauważyli duży wysiłek w ratowaniu zabytkowych budowli i murów obronnych, natomiast niewiele dla zaspokojenia potrzeb nowych przybyszów, to u nas stwierdzili wielki rozmach i sprawną organizację prac dla ludzi tak bardzo potrzebujących pomocy, a także szybkie zagospodarowanie odłogów. Było to jawnym zaprzeczeniem kłamstwom niemieckiej propagandy.

Przejęcie portu

Już na początku współpracy z wojewodą Borkowiczem byłem ponaglany, by zgłosić akces do PPR. Nie pomagała wymówka, że jestem nadto zaabsorbowany pracami służbowymi i społecznymi. Ponieważ jeszcze za czasów studenckich pracując w biurze projektów

dla Warszawskiej Spółdzielni Mieszkaniowej na Żoliborzu miałem okazję poznać kilku działaczy z PPS, z którymi nawiązałem nić sympatii, przeto zadeklarowałem swój akces do miejscowego komitetu PPS. Już wkrótce powierzono mnie funkcję sekretarza koła przy Urzędzie Wojewódzkimi. Podczas mej kilkumiesięcznej działalności, ilość członków koła zwiększyła się blisko trzykrotnie. Wkrótce po tym powierzono mi zorganizowanie Szczecińskiej Spółdzielni Mieszkaniowej wraz z kierownictwem technicznym tejże.

Szczególnie miłym i zaszczytnym dla mnie wyróżnieniem było zaproszenie mnie przez wojewodę Borkowicza do udziału w trzyosobowej komisji dla przejęcia z rąk administracji radzieckiej portu i stoczni w Szczecinie, w dniu 19.XI. 1947 r.

Nagle otrzymałem pierwszy zdradziecki cios

Oto w dniu 15.XII.1946 r. z okazji połączenia PPS z PPR w połączoną PZPR zostałem relegowany z PPS rzekomo za małą aktywność. Ponieważ to było zbyt jawnym kłamstwem, a także sprzeczne z regulaminem, który za podobne uchybienia nie przewiduje takich sankcji, przeto po miesiącu otrzymałem nowe uzasadnienie: "za wrogie ustosunkowanie do obecnej rzeczywistości." Szczególnie zabolała mnie ta obłuda bonzów PPS, którym oddałem takie usługi powodujące wzrost popularności tej partii, a szczególnie przygotowaniem tak dużej puli mieszkań dla pracowników portu i stoczni, co przyczyniło się do wzrostu szeregów PPS. Zdając sobie sprawę do czego zmierza przydanie mi takiego epitetu, udałem się do Warszawy do ministra Kaczorowskiego, także członka PPS. Pragnąc mi pomóc, polecił dyrektorowi departamentu, inż. Tyszce, aby pomógł mi napisać odwołanie do plenum podstawowej organizacji lub do Centralnej Komisji Kontroli Partyjnej w Warszawie. Odwołanie to jednak nie zostało formalnie rozpatrzone, a tylko otrzymałem zawiadomienie o jego odrzuceniu, a gdybym pragnął poznać uzasadnienie to mogę je obejrzeć w sekretariacie wojewódzkim PZPR. Brzmiało ono dosłownie: "że ja mam światopogląd kapitalistyczny, a w pracach zespołu kieruję się metodą kupowania ludzi". Tak więc skwitowano moją dbałość o robotników, o poprawę ich warunków bytowych, o pobudzanie entuzjazmu i ofiarności dla odbudowy Ziem Odzyskanych i mego oddania bez reszty sprawie odbudowy, zagospodarowania i repolonizacji tych ziem.

Rozgoryczony takim niegodnym postępowaniem straciłem serce do dalszej pracy w Szczecinie. Poprosiłem tylko nowego sekretarza PZPR, aby moje odwołanie zostało skierowane na właściwą drogę. W tym czasie zaczęto w kraju werbunek do pracy przy nowej gigantycznej inwestycji Nowej Huty, a także nowego miasta Nowa Huta w Krakowie. Złożyłem rezygnację z pracy w Wojewódzkim Wydziale Odbudowy, a po przekazaniu swych czynności przysłanemu z Ministerstwa Odbudowy następcy, udałem się do Krakowa, gdzie dyrektor budowy z miejsca zaangażował mnie na stanowisko kierownika budowy miasta Nowa Huta z trzykrotnie wyższym wynagrodzeniem niż miałem w Szczecinie oraz zapewnieniem, mieszkania w Krakowie.

W drodze powrotnej wstąpiłem do Warszawy, wobec otrzymania wezwania do stawiennictwa w Centralnym Komitecie Kontroli Partyjnej PZPR (w Al. Ujazdowskich.). Po drodze wstąpiłem do PKPG (Państwowa Komisja Planowania Gospodarczego), gdzie również miałem propozycję objęcia pracy.

Tu zaproponowano mi stanowisko naczelnika jednego z wydziałów wraz z mieszkaniem na ul. Klonowej. Podziękowałem za pamięć o mnie, lecz pociągała mnie ta wielka budowa w Krakowie.

W Centralnej Komisji Kontroli Partyjnej, po kilkugodzinnej rozmowie z sekretarką przewodniczącego tej komisji, po „zobrazowaniu mej" dotychczasowej działalności w Szczecinie i *curiculum vitae*, po krótkim oczekiwaniu na wynik rozmowy sekretarki z szefem, zostałem zaproszony do gabinetu tow. Korczyńskiego, który powiadomił mnie, iż zostałem reaktywowany w prawach członka partii, na dowód czego wręczył mi pisemko, którego odpis załączam. Jednocześnie powiadomił o wysłaniu w mojej sprawie oddzielnego pisma do wojewódzkiego PZPR i że na najbliższym zebraniu zostanę z honorem wprowadzony do szeregów partii. Zdaje sobie sprawę, iż popełniono błąd i krzywdę, które zostaną naprawione.

Niestety jakiś nieznany mi kret rył potajemnie dalej pode mną. Ponieważ jednak cieszyłem się opinią zasłużonego działacza społecznego i energicznego, pełnego inicjatyw organizatora pracy, dlatego trudno było nagle, przedstawić odmienny portret wroga obecnego ustroju. Postanowiono przedstawić mnie jako kierownika szajki przestępczej. W tym celu dwaj panowie z oddziału NIK (Żydzi) przybyli do Wojewódzkiego Wydziału Odbudowy, zabrali akta z odbudowy 3 powiatów przygranicznych i udali się w teren dla dokonania kontroli.

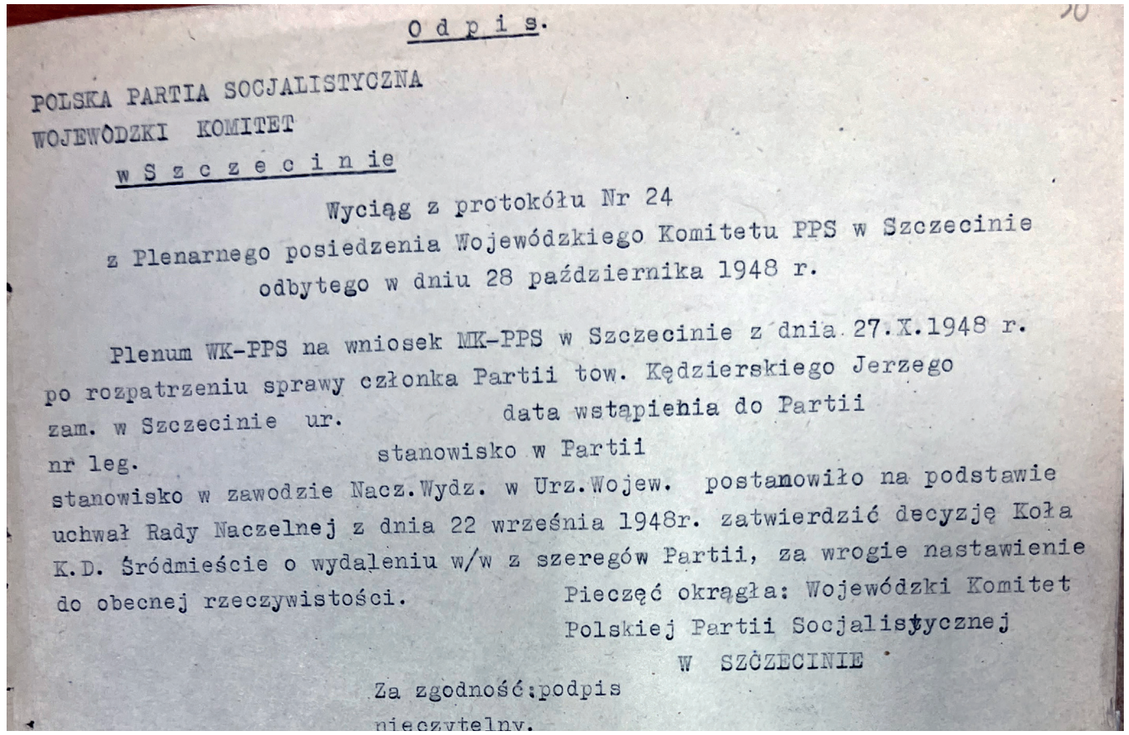

Odpis.

POLSKA PARTIA SOCJALISTYCZNA
WOJEWÓDZKI KOMITET
w Szczecinie

Wyciąg z protokółu Nr 24
z Plenarnego posiedzenia Wojewódzkiego Komitetu PPS w Szczecinie
odbytego w dniu 28 października 1948 r.

Plenum WK-PPS na wniosek MK-PPS w Szczecinie z dnia 27.X.1948 r.
po rozpatrzeniu sprawy członka Partii tow. Kędzierskiego Jerzego
zam. w Szczecinie ur. data wstąpienia do Partii
nr leg. stanowisko w Partii
stanowisko w zawodzie Nacz.Wydz. w Urz.Wojew. postanowiło na podstawie
uchwał Rady Naczelnej z dnia 22 września 1948r. zatwierdzić decyzję Koła
K.D. Śródmieście o wydaleniu w/w z szeregów Partii, za wrogie nastawienie
do obecnej rzeczywistości. Pieczęć okrągła: Wojewódzki Komitet
Polskiej Partii Socjalistycznej
W SZCZECINIE

Za zgodność: podpis
nieczytelny.

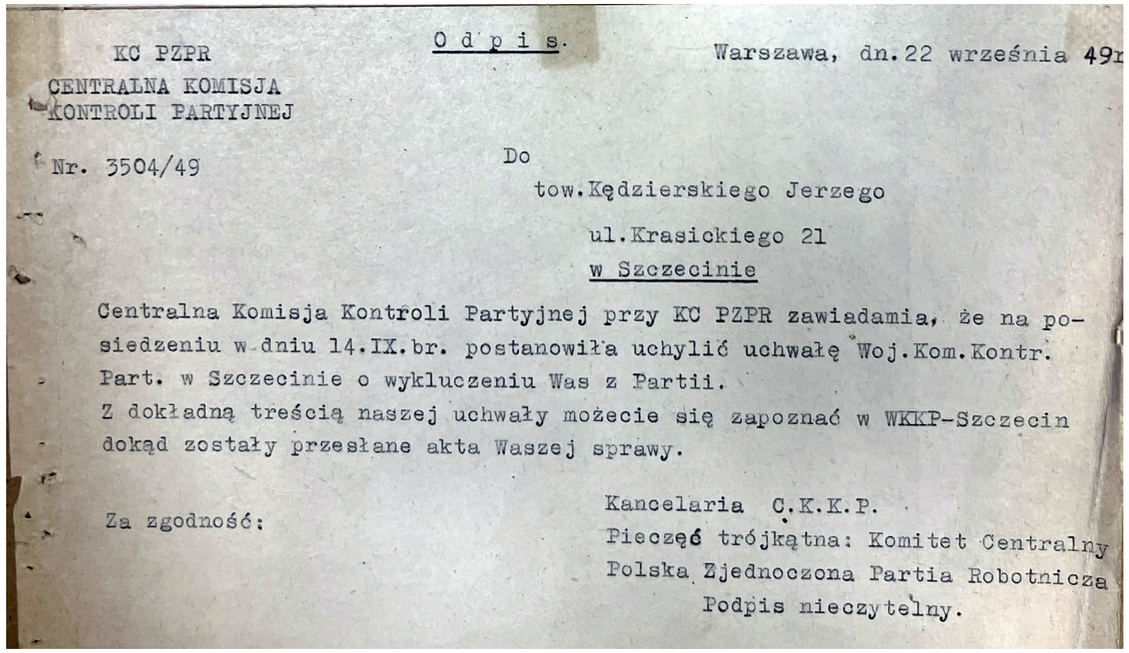

KC PZPR
CENTRALNA KOMISJA
KONTROLI PARTYJNEJ

Nr. 3504/49

O d p i s.

Warszawa, dn. 22 września 49r

Do
tow. Kędzierskiego Jerzego
ul. Krasickiego 21
w Szczecinie

Centralna Komisja Kontroli Partyjnej przy KC PZPR zawiadamia, że na posiedzeniu w dniu 14.IX.br. postanowiła uchylić uchwałę Woj.Kom.Kontr. Part. w Szczecinie o wykluczeniu Was z Partii.
Z dokładną treścią naszej uchwały możecie się zapoznać w WKKP-Szczecin dokąd zostały przesłane akta Waszej sprawy.

Za zgodność:

Kancelaria C.K.K.P.
Pieczęć trójkątna: Komitet Centralny Polska Zjednoczona Partia Robotnicza
Podpis nieczytelny.

Milionowe nadużycia

Wkrótce, na posiedzeniu Wojewódzkiej Rady Narodowej zostałem zaskoczony poważnym zarzutem o rzekomych milionowych nadużyciach w Wojewódzkim Wydziale Odbudowy. Zaprzeczyłem o możliwości jakichkolwiek nadużyć wobec zdwojonego systemu kontroli jaki zaprowadziłem, bo - oprócz normalnych czynności kontrolnych podczas kolaudacji (odbiorze) robót i rekolaudacji po roku użytkowania, wprowadziłem jeszcze komisyjny odbiór przy udziale przedstawicieli Wydziału Rolnego, osiedleńczego, starostwa, sołtysa i samego użytkownika, wtedy jakiekolwiek nadużycie zostałoby wykryte. Obiecałem niezwłocznie zbadać zarzuty i za kilka dni złożyć wyjaśnienie. Zaraz po powrocie do biura zatelefonowałem do min. Kaczorowskiego z relacją o posądzeniu i prośbą o niezwłoczne przysłanie komisji kontrolnej z departamentu kontroli, aby wespół z autorami owych zarzutów, inspektorami NIK, ponownie zbadali w terenie zasadność oskarżeń. Następnego dnia rano przybyli inspektorzy z Ministerstwa Odbudowy, zabrawszy obu inspektorów NIK w asyście mego z-cy inż. Nowoświata udała się w teren od zagrody do zagrody, które były źródłem rzekomych nadużyć, stwierdzając brak jakichkolwiek uchybień. Taki kłamliwy raport komisji NIK nie był omyłką, lecz tendencyjnym oszczerstwem potrzebnym dla obrzucenia błotem Wojewódzkiego Wydziału Odbudowy. W międzyczasie wojewoda Borkowicz awansował na polskiego ambasadora do Pragi Czeskiej; a na jego miejsce z Poznania przybył Ob. Migoń. Kiedy inspektorzy z Departamentu Kontroli Ministerstwa Odbudowy wraz z obu twórcami kłamliwego raportu NIK złożyli pisemne oświadczenie negujące zarzutom NIK, jako całkowicie zmyślonych, ob. Migoń polecił, aby inspektorzy warszawscy wracali do domu, gdyż "nie czas wybielać tych panów, gdyż sprawy poszły już zbyt daleko". Tego dnia na pierwszo stronnicowych szpaltach Kuriera i Głosu Szczecińskiego ukazały się obszerne podkreślone wielkimi tytułami wzmianki o rzekomych milionowych nadużyciach w Wojewódzkim Wydziale Odbudowy. Nocą tegoż dnia zostałem aresztowany wraz z 6 najczynniejszymi współpracownikami.

Uczciwość kacyka

Taka to była uczciwość kacyka, który mimo uświadomienia o całkowitej bezpodstawności zarzutów inspektorów NIK, zezwolił na aresztowanie niewinnych, a tak zasłużonych dla odbudowy, zagospodarowania i repolonizacji Ziem Odzyskanych pracowników. Efektem tego stało się sparaliżowanie działalności WWO - poważna szkoda dla kraju. Stało się to 13.X. 1949 r. W chwili mego aresztowania stawiałem ostatnie kreski na projekcie odbudowy i adaptacji dużego gmachu teatru, wypalonego w okresie, gdy zespół polskiej administracji ze względów politycznych został odwołany ze Szczecina. Projekt wykonywali trzej architekci inż. arch. i Z. Krasnodębski, architekt J. Świdliński i ja w trybie konkursu zamkniętego.

> W okresie pobytu w więzieniu decyzją władz miejskich teatr ten został rozebrany a projekty nieopłacone poszły na makulaturę.

Aby jak najbardziej dokuczyć mojej rodzinie, nadgorliwi młodzi pracownicy UB, po szczegółowej rewizji domu zarekwirowali znalezioną połowę uposażenia mego, kilka pończoch żony, mój arytmometr i maszynę do pisania żony. Żonie kazali podpisać zobowiązanie piczy nad zajętym wyposażeniem mieszkania, a następnego dnia, by stawiła się na Małopolskiej w komendzie UB. Kiedy żona była w UB, dwa ciężarowe samochody zajechały pod dom z zamiarem rekwizycji mebli. Gdyby to im się udało, wówczas mogliby pociągnąć moją żonę do odpowiedzialności za wykradzenie zajętych mebli. Na szczęście gosposia wyskoczyła do ogrodu, klucze od mieszkania wyrzuciła w trawę i taki krzyk podniosła, że zbiegli się sąsiedzi, ktoś powiadomił MO. a przybyły milicjant, gdy zażądał nakazu rekwizycji, którego przybysze nie posiadali, zabronił dokonywania samowolnej rekwizycji.

Niezależnie od wysuniętych zarzutów ekonomicznych, śledztwo zaczęto od pomawiania mnie o kolaboracji z "hitlerowcami, a także o szpiegostwo na rzecz Anglii". Usiłowano uczynić mnie przestępcę wielkiego kalibru. Działaniem na wyczerpanie fizyczne i szantażem o pociągnięciu do współodpowiedzialności całej mojej rodziny uzyskano przyznanie się do zarzucanych mi zbrodni, lecz gdy nie umiałem podać żadnych bliższych szczegółów; ani komu przekazywałem rzekome meldunki, wówczas odesłano mnie do Ministerstwa Bezpieki na Koszykową gdzie po pół miesięcznym badaniu łącznie z krzyżowym ogniem pytań przez wysokich specjalistów uwolniono mnie od tego absurdalnego zarzutu, żądając wyjaśnienia jakimi metodami wojewódzkie UB zmusiło mnie do przyznania się do czynności niepopełnionych.

Sabotaż

Po odesłaniu do Szczecina wznowiono śledztwo tym razem pod zarzutem sabotażu. Dla podbudowy tego zarzutu zespół biegłych UB opracował zestawienie strat skarbu państwa jakie spowodować miała działalność Wojewódzkiego Wydziału Odbudowy. Straty te rzekomo miały wynieść 3 miliony zł. Aby tego dowieść powołano ponad osiemdziesięciu świadków z grona rolników odpowiednio wrogo nastawianych przez UB, aby „nie żałowali tych przestępców" wmawiając im, że będą musieli płacić za dokonane remonty, co było kłamstwem. Nie mając do wglądu wyników opinii biegłych UB, a więc poznania zarzutów, staraliśmy się by powołano biegłych obiektywnych z SARPu, NOT'u lub z departamentu Kontroli Ministerstwa Odbudowy, niestety prośby te zostały odrzucone. Jako ostateczność poprosiliśmy o dokonanie wizji lokalnej. Przewodniczący rejonowego sądu wojskowego płk. Stojanowski zgodził się na dokonanie wizji w terenie. Podczas oględzin zagród, w których rzekomo miały być dokonane straty skarbu państwa, płk. Stojanowski naocznie przekonał się o bezpodstawności zarzutów, a nawet nie mogąc opanować swego oburzenia obrugał panów biegłych, że kompromitują sąd takimi bujdami. Podczas przewodu sądowego charakterystyczne były zeznania świadków oskarżenia, z których żaden nie podtrzymał stawianych nam zarzutów, wyjaśniając w jaki sposób byli nastawiani przez UB. Nawet w jednym wypadku przewodniczący czuł się zmuszonym do wezwania prokuratora, aby zaprzestał terroryzować świadka, który jako cieśla wyrażał się korzystnie o wykonawcach robót. Mimo ujawnienia braku winy nastąpiło ogłoszenie wyroku, w którym ja otrzymałem 7 lat więzienia a moi współpracownicy od 2 do 4 lat. Kiedy po wyroku moja ś.p. żona udała się do płk. Stojanowskiego z prośbą o pierwsze po aresztowaniu widzenie ze mną, płk. Stojanowski szczerze wyjawił: " Jest mi niewymownie przykro, gdyż jestem głęboko przekonany o niewinności pani męża, lecz wyrok musiał być w z góry ustalonej wysokości, chyba pani to rozumie, inaczej ja byłbym skazany".

W podobny sposób wyraził się po paru latach przy spotkaniu z jednym ze współoskarżonych inż. Sidorczukiem.

Wyroki śmierci

Ponieważ w tym samym czasie aresztowano cały zespół delegatury rządu d/s Wybrzeża - Oddział w Szczecinie, pod zarzutem szpiegostwa na rzecz Anglii oraz aresztowano szereg inżynierów - wykonawców odbudowy wsi oraz odwołano min. Kwiatkowskiego z funkcji delegata rządu d/s Wybrzeża, nakazując mu opuszczenie miejsca zamieszkania na wybrzeżu (w Sopocie), mianując na jego miejsce mało operatywnego i nie fachowca żyda, nastąpiło całkowite sparaliżowanie akcji Wojewódzkiego Wydziału Odbudowy.

W procesie Oddziału Delegatury **zapadły dwa wyroki śmierci** i kilka dożywocia, które jednak w instancji odwoławczej były anulowane, a tylko wielce zasłużony kpt. żeglugi Bartoszyński został zatrzymany i wkrótce zmarł w więzieniu we Wronkach.

Po odbyciu części kar kilku b. pracowników W.W.O. zmarło.

Oto plon zaciekłej nagonki na Wojewódzki Wydział Odbudowy. Trudno wyobrazić sobie wpływ jaki pozostawiły pobyty w areszcie, sposoby prowadzenia śledztwa czy dalsze więzienie na zdrowie aresztowanych, skoro gdy po kilku zaledwie miesiącach, gdy po raz pierwszy miałem możność ujrzenia swej podobizny w lustrze windy w ministerstwie Bezpieki, nie mogłem się poznać, że ten wymizerowany, **posiwiały cień człowieka to ja**. Doznane upokorzenia, poczucie krzywdy, zanik wiary w sens tych poczynań poderwały me zdrowie, fizycznie nadwątliły mój organizm i na długo pozostawiły ślad w postaci różnych stawianych mi trudności powrócenia do normalnego życia. **Zawziętość jakiegoś prześladowcy nie ominęła mej żony i syna.** Zastraszona postępowaniem UB czuła się zagrożona i dlatego oddała niemal spłaconą już willę dla profesora Politechniki, w zamian za skromne mieszkanko w domu czynszowym przy ul. Mickiewicza, a syn, który uzyskał maturę i zdał wstępne egzaminy z wynikiem dobrym na Politechnikę - nie został przyjęty. Pouczono go, by wpierw nauczył się pracować. Gdy zaczął pracę w biurze projektów jako kreślarz, gdy tylko wypełnił wielostronicową ankietę, w której podał, że ojciec był oficerem A.K. - został zwolniony. Dopiero interwencja u sekretarza PZPR pomogła, że został ponownie zatrudniony. Kiedy w następnym roku ponownie zdał egzamin na Politechnikę z równie dobrym wynikiem, znowu został odrzucony. Dopiero interwencja mej żony u sekretarza PZPR odniosła skutek. Wkrótce, bo już po pierwszym roku studiów, gdy skasowano wydział architektury, musiał przenieść się do Warszawskiej Politechniki, a że nie miał mieszkania, więc zgodził się na dozorcę nocnego do Yacht Clubu Akademickiego, aby za możność pobytu i nauki w pokoju dyżurnego - pełnić tę funkcję.

Wolność?

Kiedy **po odsiedzeniu 3 lat i pięciu miesięcy** wyszedłem na wolność, daremnie kołatałem do różnych biur o pracę. Wszędzie dyrekcja pragnęła mię zatrudnić, lecz personalni jakby się zmówili, załatwiali mnie odmownie. Wkrótce wyczerpały się me skromne środki- zarobione podczas pracy w więziennym biurze projektów BAK na gęsiówce, a nadal spotykałem się z odmową jak napiętnowany. Kolega z okresu studiów politechnicznych, kierownik instytutu naukowego w pałacu Staszica inż. arch. Siennicki wręcz bez żenady oświadczył mi: „Już mam jednego pracownika, który stamtąd wyszedł. Nie mogę, aby posądzano mnie za przytułek dla tych, co stamtąd przychodzą". Nawet min. Kaczorowski, który tak pozytywnie o mnie wyrażał się, wolał odmówić poparcia pod pretekstem, że sam jest zagrożony i kto wie czy za tydzień nie będzie aresztowany, a wówczas jego protekcja stałaby się dla mnie kulą u nogi.

Wreszcie zwróciłem się do kierownika Więziennego Biura Projektów BAK Ob. Góry (Żyda), by mnie zamknął, gdyż nie mogę dostać pracy. Wówczas dopiero jego interwencja w biurze personalnym nowopowstałego biura projektów specjalistycznych na Królewskiej otworzyła bramę do pracy.

Kto? Dlaczego?

Długi czas nie mogłem odgadnąć, kto był inspiratorem tych prześladowań, gdyż w społeczeństwie szczecińskim miałem tylko ludzi przyjaznych i szanujących mnie. Przez wiele lat szukałem tego tchórzliwego wroga i dopiero po wielu analizach faktów i dalszych prześladowań w postaci nocnych telefonów ze zmienionym głosem zapowiadającym: "zdechniesz, zdechniesz" zdołałem rozpoznać sprawcę. Był to przypadkiem poznany w okupowanej Warszawie działacz syjonistyczny, zbiegły z getta lubelskiego, adwokat Adam Radomski vel Rotrubin. Kiedy 1.VIII.1944 r. prowadziłem swą kompanię z Bugaja na ul. Długą, do Hotelu Polskiego na punkt zborny batalionu, na rogu Długiej i Miodowej spotkałem zaprzyjaźnionego w 1939 r. w Lublinie ob. Krasuckiego oraz jego przyjaciela Radomskiego. Obaj zagubieni w miejscu, w którym nie mieli żadnego punktu oparcia, gdyż ich komórka organizacyjna mieściła się na odległym Żoliborzu, do którego dostęp już był wskutek wybuchu walk odcięty, obaj gorąco prosili, bym ich przyjął do mego oddziału. Radomski był silnie zbudowanym wysokim mężczyzną, a jego kolega Krasucki, raczej delikatnej budowy. Obu ich przygarnąłem z tym, że Krasucki od razu poprosił o funkcję tyło-



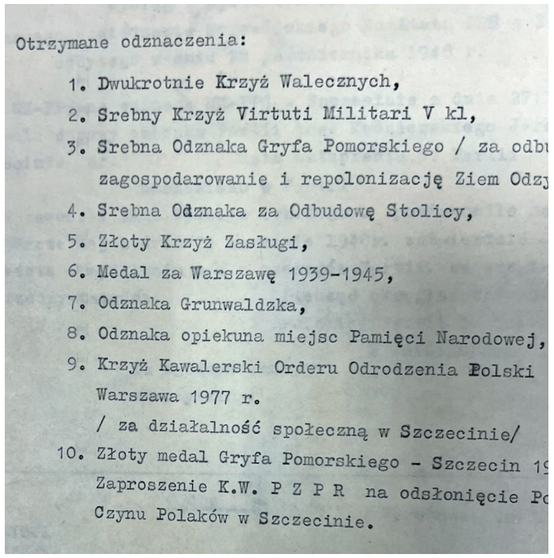

Otrzymane odznaczenia:

1. Dwukrotnie Krzyż Walecznych,
2. Srebny Krzyż Virtuti Militari V kl,
3. Srebna Odznaka Gryfa Pomorskiego / za odbu
   zagospodarowanie i repolonizację Ziem Odzy
4. Srebna Odznaka za Odbudowę Stolicy,
5. Złoty Krzyż Zasługi,
6. Medal za Warszawę 1939-1945,
7. Odznaka Grunwaldzka,
8. Odznaka opiekuna miejsc Pamięci Narodowej,
9. Krzyż Kawalerski Orderu Odrodzenia Polski
   Warszawa 1977 r.
   / za działalność społeczną w Szczecinie/
10. Złoty medal Gryfa Pomorskiego - Szczecin 19
    Zaproszenie K.W. P Z P R na odsłonięcie Po
    Czynu Polaków w Szczecinie.

wą, gdyż jego nerwy zawodzą w akcji, natomiast Radomski odgrywał śmiałka, jak się później okazało w próbach uwodzenia sanitariuszek. Już podczas obrony reduty Ratusz, którą mnie powierzono, podczas prowadzenia kontrnatarcia ów „bohater" dosłownie zrobił w portki, o czym dowiedziałem się w wiele lat później od współuczestników tej akcji. Od tej chwili tak zręcznie melinował się, że nie brał udziału w wielu innych akcjach. Dopiero gdy losy Starówki były już przesądzone, a dni policzone, zjawił się z propozycją ucieczki kanałami do śródmieścia. Wówczas był wydany rozkaz strzeżenia włazów do kanałowi, aby powstrzymać próby dezercji i kolizji ruchu w kanałach o małym przekroju, uniemożliwiającym wymijanie się. Dla strzeżenia włazów byli przydzieleni żandarmi. Kiedy z oburzeniem odrzuciłem myśl o dezercji, a także o zamiarach Radomskiego uprzedziłem żandarma, by ten nie dał się zaskoczyć, on jednak jakimś cudem przeszedł kanałami do Śródmieścia i tam wstąpił do A.L. uzyskując z miejsca stopień oficerski. Przetrwał jakoś resztę dni powstania nie opuszczając miasta.

Po wyzwoleniu został prokuratorem sądu wojskowego w Toruniu. Tu natknął się na owego żandarma, tym razem aresztowanego z oskarżenia własnej żony, że podczas okupacji przyjął obywatelstwo niemieckie, żandarm ten pragnąc uzyskać łaskawszy wyrok wyznał prokuratorowi; że miał rozkaz zatrzymywania dezerterów a w razie oporu nawet użyć broni. Cd tej pory Radomski zmienił zawód na adwokata i widocznie pragnąc mnie odszukać przybył do Szczecina. Witając mnie obłudnie jako współkombatanta. Domyślam się, że pragnął mnie wykończyć jako świadka jego tchórzliwych poczynań. Wykorzystując ówczesny układ i „poparcie swych wysoko postawionych współziomków, lub terroryzując osoby mnie broniące, uzyskał widocznie zgodę na załatwienie mnie.

Kiedy już byłem skazany i przebywałem w więzieniu w Goleniowie byłem zaskoczony jego wizytą. Nie przybył z żadną misją ani interesem, chciał jedynie napaść oczy mym poniżeniem.

Kiedy UB aresztowało moich pracowników w Szczecinie, Kamieniu czy w Wałczu występowałem śmiało w ich obronie, uzyskując ich zwolnienie. Jakże inaczej zachował się mój minister Kaczorowski. Świadom naszej niewinności dzięki raportowi inspektorów po powrocie ze Szczecina, nie uczynił nic w obronie towarzysza partyjnego. Równie tchórzliwie zachował się sekretarz wojewódzki PPS, który znał doskonale moją działalność choćby w zakresie prac w PPS, a mimo to zgodził się na wydanie decyzji o relegowaniu mnie z partii i to „za wrogie ustosunkowanie do obecnej rzeczywistości". Ktoś mocny zdołał narzucić płk. Bojanowskiemu postępowania i nakaz wydania wyroku wbrew przekonaniu.

Z jaką swobodą różni działacze partyjni posługiwali się wyświechtanymi i wyimaginowanymi epitetami na temat rzekomej wrogości do obecnej rzeczywistością głusi na orzeczenie Centralnej Komisji Kontroli Partyjnej. Wreszcie sam wojewoda Borkowicz tak gorliwie zabiegający o pozyskanie mnie w chwili, gdy u niego sytuacja była krytyczna, odbywający często wraz ze mną objazdy kontrolne odbudowywanych wsi, nie dający zadowolenia z organizacji, tempa robót i rozmachu prac tak ułatwiających mu osiedlanie repatriantów, czyż on nie był wtajemniczony w przygotowania do wykończenia mnie? Nagradzając mnie srebrną odznaką gryfa pomorskiego jako jednego z pierwszych po ustanowieniu tego orderu ocenił moje zasługi na polu odbudowy, zagospodarowania i repolonizacji tych ziem, jak to możliwe było nieco później zezwolić na utytłanie mnie błotem i poddanie maltretowaniu i tylko dla zaspokojenia żądzy zemsty czy zgubienia świadka dezercji mało znanego współwyznawcy.

Towarzysze...

Jest bowiem rzeczą niewątpliwą, że takie postępowanie ze mną wymagało aprobaty i współdziałania szeregu osobistości stojących na naczelnych stanowiskach w województwie czy partii i wymiarze sprawiedliwości. A czy etycznie zachował się ówczesny prezydent miasta prof. Piotr Zaremba, który w swych wspomnieniach opisując swe niewątpliwe zasługi w odbudowie administracji i instalacji miejskich, aby dodać sobie blasku zacienia tak czynną i pełną inwencji postać jak moją, poświęcając mej osobie jeden zaledwie wierszyk stwierdzający, iż w Szczecińskiej Dyrekcji Odbudowy był inż. J. Kędzierski. W dodatku w przekonaniu, że zostałem uśmiercony, pozwala sobie na przypisywanie sobie zasługi za ratowanie zabytków podając, że był członkiem komisji konserwatorskiej, co nie jest prawdą, a fakt ten może potwierdzić żyjąca w Szczecinie mgr. inż. arch. Helena Kurcyusz. Mimo powoływania się na swe zapiski prowadzone aktualnie, błędnie podaje w swym pamiętniku, że pierwsze przedstawienie teatralne odbyło się w kinie Colosseum podczas gdy z okazji Święta Morza (pierwszego w Szczecinie w 1946 r.) został adoptowany na Teatr Polski budynek matki i dziecka hitlerowskiego przy ul. Swarożyca i tam odbyło się przedstawienie przybyłego z Jeleniej Góry zespołu teatralnego Galla. Jest jeszcze kilka innych błędów sobie przypisywanych.

Dziś powszechnie wiadomym jest, że niektórzy ówcześni działacze, będący na eksponowanych stanowiskach, nieźle zdążyli się obłowić, i prawda o ich oddanej pracy dla Polski Ludowej była tylko parawanem dla całkiem prywatnych spekulacji.

Ja natomiast nie tylko nie wyniosłem żadnych korzyści z pracy na terenie województwa, ale tak wiele utraciłem zdrowia, szczęścia rodzinnego i sił do pracy, nie licząc strat materialnych. Mimo podsumowania owego okresu jako okresu błędów i wypaczeń teraz jednak nie próbowano nawet wynagrodzić skrzywdzonych, a tak oddanych pracowników. Że nie byłem miernym pracownikiem o tym świadczą otrzymane odznaczenia: dwukrotnie Krzyż Walecznych, Srebrny Krzyż Virtuti Militari V kl., medal „Za Warszawę"", srebrna odznaka Gryfa Pomorskiego (Nr 7), Srebrna Odznaka za Odbudowę Warszawy, Złoty Krzyż Zasługi, Odznakę Grunwaldzką, Odznakę Honorowego Opiekuna Miejsc Pamięci Narodowej, Krzyż Kawalerski Orderu Odrodzenia Polski i ostatnio ponownie odznaka Gryfa Pomorskiego w roku bieżącym, z okazji uroczystego odsłonięcia Pomnika Czynu Polaków.

Moja praca

Dziś, gdy oglądam rozkwitające i tętniące życiem wsie i miasta, porty i stocznie na terenie Ziem Odzyskanych mam satysfakcje, iż moja praca w owych latach trudnych w pewnym stopniu przyczyniła się do obecnego stanu, a zwłaszcza do uratowania wielu zagrożonych zniszczeniem obiektów. Że trud włożony wówczas w odbudowę, zagospodarowanie i repolonizację tych ziem nie poszedł na marne, że przyczynił się do likwidacji atutów wrogiej propagandy o rzekomej indolencji Polaków do zagospodarowania tych ziem.

Cieszy mnie także, że syn mój, także architekt-urbanista, pozostał tu, pracuje i założył rodzinę i ma dwóch synów, którzy losy swe także zwiążą z tym terenem. Syn mój Janusz jest zapalonym żeglarzem, który odniósł szereg nagród za udział w regatach, a jako zasłużony działacz Akademickiego Yacht Klubu otrzymał złotą odznakę.

Radomski vel Rotrubin nabroiwszy, ile mógł, porzucił demokrację wynosząc się do Ameryki, by tam jako gorący syjonista opluwać Polskę.

Nie sądziłem nigdy wcześniej, że kiedykolwiek cierpieć będę na… ból niepamięci. Nie tylko mojej. Nas wszystkich. Z taką nonszalancją i łatwością… zapominamy. Nie pytamy Ojca, nie doszukujemy się śladów przeszłości naszych przodków. A były to życia nie miej cenne i treściwe jak nasze własne.
Swoje wspomnienia Jerzy Kędzierski kończy przywołaniem osoby jego syna. Szczecinianina. Żeglarza. Także – architekta – Janusza Kędzierskiego.
Zenon Szostak, redaktor Zeszytów Żeglarskich (https://zeszytyzeglarskie.pl) przypomniał mi postać starszego kolegi klubowego.

Kędzior...

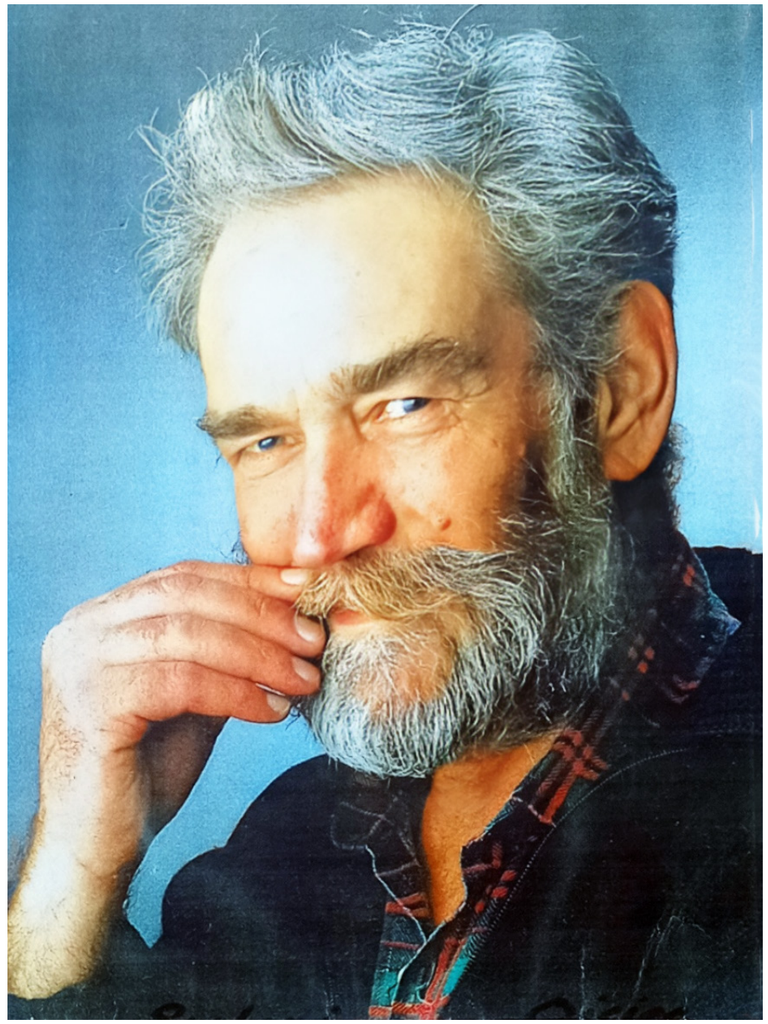

- Któregoś dnia odwiedziłem Janusza w jego mieszkaniu przy Sołtysiej. Z okien – miał wspaniały widok na Starówkę, Łasztownię, Odrę… A w mieszkaniu? Jak je opisać? Stosy starych gazet, żeglarskich pamiątek, zdjęć, medali, odznak. Janusz startował od 1949 roku w kolejnych Regatach Jesiennych - pierwsze po wojnie szczecińskie regaty międzyklubowe, odbywające się corocznie do dziś - startował na joli "P-7" i w tej klasie regatowej, w kolejnych latach zdobywał pierwsze miejsce. Po zwycięstwie w 1953 roku otrzymał nagrodę przechodnią, piękną 30 centymetrową rzeźbę, wykonaną w pracowni znanego, bodajże warszawskiego, artysty. Ta rzeźba ostatecznie przeszła na własność Janusza. Mówię, Januszek, to wszystko – przekaż nam do klubu albo do jakiegoś muzeum, te twoje skarby. Niestety, niedługo potem Janusz odszedł od nas. Zapukałem do drzwi jego mieszkania, ale zastałem już puste pomieszczenia. Żałowałem, że jednak nie wyciągnąłem od niego tych pamiątek. „Nie wypożyczyłem" szczególnie kolekcji zdjęć. Mój Boże, czego tam nie było! No, przede wszystkim - kadłub katamarana, takiego plażowego, który Janusz zaprojektował i zbudował sam, jak był bosmanem u nas w Klubie. Pływaki tego katamarana wisiały podwieszone pod sufitem w jego mieszkaniu. Poza tym - stare szekle, stare kabestany… To wszystko – przepadło. Cóż za niewybaczalna ironia losu. A może pamięta pan Zenona Dmochowskiego…?

- Tak, fotoreporter Głosu…

- No właśnie. Po Powstaniu Warszawskim, po wojnie przyjechał do Szczecina. Fotografował miasto i imprezy, uroczystości. Także nasze żeglarskie, regaty. Odwiedziłem go kiedyś. To lata 90. Mieszkał w trudnych warunkach. Pytam – czy mógłby mi Pan pokazać zdjęcia z naszego środowiska, z żeglarstwa akademickiego? Tak, mam wszystko… Zasypał mnie wydarzeniami, nazwiskami ludzi. Podniósł wieko tapczanu, bo w nim miał olbrzymie pudła pełne negatywów i zdjęć. Ja załamałem ręce – dlaczego to wszystko tutaj leży, to trzeba udostępnić… A, wiesz… Wyjął kilka zdjęć. O, to są wasze – z AZSu. Masz. I dał mi kilka zdjęć. Po jakimś czasie wróciłem do tego mieszkania. Niestety, za późno. Zdziwiony i zaskoczony, pukam, pytam…. Ale tam już mieszkali inni ludzie. Zenon Dmochowski zmarł. A jego "skarby", które mi pokazywał? Nie ma! – usłyszałem w odpowiedzi. Nie mogłem uwierzyć, ale to fakt. Natomiast Janusz Kędzierski przez wiele lat pracował jako bosman przystani AZS. Tę pracę dostał po stanie wojennym. Był bardzo wyrazistym człowiekiem, manifestował swoją religijność i opcję polityczną. Takiego radykała ówczesna władza nie mogła tolerować. Ciężko mu się żyło. Przesiadywał na przystani. Tu trzymał swojego przedwojennego Stara, piękny jacht, na którym przed laty odnosił sukcesy regatowe. Był barwną postacią. Kiedy pracował w Urzędzie Morskim – musiał chodzić w mundurze. Ale



Janusz Kędzierski (1931-2019)

też jeździł na rowerze. To taka charakterystyczna sylwetka – marynarz na rowerze. Obecny, czynny uczestnik wszystkich wydarzeń i obchodów niepodległościowych. Mundur, naszywki, flaga biało-czerwona. Rzucał się w oczy.

W „Informatorze Międzyzdrojskim" (11/2014) Przeczytałem intersującą i wzruszającą relację Marka Czarlińskiego na temat historii sztandaru Koła Solidarności Polskich Kombatantów ,,Zawsze Wierni" (Semper Fidelis).

„Sztandar ten zaprojektowała i wykonała nieodpłatnie ponad 23 lata temu artystka - hafciarka z Międzyzdrojów pani Janina Bagrowska. Błękitne płótno pochodzi ze spadochronu. Decyzją zarządu za społeczny wkład swojej pracy przy sztandarze organizacja nadała jej tytuł honorowego członka Solidarności Polskich Kombatantów. (…) Kiedy mój ojciec śp. Józef Czarliński był już w podeszłym wieku i nie mógł dalej opiekować się sztandarem, jako chorąży, przekazał go do Komendy Armii Krajowej w Szczecinie. Tam do niedawna chorążym sztandaru był kpt. Janusz Kędzierski z formacji Szarych Szeregów, który nim się opiekował i nosił na wszystkie uroczystości. Przewodniczący Wojewódzkiego Związku Solidarności Polskich Kombatantów kpt. Zbigniew Piasecki ze Szczecina i kpt. Janusz Kędzierski będąc w podeszłym wieku chcieli go oddać do Muzeum Armii Krajowej w Warszawie z uwagi na to, że jest to pierwszy sztandar tej organizacji w wolnej Polsce. (…) Pomyślałem wówczas, że ten sztandar nie powinien nigdzie się tułać, tylko tu jest jego miejsce, tu gdzie się narodził - w Międzyzdrojach. (…) 1 października tego roku odbyło się uroczyste, ze wszystkimi honorami, przekazanie sztandaru przez żołnierzy AK harcerzom w Międzyzdrojach. Teraz oni są chorążymi sztandaru i zarazem części historii naszej ojczyzny i Międzyzdrojów.

Na stronie internetowej Jacht Klubu AZS, w zakładce: Na wiecznej wachcie, Zenon Szostak opublikował notatkę upamiętniającą Janusza Kędzierskiego. Dzięki uprzejmości Autora – przywołuję jej treść.

Kadłub Jego jachtu przez długie lata stał na lądzie, w ciągłym remoncie; balastowa, bez kabinowa jednostka regatowa, niegdyś olimpijskiej klasy „Star". Janusz z dbałością przygotowywał ją do sezonu, do kolejnych regat, sprawdzał swoje „patenty", wdrażał nowinki techniczne, technologiczne. Któregoś roku część podwodną pokrył grafitem z żywicą - dla zmniejszenia tarcia kadłuba o wodę. Czy się sprawdziło? Trudno powiedzieć, wtedy lata świetności regatowej Janusz i jego „Star" mieli już za sobą.

W I Regatach Jesiennych w Szczecinie, we wrześniu 1949 roku, Janusz startował na jolce „P-7" -„Starów" jeszcze nie było ani w Szczecinie, ani w Klubie; i wygrał w swojej klasie. Zajął pierwsze miejsce w konkurencji z ośmioma startującymi „P-siódemkami". Był wtedy jeszcze w Jacht Klubie„Gryf". Po tych regatach przyłączył się do żeglarzy akademickich i pozostał u nas na zawsze. W następnym roku, także w Regatach Jesiennych, startując już w barwach sekcji żeglarskiej AZS – powtórzył sukces sprzed roku: pierwsze miejsce w kl. „P-7". Podobnie było w 1952 roku. W 1951 r. zdobył wicemistrzostwo okręgu na jachtach mieczowych 15m2.

W 1955 r. szczeciński AZS dostał z Giżycka (Mazury) przedwojenne „Stary": „Delfin" – ex „Muszla" i „Centaur" – ex „Jantar". Dlaczego w nazwie ex? Otóż były to przedwojenne „Stary" zakupione przez Oficerski Yacht Klub Polski z Gdyni w 1935 r. (4szt.) i w 1936 r. (4szt.). Jednostki były zamówione u producenta - stoczni Abeking & Rasmussen. Jesienią 1939 r. Niemcy po Post scriptum – Syn Jerzego Kędzierskiego napaści na Polskę zagarnęli majątek polskich klubów żeglarskich, tak jak i cały majątek narodowy. „Stary" wywieźli do swoich klubów żeglarskich, do Giżycka. Po wojnie Oficerski Yacht Klub Polski nie wrócił do swojej działalności, a porzucone przez Niemców gdyńskie „Stary" w końcu trafiły do klubów żeglarskich w Polsce i trzy przydzielono Szczecinowi, w tym dwa dla szczecińskiego AZS.

Kolejne sukcesy regatowe Janusza na „Starze" („Delfin") to, m.in:
- w 1966 r. XI Międzynarodowe Regaty Przyjaźni - 1 miejsce
- w 1967 r. Puchar MKS – 4 m.
- w 1967 r. Puchar Morskiej Komisji PZŻ - 4 m.
- w 1969 r. Morskie Żeglarskie Mistrzostwa Polski w Gdyni; w załodze ze szczecińskim konstruktorem jachtowym Edwardem Hofmannem zajął trzecie miejsce na 10 jednostek.

Potem w miejsce „Starów" jako klasa olimpijska, weszły „Solingi". Kończyła się rywalizacja regatowa „Starów", ale Janusz pozostał ze swoją jednostką, nadal przygotowując ją do żeglowania. Zmysł techniczny miał dobry – był z zawodu architektem - zaprojektował dla Klubu obecny budynek klubowy, bosmankę, hangar przy bosmance; dobrze służą do dziś. Potem Janusz zaangażował się w ruch niepodległościowy i z tego powodu, w trudnych latach stanu wojennego, był szykanowany, zwolniony z pracy. W Klubie znalazł wsparcie i pomoc – pracę na etat jako bosman. W wolnym czasie mógł nadal dbać o „Stara", projektować, budować, eksperymentować – np. zbudował plażowego katamaranu.

Nie znaliśmy - może poza kilkoma osobami - Jego pięknej karty z lat wojny. Janusz jako młodociany harcerz w czasie okupacji niemieckiej był zaangażowany w konspiracji w Szarych Szeregach. Jego czynny opór okupantowi, działalność niepodległościowa, aktywność zawodowa i społeczna zostały docenione - nagrodzony odznaczeniami państwowymi oraz związkowymi: odznaczenia państwowe, odznaki AZS, honorowe członkostwo naszego Klubu, odznaczenia zawodowe; uroczystości pogrzebowe odbyły się z asystą honorową Wojska Polskiego.

Mówią – miłość. Ale czują – zazdrość.
Wołają - ach, Mistrzu - świetnie, doskonale, fantastycznie! A myślą… ty… ty…
Wiele razy doświadczyłem podobnych sytuacji. O wiele więcej mówimy do siebie za plecami niż… prosto w oczy.
Jaką miarą mierzyć wielkość innych? Tylko naszą małością? Ale do niej nikt się nie przyzna.

Twarze miasta



Nigdy nie spotkałem następcy, by powiedział – świetnie, kontynuujemy to, co robił nasz poprzednik. Każdy zaprowadzał swoje, zazwyczaj o wiele gorsze porządki.

Zróbmy najprostszy psychologiczny test – ten na skojarzenia.

Toruń – Kopernik, Żelazowa Wola – Chopin, Świteź – Mickiewicz, Gniezno – Popiel.

A Szczecin?

Z kim nam się kojarzy Szczecin?

Kto był, jest rozpoznawalny i uznawany przez wszystkich?

W Gdańsku i Polsce – Wałęsa, w Szczecinie – Jurczyk? Dlaczego kiwa Pan głową? A Pani nie znajduje żadnego autorytetu?

- W domu mówiło się, że dyrektor stoczni, ten Jendza – to on był taki lubiany przez wszystkich. Ale, phi… kiedy to było?

Artyści, sportowcy, politycy...

Kibice wskażą pana Krygiera. Ale to ci z pokolenia starszych mieszkańców miasta. Ktoś zapyta, a ten, no, ten – poeta od dorożki…. Ale nie, on tu był krótko, podobno kochał się w kimś. Tak jak Fogg.

Więc kto?

- O, wiem, Kuba Jaworski. Żeglarz, jedyny nasz regatowiec oceaniczny. Jedyny… Ale, czekaj, kiedy on do tego Newport płynął…. No, dawno, dawno to było.

Na rotundzie Wałów Chrobrego jest płaskorzeźba Jana z Kolna. Przy Placu Grunwaldzkim – figura marynarza. Ale bezimiennego.

Szczecińskie sieroty

Z czego wynika to nasze kulturowe i cywilizacyjne osierocenie? Z braku rodów i wielopokoleniowych rodzin, z pomnażania potęgi miasta przez pączkowanie nazwisk i stanów, mające realny wpływ na rozwój całej enklawy kulturowej? W Szczecinie nie rodzi się wielka myśl, nie owocuje ważne dzieło, nie wybrzmiewa istotne przesłanie dla kraju. Działa tylko fizjologia.

> Znikąd przyszliśmy, nikim się stajemy, nikomu nic istotnego, kulturotwórczego nie przekazujemy.

Dziedzictwa bezdzietne

Przysłuchuję się dyskusji znawców, koneserów i kolekcjonerów sztuki. Pokażmy – mówią - najcelniejsze prace naszych malarzy. Ale może te z okresu pierwszego, pionierów, tych twórców, którzy…. Głosy ekspertów giną w szumie, jaki rodzi się w mojej głowie, bowiem oglądam wydawnictwo, broszurkę, ledwie kilka pożółkłych stron katalogu, który wraz z podobnymi pozycjami na to spotkanie przyniósł pan dr Michał Paziewski. To katalogi wystaw plastycznych z pierwszych powojennych lat. Katalogi…. Mój Boże, przecież to cudownie, neoficko i pioniersko siermiężne, makulaturowe wręcz wydawnictwa; jakość druku poniżej minimum akceptowalnego w myśl dzisiejszych standardów! Ale… Ale… Dokumenty wartości najwyższej. Dowód heroicznie wzrywanej po wojnie ciągłości tradycji. Nawiązującej do lat przedwojennych.

Przerzucam kartki, jakby to cenny jakiś mszał był. Wiele nazwisk – niektóre poznaję pierwszy raz. Są też uznani twórcy, ale wtedy – aplikanci sztuki. Przy każdym nazwisku – kilka zdań typowych dla biografii i… adres zamieszkania artysty.

Marek Wyłupek uśmiecha się, gdy mu pokazuję te informacje.

- Artysta był osobą publiczną… Jak szewc czy krawiec – świadczył usługi… artystyczne. Każdy mógł zapukać do jego drzwi.

W tamtym jakże niewyobrażalnym dla nas czasie, pośród gruzów, w znoszonych marynarkach, wytłałych sukienkach, w bucikach schodzonych, ale niedawno podzelowanych – ludzie przychodzili na wystawy, na wernisaże – pobudzali milknące echo przedwojennych rautów, spotkań, aukcji dzieł sztuki, wieczorów autorskich.

Tak, dziś aukcje są bodaj jedyną, ostatnią, ale jakże odmienną w duchu pozostałością po tamtych czasach. Dziś znów rośnie potrzeba na „portret przodka", na stare żelazko lub lampowe radio, na szkatułkę czy krzesło o krzywych, powyginanych nóżkach. Bez tych elementów nasze mieszkania są… puste, choć pełne dóbr i dobrodziejstw.

Dyskusje, spotkania autorskie? Zakończył się właśnie Festiwal Bonhoefferowski… Każda "debata" miała tytuł. Ale treść wiła się, jak wiatr zawiał. Toczyła się przez tematy, goniła wątki, a w zgodnym

jednobrzmiącym chórze o świecie między tronem a ołtarzem – nie wiem, czego dotyczyła? Plotek o biskupach, papieżach, kardynałach, o złośliwościach i koteriach? Banały, komunały, wielkie słowa, poezja klerykalna ale biskupim piórem pisana… Dwie godziny, ale o czym? Jakieś złośliwostkowe dialogi, porozumiewawcze półsłówka… A Bonhoeffera kolanem dopychano – po co? Jako piątą nogę, podpierającą szafę pełną sloganów? Ten tercet rozmówców znów przyjedzie tu za rok. Teatr (organizator) na Facebooku pokaże, jak sponsor swoimi luksusowymi autami dowiózł na debatę szacownych gości. Wiocha, panowie. Wiocha! Podobnie będzie przez dziesięć lat. Bo jest za co. Na pięćdziesiątym przedstawieniu „Polity" – komplet widzów, a w Szekspirowskiej, na tej dziadowskiej debacie, naliczyłem ze trzy pełne rzędy junaków o średniej wieku powyżej 70. Może, gdyby wstęp był darmowy, ale tu bilet kosztował pięć złotych. Rozpoznaję ultrakatolickich działaczy. Na debacie Bonhoefferowskiej!!! Luteran nie wpuszczono? Nie zaproszono? Nie! Był jeden. Jak się ta tygodniówka zakończyła – opowiem wkrótce. Bo takiego finału się nie spodziewałem. Muszę ochłonąć. Oto pierwszy raz w życiu zajrzało mi prosto w oczy prawdziwe, zawodowe i profesjonalne chrześcijaństwo, a właściwie dominikaństwo. Na nic doświadczenia z safari, na nic kąpiel w Oceanie Lodowatym. Nic nie zahartowało mnie na tyle, by wytrzymać to jedno, wypowiedziane tam ze sceny w stronę widowni dominikańskie zdanie. Tak. Tu może rozegrać się nasza ostatnia runda. Tym bardziej, że pamiętam dobrze wcześniejsze Dni Bonhoefferowskie i to najpłytsze z głębokich pytań debaty tygodnia: czy chrześcijaństwo jest nam potrzebne. Dochodzę do wniosku, że nie ono nam, a my jesteśmy potrzebni jemu. W wymiarze ekonomicznym (nie mylić z ekumenicznym). Chrześcijaństwu z osobowością prawną, zdolną do zawierania umów o dzieło, wystawiania faktur i posiadającego konto bankowe.

Profesor...

Już dłużej nie będę ciągnął – wyczuli państwo – tego narzekania. W niczym mi ono nie ułatwia zadania. Powinienem był od razu powiedzieć, że tematem tego tekstu jest **wstyd i podziw**. Dziwny mariaż, ale prawdziwy. Jak czekolada z solą.

Profesora Jana Szyrockiego poznałem na koncertach, potem spotykaliśmy się na obozach zimowych chóru, wreszcie przy Wyzwolenia, w tej na najwyższym piętrze adaptowanej na mieszkania dużej przestrzeni poddasza.

Przygotowywałem cykl gawęd, wywiadów o muzyce, o chóralistyce, technologii, inżynierii, o odczuwaniu piękna. O Chórze Akademickim Politechniki Szczecińskiej. Cóż za konglomerat wątków… Ja, absolwent szkoły technicznej, świeżo uklepany filolog odpytujący inżyniera, technologa, specjalistę od betonu oraz muzycznego maga, czarodzieja, który mieszał chmury z głosów, opary nastrojów, kolory brzmień.

Był dobrym rozmówcą. Budował krótkie zdania, dzielił je równymi i niezbędnymi dla wybrzmienia myśli – pauzami. Zrazu wycinałem je na stole montażowym, ale potem, wyjmowałem z kosza te ścinki taśmy magnetofonowej by… wkleić je ponownie, dla zachowania walorów muzycznych całej wypowiedzi. Dziś próbuję "wysłyszeć" te rozmowy ponownie…. Bo czyż nie były one formą zapisu nutowego? Partyturą? Ludzie muzyki mówią, jakby czytali myśli wprost z pięciolinii?

Znaliśmy się wcześniej z koncertów w filharmonii, z międzyzdrojskiego Festiwalu Pieśni Chóralnej. W moim domu, w szafie wisiała wtedy koncertowa suknia chórzystki (ta z tych najpiękniejszych w historii chóru). W obu znaczeniach tego słowa.

Zobaczyłem ją znów, w ubiegłym roku, na zdjęciu w siedzibie CHAPS-u. Ożyły wspominania. Popołudniowe próby, chodzenie po korytarzu, na palcach, żeby im nie przeszkadzać. A potem przesłuchania przed kompletowaniem składu na tournée zagraniczne. Żadne egzaminy wstępne nie stwarzały podobnej rywalizacji jak te chórlne kwalifikacje. Takich emocji nigdzie w mieście nie można było napotkać.

Przeglądam starą korespondencję, sięgnąłem po nagrania, zdjęcia, które się zachowały, a któregoś dnia, nie tak dawno - między półkami i regałami supermarketu… mignęła mi tamta… Muzyka. Trudno o lepszy pretekst do splinu.

Ech, te dygresje…

> Dlaczego? Dlaczego czas, a w gruncie rzeczy to my sami tak gubimy pamięć o ludziach, którzy nas w jasnym sensie kształtowali, definiowali nasze zainteresowania, wyznaczali niezbędne minimum wrażliwości, jaki należało w sobie wykształcić, by współtworzyć grupę, gremium ludzi myślących i odczuwających podobnie.

Mówiąc wprost - moja wściekłość wynika ze sposobu, w jaki traktowana jest pamięć o profesorze Janie Szyrockim!

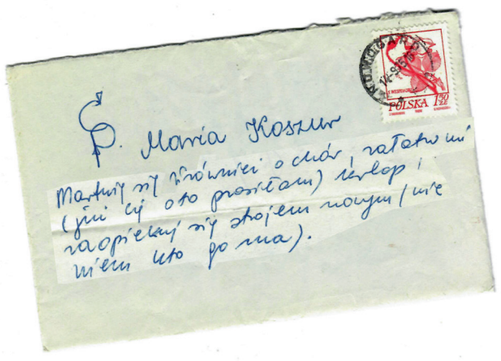



Pomnik w Międzyzdrojach

Tak, to właśnie to „coś" tak bardzo mnie irytuje.

Nie mogę zrozumieć idei oraz jej realizacji. Dlaczego w tak – z pozoru słusznym miejscu – ale w niedorzecznym otoczeniu i w tak nieadekwatnej formie ustawiono pomnik poświęcony Janowi Szyrockiemu?

Nie umiałem sfotografować tego… „akcentu"? Bo jak nazwać ów „postument"? Czym jest i co to jest? Gdyby nie biała koszula…. Kto dostrzegłby, że ta „wyrwa w kamieniu" to… profil Profesora?

Jest jeszcze w pobliskim Domu Kultury tablica, a na niej informacja, że sala koncertowa obiektu nosi imię profesora. Ale kto tablicę tę dostrzeże?

Jest wreszcie w Szczecinie… rondo Jego imienia.

Rondo - jedno z najbardziej ruchliwych, pełne dźwięków, które z chóralistyką, ale sfer piekielnych ma wiele wspólnego! Kto wpadł na ten pomysł, by tę graciarnię dźwiękową nazwać imieniem Profesora? Że to niby bliskość Politechniki? Że, że…?

Obok wspomnianej sukni, były też na ścianie plakaty z tourne chóralnych. Na jednym – corrida. Taką właśnie urządziłbym tym, którzy w manifestacyjny sposób nie szanują pamięci innych. Manifestacyjny – w odwrotnym tego pojęcia znaczeniu. Nie robią nic by prawdziwych bohaterów naszej szczecińskiej rzeczywistości wspominać z wdzięcznością.

Za eksces uznaję wybór pana Jacka Nieżychowskiego na patrona ubiegłego roku, przy pełnym szacunku dla Jego osoby. Ale nie da się Jego dokonań porównać z postaciami okrętowników, kapitanów, żeglugowców, portowców… Już zapomnieliśmy o tym, że Szczecin



Pomnik prof. Jana Szyrockiego w Międzyzdrojach.



przez większą część swojej historii był największym portem i miastem morskim nad Bałtykiem? A nie operetką jedynie? A może się… mylę?

Mieliśmy wtedy w mieście dwa gniazda. Z jednego wzlatywało, a z drugiego wypływało na świat imię Szczecina. Drugim – była Stocznia Im. Adolfa Warskiego z tą magiczną formułą: płyń po morzach świata i rozsławiaj imię… A pierwszym – był Chór Akademicki Politechniki Szczecińskiej, kierowany przez inżyniera Jana Szyrockiego.

Ciekawym mogłoby być zestawienie nazw portów, do których docierały statki zwodowane w Szczecinie z nazwami metropolii i stolic świata, w których koncertował CHAPS.

Pewnego razu drogi zawiodły mnie do Montevideo w Urugwaju. W ogrodzie ambasadora rozmawialiśmy o łowiskach, o remontach polskiej foty. A ambasador dopytywał Piotra Jasnowskiego, ówczesnego dyrektora CHAPs, a zarazem pracownika PPDiUR Gryf jak by tu chór sprowadzić?

W ilu światowych centrach nigdy nie koncertowały nasze orkiestry i soliści, a CHAPS był traktowany tam jak stały bywalec?

Kiedy wreszcie chórzyści sami zadbają o to, by powstała książka o Profesorze. O was, drodzy Państwo. Ten jedyny album fotograficzny, który z pewną dumą pokazywał mi Bogdan Twardochleb – to wszystko, czym możemy uhonorować tego szczecinianina?

Ludzie Szczecina

Zaproponowałem zabawę w skojarzenia. Czy jesteśmy na nią gotowi? Czy słownik szczecińskich nazwisk, jaki w sobie zbudowaliśmy przez minionych osiemdziesiąt lat jest wystarczająco reprezentatywny by rozpocząć rozmowę na temat pocztu ludzi, którzy to miasto, naszą społeczność kształtowali, wzbogacali swoimi talentami i osiągnieciami? Nie. Bo poziom naszego egoizmu i egocentryzmu nie uwzględnia już faktu, że nie spadliśmy tu wprost z nieba, ale opierzyliśmy się w gnieździe przez innych zbudowanym.



> Zatem - zgłaszam osobę profesora Jana Szyrockiego, szczecinianina najbardziej w świecie i w kraju rozsławiającego nasze miasto.

Zgłaszam środowisko szczecińskich muzyków, twórców i wykonawców, domagam się uszanowania ich pracy i osiągnięć. A zarazem – nazwania z imienia i nazwiska tych, którzy ten dorobek tak bezmyślnie niszczą. Tak, mam na myśli także honorowych patronów dwadzieścia lat trwającego Festiwalu Sacrum Non Profanum.

Panowie, to, że lansowaliście się przy tym festiwalu, że pisaliście piórami swoich skrybów panegiryki na **waszą własną cześć** - takie górnolotne teksty, wydawaliście z trzewi płynące słowa zachwytu pokazuje, jak głuchymi i pękniętymi bębnami jesteście, łasymi na poklask i – w waszej ocenie – społeczne uznanie waszego nieprawdziwego zaangażowania w tworzenie szczecińskiej kultury.

I nie będę postulował plebiscytu na największych destruktorów oraz ignorantów. Wystarczy, że nazwiska wasze wpiszemy na kartach historii miasta atramentem „sympatycznym, a więc… niewidzialnym.





Rondo prof. Jana Szyrockiego w Szczecinie.

Kopalnie króla… Jasińskiego…



fot. Andrzej Wontor

Nie. To zły tytuł. Niby nawiązuje do kopalni króla Salomona. Rodzi skojarzenia z diamentami. Ekscytuje. Podnieca. Zapowiada przygodę, gwarantuje emocje, a nawet – kto wie – wielkie bogactwa.

Więc… Więc może jako tytuł do felietonu nie brzmi jednak najgorzej?

Ale… Felieton? Felieton to lekka forma. Krotochwilna, o ambicjach zazwyczaj krytycznie nastawionych wobec opisywanych ludzi i zjawisk. No, ale gdyby bohaterem felietonu uczynić nie profesora Marka Jasińskiego, a wszystkich nas wobec Jego dzieła? No, to felieton byłby najlżejszym wymiarem kary dla niewdzięcznych spadkobierców twórczości kompozytora, który wymieniany jest na liście pięciu najważniejszych polskich twórców muzyki chóralnej i sakralnej po 1945 roku.

Jestem tylko melomanem. Nie mam kwalifikacji muzykologicznych, by zajmować się twórczością Pana Profesora. Poznaliśmy się dawno. Znaliśmy się okazjonalne, na niwie mojej aktywności dziennikarskiej. Ale wrażenie, jakie ten Człowiek na mnie wywarł, pogłębione później refleksjami i wspomnieniami Jego najbliższych współpracowników oraz przyjaciół – każe mi napisać kilka zdań na temat nie tyle dzieła co pamięci o Profesorze. Szczególnie wobec wykorzystywanych własnie możliwości upowszechniania dorobku Marka Jasińskiego.

Zdanie pierwsze...

Ma rację redaktor Bogdan Twardochleb, który mówi, że organizowanie koncertów ku pamięci Profesora mija się z celem. Bo pamiętamy o nim. Nosimy w sobie ogromną serdeczność z Nim związaną. Ale nam – twierdzi Bogdan – potrzebne są działania upowszechniające wyjątkowe cechy twórczości Marka Jasińskiego. Gdzieś przeczytałem: **łączy techniki współczesne z melodyjnością i czytelnością tekstu.**

Marek Jasiński napełnia słuchaczy swoją mądrością i refleksją, oprawioną w muzykę. Mówi nam o Bogu, o Człowieku, o Sobie, o Nas, o Celu, o Kresie i Początku. O Życiu.

Nikt nie kładzie nut tak miękko jak On. Nikt nie wyprowadza głosów jednych z drugich tak płynnie jak widać to w Jego partyturach. W tych „przed sztormowych" fragmentach jego kompozycji czekam na moment rozbijania atomów poszczególnych tonów, które rozpadają się na miliony brzmieniowych refleksów. Jak diamenty w kopalniach króla Salomona.

Zawsze, kiedy słyszę muzykę Marka Jasińskiego widzę wyraz twarzy Jana Szyrockiego. A miał profesor Szyrocki taki niewykształcony uśmiech, który pojawiał się zawsze wtedy, gdy jego chórzyści do perfekcji opanowywali dźwiękowy morfing, przenikanie się głosów, wynikanie jednych z drugich. Ten efekt obaj twórcy chyba lubili bardzo…

Taki był też tamten muzyczny świat. Wielowymiarowy.

Pamiętam, gdy któregoś dnia, w latach 70. XX wieku, mieszkałem w jednym domku campingowym, w pokoju z red. Józefem Kańskim. Chodziliśmy na koncerty Międzynarodowego Festiwalu Muzyki Chóralnej w Międzyzdrojach, rozmawialiśmy, wiadomo, o Niebie. Bo Muzyka tym właśnie dla Redaktora była. Józef Kański, zauważyłem wtedy, nieruchomiał, gdy tylko chór zaczynał śpiewać. W napięciu wsłuchiwał się w pierwsze tony, czekał kilka taktów i… wolno odchylał głowę do tyłu, opierając się wygodnie na twardej ławce w parku zdrojowym.



X-lecie Koncertów Uniwersyteckich: Marek Jasiński i Bohdan Boguszewski, 2007

- I płyniesz… - powiedział kiedyś, chyba w rozmowie z Henrykiem Swolkieniem, który zajmował pokój po drugiej stronie naszego domku campingowego.

O muzyce nie trzeba mówić, żartowaliśmy z Anną Podkańską, gdy wspierając się o moje ramię biegła przez foyer starej Filharmonii do bufetu.

- No, i co nam pani zaproponuje, oby lepszego niż to czego wysłuchaliśmy?

A ponieważ pani Ania jest łasuchem, takie też następnego dnia czytałem w „Głosie" Jej recenzje, których smaki definiowała pałaszując szarlotkę z podwójnym cynamonem. Równie "ekspresywny" był Jerzy Pieńkow. On także miał zwyczaj ujmować pod ramię swojego słuchacza, by po koncercie przejść z nim kilka metrów, wydając przy tym zupełnie nieartykułowane dźwięki, mrużąc oczy i lekko, w dystyngowanej dezaprobacie, kiwać przecząco głową. Ot, recenzent dawnej, dobrej klasy. Nic nie powiedział, a wszystko przekazał.

Wśród recenzentów i muzyków cesarzem był Walerian Pawłowski. Kiedy tylko dowiedział się, że wróciłem z wojaży i mojemu synowi przywiozłem jakąś mechaniczną zabawkę, najlepiej symulator jazdy samochodami wyścigowymi, wbiegał na trzecie piętro, zasiadał za konsoletą gry, pozwalając Kasi (moja papuga, wytresowana przez pana Mirosława Kowalskiego, mistrza rekwizytów dla iluzjonistów), by ta - lotem koszącym z szafy - siadła na Walusiowej, dostojności.

- Ach, żeby ktoś mi tak kiedyś zagrał, jak startuje ten bolid…

Dlaczego o tym wszystkim piszę? Bo przywołane wspomnienia rodzą szalony przypływ dobrego nastroju, wypełniają mnie urokiem ludzi tamtej epoki. Marek Jasiński do nich należy. Takim **jest tamten** świat i on, obecny we wspomnieniach bliskich mu osób, które nie wiem, kiedy wreszcie napiszą opowieść o tym twórcy i ich przyjacielu?

Uważam, że cykliczne i stałe powinny być np. w zamkowych salach organizowane spotkania ze szczecińskimi twórcami. Obecnymi poprzez ich dzieła – wieczory poetyckie, czytanie prozy, słuchanie ich kompozycji, oglądanie obrazów… Spotklania są, "na mieście", ale ja myślę o nobilitujących, ważnych, promujących. WARTOŚCIOWYCH.

Był wtedy właśnie w Zamku cykl imprez „przy świecach i kawie". Kawa była wtedy rzeczywiście delikatesem, ale sztuka – pozostawała bez reglamentacji. Dziś jest niesłusznie odwrotnie.

Prestiżowy Salon Poetycki Michała Józefa Kaweckiego błyszczy blaskiem osobowości ogólnopolskich. A mnie idzie o wymiar profesjonalny w odniesieniu do szczecińskich twórców. Nie tylko tych, którzy sami siebie nobilitują (czyli chwalą). Ale tych, ktorzy poddadzą się profesjonalnej ocenie i krytyce. Nie idzie mi o opowieśc,i a o powieśći. Nie o malunki a o malarstwo. Nie o muzykowanie, a tworzenie lub interpretowanie muzyki na poziomie "eksportowym".

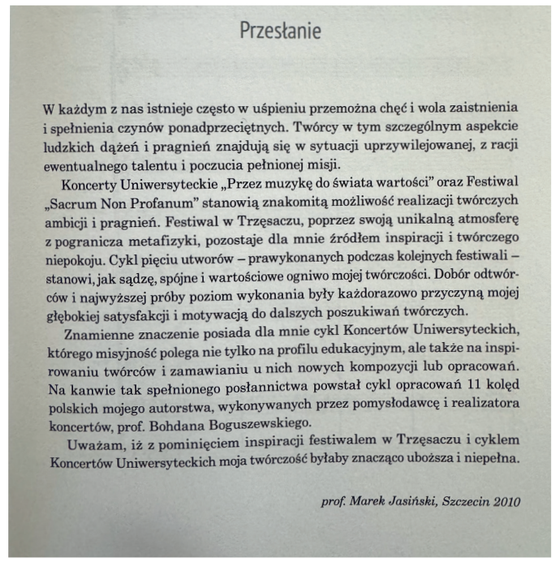

Przesłanie

W każdym z nas istnieje często w uśpieniu przemożna chęć i wola zaistnienia i spełnienia czynów ponadprzeciętnych. Twórcy w tym szczególnym aspekcie ludzkich dążeń i pragnień znajdują się w sytuacji uprzywilejowanej, z racji ewentualnego talentu i poczucia pełnionej misji.

Koncerty Uniwersyteckie „Przez muzykę do świata wartości" oraz Festiwal „Sacrum Non Profanum" stanowią znakomitą możliwość realizacji twórczych ambicji i pragnień. Festiwal w Trzęsaczu, poprzez swoją unikalną atmosferę z pogranicza metafizyki, pozostaje dla mnie źródłem inspiracji i twórczego niepokoju. Cykl pięciu utworów – prawykonanych podczas kolejnych festiwali – stanowi, jak sądzę, spójne i wartościowe ogniwo mojej twórczości. Dobór odtwórców i najwyższej próby poziom wykonania były każdorazowo przyczyną mojej głębokiej satysfakcji i motywacją do dalszych poszukiwań twórczych.

Znamienne znaczenie posiada dla mnie cykl Koncertów Uniwersyteckich, którego misyjność polega nie tylko na profilu edukacyjnym, ale także na inspirowaniu twórców i zamawianiu u nich nowych kompozycji lub opracowań. Na kanwie tak spełnionego posłannictwa powstał cykl opracowań 11 kolęd polskich mojego autorstwa, wykonywanych przez pomysłodawcę i realizatora koncertów, prof. Bohdana Boguszewskiego.

Uważam, iż z pominięciem inspiracji festiwalem w Trzęsaczu i cyklem Koncertów Uniwersyteckich moja twórczość byłaby znacząco uboższa i niepełna.

prof. Marek Jasiński, Szczecin 2010





I zdanie drugie...

Marek Jasiński tworzył z Mikołajem Szczęsnym i Bohdanem Boguszewskim potrójną jedność. Tak. To nie jest ani błąd logiczny ani figura stylistyczna. Każdy z tych twórców i indywidualności, pozostając sobą, jednoczył się z pozostałymi w magię zhomogenizowaną perfekcyjnie.

Zaczęli organizować Festiwal Sacrum Non Profanum. Gdy dwaj pierwsi odeszli, dzieło kontynuował profesor Bohdan Boguszewski. We trójkę, już w relacji Między-Światami wytypowali postać Ignacego Jana Paderewskiego, by ten wypełnił miejsce nieobecnych i zobowiązali swojego przyjaciela. Tego wspierali w nagraniu Symfonii 'Polonia' w wersji jedynej, nigdy od czasów jej powstania nie prezentowanej, przy wykorzystaniu instrumentarium określonego przez Kompozytora.

Znalezienie prawdziwych sarusofonów, sto lat po prawykonaniu symfonii – nikt mi tego nie wmówi – nie byłoby możliwe bez pomocy i ingerencji Siły Wyższej, tu, reprezentowanej przez Marka Jasińskiego i Mikołaja Szczęsnego. **Proszę państwa, ja naprawdę wiem, co piszę! Nigdy nie posiłkuję się niesprawdzonymi informacjami.**

Z powyższych przesłanek wywodzę wniosek, który chciałbym uznać za formę zobowiązania obu - szczecińskiego i stargardzkiego - środowisk twórczych, by z pamięci i daru muzyki Marka Jasińskiego uczynić muzyczny wyróżnik nasz, pomorski.

Stargardzki Festiwal – jest kwintesencją tych działań, ale nam potrzebna jest praca „u podstaw". Hasło. Ha! Mamy takie nawet dwa: Sacrum Non Profanum i stargardzki Soni Spatium! Istne kopalnie muzycznych diamentów. Mamy też prof. Bohdana Boguszewskiego!

Twórczość Marka Jasińskiego znów podąża za Duchem, który powrócił do katedr. Stało się to w chwili, gdy Olgierd Geblewicz, lansujący się z imienia i nazwiska, a nie - jak definiują zasadę patronatu przepisy - jako urząd - przez wiele lat jako patron honorowy festiwalu Sacrum Non Profanum – a pewnie niemający zielonego pojęcia, czym te dwadzieścia lat festiwalu było dla regionu i Polski – **skasował go, nie zadbał o kontynuację.** Życzę, aby ten Duch otulił marszałka ręką swojej chłodnej łaski, chroniąc w/w od muzycznego potępienia wiecznego. By się ów zreflektował i do Kanossy poszedł (nie, nie, nie ma mowy o żadnym rowerze!) i festiwal nam zwrócił.

Koncert

Na scenie Opery na Zamku odbył się w lutym 2025 rocznicowy koncert poświęcony profesorowi Markowi Jasińskiemu.

Nie było na nim NIKOGO z ludzi, jak mawia marszałek – **ponoszących odpowiedzialność za instytucje kultury.**

Koncert traktuję wyłącznie jako wydarzenie okazjonalne, nie muzyczne. Na takie – czekamy wszyscy, bez oglądania się na rocznice czy preteksty.

Muzyka Marka Jasińskiego, Ignacego Jana Paderewskiego, pozostałych szczecińskich kompozytorów musi wejść do stałego repertuaru tutejszych sal koncertowych! Czyli – jednej. Chyba, że ktoś wreszcie się zlituje, wysłucha moich postulatów i Filharmonię sprzeda za jeden grosz lub zburzy, by na jej miejscu postawić prawdziwą salę koncertową, a nie marketingowy budynek w wesoło miasteczkowym anturażu.

Niemal równocześnie z urodzinowym koncertem, w Książnicy Pomorskiej odbyła się promocja dwóch wydawnictw zawierających partytury kompozycji Marka Jasińskiego.

Oto pomnik na miarę czasu i oczekiwań.

Oto – Bogdanie, tak jak chciałbyś – muzyka Twojego przyjaciela ruszy w drogę, będzie powszechnie dostępna dla zespołów śpiewaczych w Polsce i na świecie.

Opracowanie, w oparciu o zbiory nutowe Książnicy oraz szczególnie cenne dla profesora Bohdana Boguszewskiego, Jemu przez Marka Jasińskiego dedykowane kompozycje (zestaw kolęd) – niech staną się dobrym początkiem przywracania znaczenia muzyki naszych, szczecińskich twórców wśród nas.

Podobno… diamenty lubią diamenty.

Tamte, błyskotkowe, wyciągać trzeba z ziemi.

My mamy tutaj inne, w nas rosnące, energię z muzyki czerpiące. Melodyjnej i pełnej treści. Całe jej pokłady zostawił dla nas profesor Marek Jasiński, w swojej muzycznej kopalni.

Ignacy J. Paderwski i Szczecin



W Londynie, 12 kwietnia 2025 roku, z okazji 85 lecia Polskiego Uniwersytetu na Obczyźnie, profesor Bohdan Boguszewski, obok rektora uczelni - prof. dr Włodzimierza Mier-Jędrzejowicza opowiadał o Szczecinie, polskiej muzyce i swoim wielkim projekcie - nagraniu pełnej, z oryginalnym instrumentarium Symfonii Polonia Ignacego Jana Paderewskiego.
Więcej - za miesiąc.

Stargard wykorzystuje pamięć o swoim Profesorze. Odbyła się już czwarta edycja Festiwalu Soni Spanium. To (obok Kamienia Pomorskiego) w tej chwili jedyny i poważny, międzynarodowy festiwal muzyczny na Pomorzu. Szczecin pod tym względem prestiżowych wydarzeń artystycznych jest dziś prowincją.



Marszałek Województwa Zachodniopomorskiego



Olgierd Geblewicz

Szanowni Państwo,

mam wielką przyjemność zaprosić Państwa na X Międzynarodowy Festiwal Muzyczny Sacrum Non Profanum, który zagości w trzech przepięknych miejscowościach Pomorza Zachodniego: Szczecinie, Trzęsaczu i Świnoujściu.

To honor gościć w naszym regionie tak doniosłe wydarzenie muzyczne.

Od trzech lat festiwal odbywa się pod hasłem Muzyka naszych czasów, a organizatorzy nadają mu niezwykły charakter, poświęcając poszczególne edycje polskim, absolutnie wyjątkowych kompozytorów. Wcześniej byli to Henryk Mikołaj Górecki (2012 rok) oraz Krzysztof Penderecki (2013 rok). W tym roku nad festiwalem unosić się będzie duch twórczości kolejnej wybitnej postaci polskiej i światowej muzyki – Wojciecha Kilara. O innowacyjności tego przedsięwzięcia promującego w sposób niezwykle atrakcyjny muzykę poważną najlepiej świadczy fakt, że będzie to pierwszy polski festiwal, podczas którego wykonane zostaną najcenniejsze dzieła zmarłego niedawno Mistrza. Na Pomorzu Zachodnim zawsze była, jest i będzie przestrzeń dla kultury wysokiej, w tym muzyki poważnej. Festiwal Sacrum Non Profanum jest tego znakomitym przykładem – z roku na rok gromadząc coraz większą publiczność.

Jest mi niezwykle miło powitać na Pomorzu Zachodnim wszystkich, którzy przybyli do nas specjalnie na festiwal – mam nadzieję, że znajdą Państwo u nas tyle piękna, by wracać tu częściej.

Życzę perfekcyjnych występów Artystom, którzy wystąpią podczas Festiwalu Sacrum Non Profanum. A Państwu – miłośnikom muzyki poważnej – pełnego emocji obcowania z wyjątkowymi dźwiękami.

Z poważaniem

Olgierd Geblewicz

Marszałek Województwa Zachodniopomorskiego

Powyżej:

Każdego roku - podobne, przepiękne i puste słowa, zawstydzały ucestników festiwalu, bo ich autor nigdy na koncercie się nie pojawił. .
W tym roku festiwal się nie odbędzie. Czy pan Marszałek wygłosi równie płomienny tekst, w którym opowie z jakimi uczuciami odmówił kontynuacji najważniejszego, miedzynarodowego festiwalu muzycznego, jedynego, jaki ma (miał) Szczecin?

Patrz i…. ~~milcz~~ / krzycz

W pierwszym odruchu – ręka zapisała – 80 lat „polskiego” Szczecina. Bo to prawda.

Kilka dni temu w wypowiedzi dla jednego z portali, prezydent Piotr Krzystek mówił o milionach, jakie miasto, wspierane funduszami europejskimi przeznacza na rewitalizację obiektów na Łasztowni.

Na Boga! - wołał - dajcie nam możliwość, za rzetelną wycenę, wykupić od prywatnej spółki kolejny budynek. Bo prezydent chce upiększać miasto, Cielętnik - sprezentować jazzmanom, na salę prób. Taki obiekt im się należy - argumentuje.

Co i komu się jeszcze należy? Jak długa i zawiła jest droga do prezydenkiego ucha? Jak krótki wzrok ma miasto, że tylko połowę siebie widzi? Wg Wikipedii - powierzchnia miasta to 300 km kw. Niemal dokładnie połowę stanowi Prawobrzeże. **Kulturalna pustynia.**

Pan prezydent potwierdził także upadek pomysłu budowy Teatru Współczesnego na zapleczu Wałów Chrobrego.

Hosanna!

Ale nie zaparzeczył, że kolejne lokalizacje są planowane na lewobrzeżu. Ale gdzie? - dopytują Szczecinianie podejrzewając nową ekstrawagancję włodarzy. Po szczęśliwie nieudanym wiście marszalka, teraz serwować będzie prezydent? Gdzieś w okolicach ulicy Krasińskiego?

Oczywiście, nikt nie zająknie się nawet - JAKI TEATR?

Nie ma wizji i zdefiniowanej potrzeby. Teatr czy stodoła - nieważne. Byle kielnie poszły w ruch, a kasa na konta.

Tak rozpoczyna się 81 rok polskiego Szczecina.

Małgorzata Wrzosek – od wielu lat powierniczka stettinskich i szczecińskich losów, dokumentuje obraz miasta.

Zestawia ujęcia, porównuje stan materii miejskiej. Jak kardiolog - wykresy EKG. Diagnozuje upadek pięknie wymarzonego Stettina/Szczecina.

Bo to miasto jest piękne. I rozwija się jak… jak zaraza.

Jego Duch już dawno tu nie mieszka.

Stąd – jego Centrum już nikogo „nie straszy”. Nowe latarnie, prostopadłe do kierunku jazdy namalowane boksy parkingowe i ogródki knajpiane na całej szerokości chodnika przykrywają to, co dzieje się w ropiejących, trędowatych kamienicach.

Władze pławią się w krokusach i kolorowych lampkach, narkotyzując się refleksami tychże w czarnej jak smoła wodzie Odry. W Centrum nie bywają. A przynajmniej drzwi do jego podwórek – nie otwierają. Już nawet na fasady wiekowych kamienic nie spoglądają. Te, ledwie przed stu laty były na miarę bankowych gwarancji – przykładem wysokiej kultury, wysmakowanej estetyki i zwykłej, cholernej potrzeby obcowania z pięknem.

A przynajmniej drzwi do jego podwórek – nie otwierają. Już nawet na fasady wiekowych kamienic nie spoglądają. Te, ledwie przed stu laty były na miarę bankowych gwarancji – przykładem wysokiej kultury, wysmakowanej estetyki i zwykłej, cholernej potrzeby obcowania z pięknem.

To wszystko straciliśmy.

Pakujemy miliony w chybione upiększanie miasta, w obiekty, na których nawet mewa nie przysiądzie dla oddechu, bo to ptak mądry i na byle czym nie przycupnie.

Nie będę kontynuował tej słownej flegmy. To refreny już zgrane, brzmią jak stara szelakowa i poniemiecka płyta.

Niech mówią zdjęcia. Wybrane z kilkuset ujęć z zaledwie pięciu, sześciu zakamarków miasta? Nie! Wszystkie - z centralnych, reprezentacyjnych, słynnych, na wzór paryski budowanych ulic.

Pokaż mi, jak mieszkasz, a powiem ci kim jesteś.

Proszę – patrz i mów.

Gratulacje z okazji 80 lat polskiego Szczecina!










ul. Bohaterów Getta Warszawskiego
18
oficyna
Centrum


Stoliki kawowe
od 219,-
Krzesła


Beliani
alkonowe
Sofy
od 719,-
TEREN BUDOWY
WSTĘP
ZABRONIONY
POZYTYWNY
MIT
1989
BASS RESONANCE
9 maja 2025
Bilety na 1989.SZCZECIN.PL
YOUNG AND CRAFTS
METALLICA AC/DC
DEEP PURPLE
QUEEN SCORPIONS
LED ZEPPELIN BON JOVI
OZZY OSBOURNE
EUROPE GUNS N' ROSES
ROCK
SYMPHO SHOW
FLORA PUGS


YOUNG AND CRAFTS
SZCZECIN
TARGI RZEMIOSŁA
EVENT MODOWY
12.04.2025
12:00
Hala Odra
bulwar Maurycego
Beniowskiego 5
KONKRET
KONKRET




POZYTYWNY MIT
JAKIŚ HIT, CO NAS NIE PODZIELI, LECZ POŁĄCZY!
Scenariusz
Marcin Napiórkowski
Katarzyna Szyngiera
Mirosław Wlekły
1989
KONCERT PREMIEROWY
GŁOWA PMM "MIXTAPE MODE VOLUME I"
28.03.2025
LOKALNY RAP W LOKALNEJ CZ.2
SUPPORT:
HYZIU X DJ CROX
+GOŚCIE
Teatr w Krakowie
GDAŃSKI TEATR SZEKSPIROWSKI
POZYTYWNY MIT
JAKIŚ HIT, CO NAS NIE PODZIELI, LECZ POŁĄCZY!
Scenariusz
Marcin Napiórkowski
Katarzyna Szyngiera
Mirosław Wlekły
1989









80 lat polskiego Szczecina

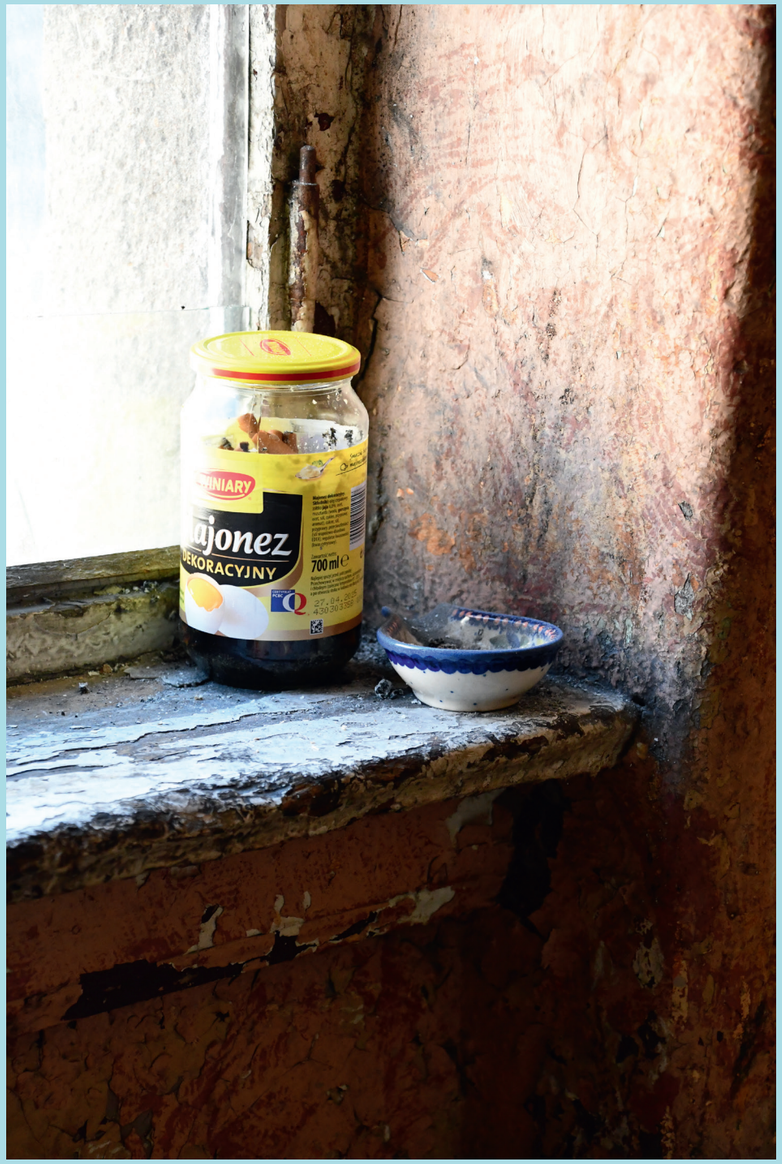

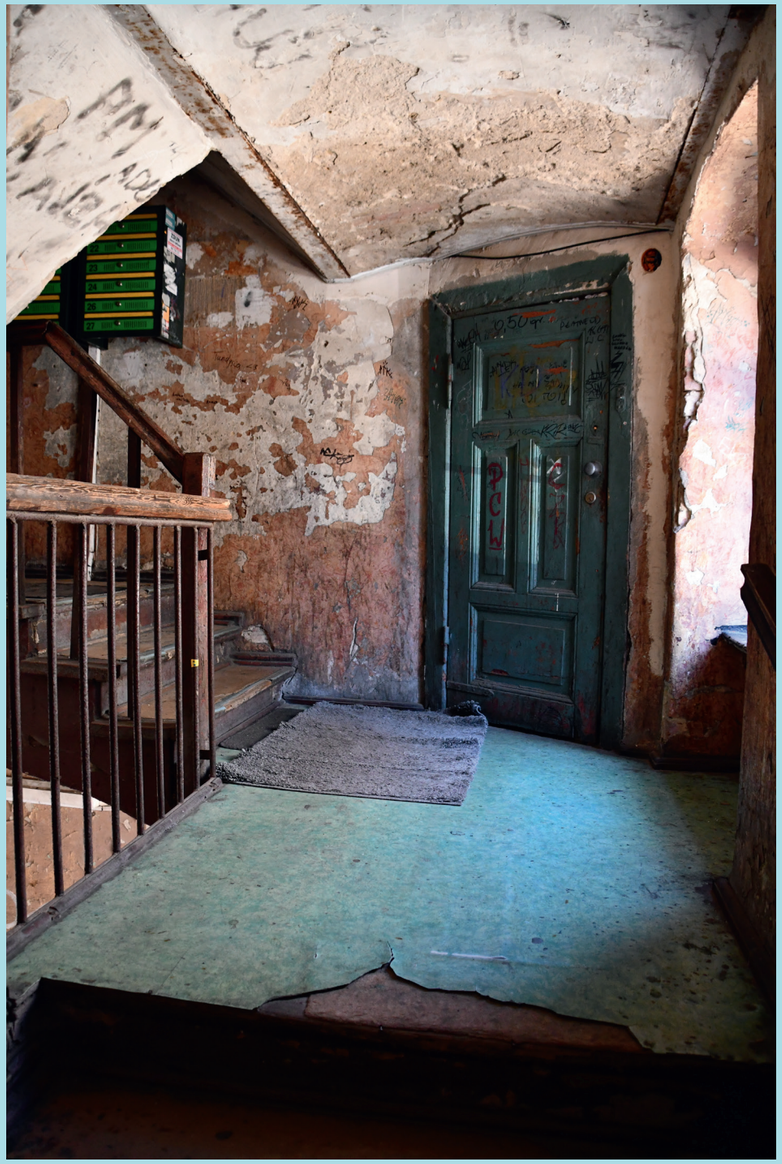



Wszystkie fotografie pochodzą z dokumentacji pani Małgorzaty Wrzosek. Zostały wykonane w połowie kwietnia 2025 roku. Są reprezentatywnym przeglądem stanu kilku zaledwie miejsc w ścisłym Centrum i w Śródmieściu naszego miasta. Na niektórych ujęciach widać siermiężne ślady działalności renowacyjnej. Na innych - czas stoi w miejscu.

Tu już nie idzie o konserwację materii zabytkowej. Tu mówimy o elementarnych, cywilizacyjnych pracach, o higienie i gospodarskiej dbałości o dobro nas wszystkich.

Jak wierzyć, jak ufać, jak popierać inne pomysły, nakłady na Łasztownię, nowe teatry, gdy za plecami mamy taki świat. W tych domach mieszkają ludzie. Rosną dzieci. Po latach będą wspominać ściany, schody, zapach i… będą przekonanie, że tak musi być?

Uruchamiamy profil na Facebooku. Obok wszystkich krokusów, żonkili, lampek bożonarodzeniowych na mostach i neonów na dźwigach - chcemy pokazywać także taki, nie mniej prawdziwy Szczecin. Kiedy pierwszy i ostatni raz byli w tych miejscach prezydenci i radni, marszałek, wojewoda. O konserwatorach zabytków - nie wspominam.

Gdzie Państwo są? Kto zwolnił was z odpowiedzialności za ten stan rzeczy?

https://www.facebook.com/groups/szczecinprawdziwy


MONTE CASSINO
2





















80 lat polskiego Szczecina

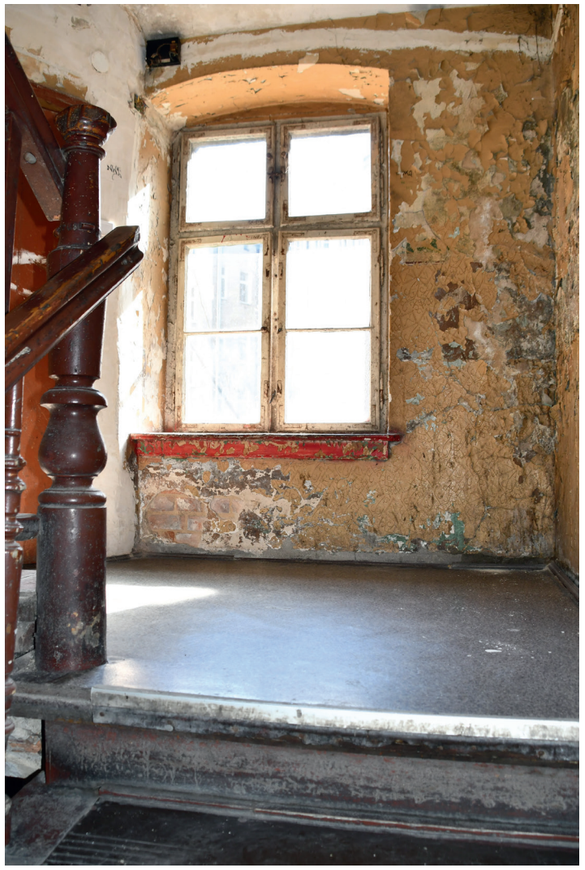


















LOKAL VANDAL
MERAS
WESTSIDE
POKER
LINK
USZA




PIACH
I SÓL 60


REMONDIS






WYN
lub
SPRZ
AJME
EDAM
600
m2
WYTWÓRNIA
PIEROŻATEK


d


Fruvita

Malarz zachłanny – cz. 02

Są rzeczy niewyobrażalnie wyobrażalne i wyobrażalne niewyobrażalnie.

Gra słów? Niekoniecznie. Bardziej żal, że człowiek dokonał tak wiele zła, tak nieprawdopodobnie dużo, wprost w sposób nieobejmowalny przez wszystkie znane nam miary i rozmiary, czyniąc siebie największym nieszczęściem dla siebie samego.

Nawet jeśli na pierwszy rzut oka zrobimy coś dobrego – za chwilę, po latach, kiedyś dostrzeżemy w tym działaniu strony przede wszystkim… niedobre.

To trochę tak, jak gra w szachy… Ile ruchów jesteś w stanie przewidzieć? Pięć, siedem? Uwzględniając wszystkie możliwe reakcje partnera na każdy z tych ruchów? Ale dziesiątego czy setnego stopnia rozwoju rozpoczętej przez siebie pracy człowiek już nie umie sobie wyobrazić. Jej skutków.

Dr Zygmunt Niedźwiedź, niestety… nie leczy duszy. Swoją gościnnością i pasją kolekcjonera dzieł sztuki – wręcz ją… poraża. Nie stosuje przy tym żadnych wyszukanych metod, poza serdecznym zaproszeniem i filiżanką kawy.

- No, i tak to wygląda… – mówi z wyraźną satysfakcją, gdy siadamy przy barowym stoliku w kuchni doktora. Ściana po przeciwnej stronie – to dekkertowska marynistyka.

Zygmunt Niedźwiedź ceni tego malarza, z pejzażystów stettinskich – chyba najważniejszego i najlepszego.

Bo Eugen Dekkert był malarzem zafascynowanym statkami i łodziami. Ich rufy, dzioby, takielunek, burty, kominy, trapy, łańcuchy kotwiczne, cały ten morski rynsztunek chwytał zdecydowanymi, głębokimi pociągnięciami pędzla, otłuszczonego farbą w tonacji z rdzą w rodowodzie, ale połyskującą refleksami, jakie tylko dostrzec można w rybich łuskach.

I te konstrukcje, tych – jak powiedziałby Conrad Korzeniowski – „powierników naszych marzeń" – ukazuje na tle charakterystycznych budowli morskiego centrum świata – Stettina.

Próbuję wyobrazić sobie tamten Stettin, gdy dziś wychodzę z muzeum przy Wałach Chrobrego. Patrzę w tych samych kierunkach, w jakich podziwiał Odrę Eugen Dekkert. Ale u niego oszałamia nas dynamika, praca, ruch, nieustanne metamorfozy, balet holowników, szalup, barek, parowych drobnicowców, kutrów rybackich… A dziś? Dziś widzę jakby…. fototapetę. Powierzchnia Odry jak trawnik z napisem „Nie deptać!".

W 1945 roku i latach kolejnych było podobnie. Ale później Odra znów ożyła. Jak iskra znad ogniska zachwyciła piruetami jednostek pływajacych, by dziś zasnąć snem wiecznym. Kiedyś, zimą wodę skuwał lód. Dziś jest ona gęsta od zanieczyszczeń.

Więc jak w tym numerze jubileuszowym naszego pisma wrócić do wyobrażenia sobie rzeczy niewyobrażalnych?

Nie znalazłem lepszego sposobu nad… malarstwo i literaturę. Przede wszystkim dobry reportaż. A takie pisał Franciszek Gil. Nie statki i dźwigi, nie bystre i ciężarne nocnym połowem łodzie rybackie, a entuzjazm ludzi, nowych osadników stanowiły materię, strawę dla ducha i tworzywo dla artysty.

Lecz… znów na chwilę jedynie. Dziś nikogo tamte dekkertowskie spojrzenia nie fascynują. Bo nie mają czym. Woda w milczeniu… mija to miasto.

Na zaplanowanej na lato rocznicowej wystawie prac Eugena Dekkerta ze zbiorów szczecińskich kolekcjonerów znajdą się także obrazy z kolekcji dra Zygmunta Niedźwiedzia.



Powojnie

Czym jest – powojnie?

Leśmian wywiódłby z tego słowa (a może to on je wymyślił?) diagnozę… hospicyjną? A Bruno Schulz? O, ten nawet by takiej „natury” nie zauważył. Przede wszystkim w sierpniu, gdy wszędzie czuł zapach… cynamonu. On przecież był cały oplątany powojnością jakąś.

Powój, po wojnie, wić się, rozwijać, odwijać, zwijać, zawijać, wywijać. Tak. To mogłoby być określenie na kondycję i klimat powojennego malarstwa szczecińskiego.

Bo co mieliby tu artyście utrwalać na płótnach? Karawanowe czy karawaniarskie ścieżki pośród gruzów okrywających jezdnie, niegdyś szerokie chodniki, skwery, parki, dumną Moltkestrasse? A do portu wstęp był przecież запрещенный, закрытый, незащищенный. Zamknięty.

Wchodzę w najgłębszą pamięć.

Ojciec zawsze ustawiał nas do zdjęcia „żeby było ładne tło”, albo „bliżej, bliżej, żeby nie było widać tych… gruzów”.

Mozaika i neon przy kinie Kosmos… Mój Boże… Cóż to za atrakcja! W jakich emocjach jeździliśmy ósemką, późnym wieczorem, aby wpatrywać się w te „esy-floresy”, w kosmos barw, kolorów, nieoczywistości. Tak… W tej chwili, po tylu latach teraz właśnie doznałem uświadomienia (cóż za słowo), że te neonowe refleksy pochodziły… z innego świata. Wpatrywaliśmy się w nie, jakby przez dziurkę od klucza, przepychając się głowami…

- Puść, przesuń się, daj popatrzeć. Mamo, a on mnie odpycha…

O! A co to? Woda? Skąd? Tutaj, na klawiaturze laptopa? Dziwne…

Wczesny poranek. 21 kwietnia 2025… A gdzie to słońce? Ha, pewnie dosypia po wczorajszym, zachwycającym dniu nad morzem. Cisza. Ptactwo rozporządza, dzieli, oznacza swoje rewiry. Liście na drzewach są zbyt małe jeszcze, by zapewnić mu intymność. Godzić zaczną się pewnie za chwilę. Nie będę im przeszkadzał. Pójdę na spacer.

Może przez te zapamiętane, szczecińskie wiosny powojenne?

W Willi Lentza – od 15 maja 2025 – wystawa powojennych prac szczecińskich malarzy z kolekcji i zbiorów Klubu Kolekcjonerów i Miłośników Sztuki.

Mam wrażenie, że pierwsza, po wernisażach i prezentacjach organizowanych tu prawie osiemdziesiąt lat temu.

W tle - fragment obrazu Tadeusza Eysmonta „Za miastem”

List drugi

Tekst i zdjęcia - ***Małgorzata Wrzosek***

Witam Pana,

Hm… Znów mnie Pan nie zauważył? Nie sądzę, abym przejechała obok Pana za szybko. Nie chcę być nieuprzejma, ale to Pan nie do końca był pewny, czy chce mnie zauważyć…

Ile razy wstawałam o trzeciej nad ranem, wsiadałam na rower i pędziłam, aby nad Odrą powitać nowy dzień? Nie pamiętam. Za rzadko…

Tak proszę Pana, za rzadko zatrzymujemy się, aby docenić te magiczne chwile, które życie nam ofiarowuje.

A ja… Uwielbiam patrzeć na tę wschodzącą Nadzieję. Ulegam jej ciepłemu dotykowi, rozjaśniającemu moją twarz, nasycającą mnie barwami, których kolejne odcienie eksplodują z każdą sekundą na niebie. Są jak symfonia dla moich zmysłów. Odbieram całą ich energię.

Dzięki niej… żyję.

Nazajutrz…ruszam w inne miejsce nad rzeką. Jadę, pędzę, nie dam się prześcignąć… Uciekam? Tak Pan sądzi? Chcę zdążyć, zjawić się na czas, uchwycić całą sobą ten niezwykły dla mnie moment.

Wschód słońca.

Przywożę śniadanie. Słońce zawsze zagląda w moje zawiniątka. Łasuch z niego, zwykły… koneser. Dzielimy się pierwszym łykiem kawy.

Wokół zanoszą się rozplotkowane tysiące nadodrzańskich ptaków, które po przebudzeniu, wzbiły się z wrzaskiem nad koryto rzeki. Co za spektakl!

„To jakieś szaleństwo. Masz dzień wolny od pracy, odpocznij. Przecież codziennie wstajesz o 5 rano, ciężko pracujesz, wyśpij się!” – mówią do mnie.

Nie zwracam na nich uwagi. Od kilkunastu już lat wyjeżdżam na te moje świtóweczki. Dla marynarzy to pora najgorszej wachty, dla mnie – początek życia.

Jadę…





26. 04. 1945
80 lat Szczecina

Helena Raszka

Mówisz do mnie

Mówisz do mnie
– moja –
a ja jestem niczyja –
jak wiosna,
co skowronkom i przebiśniegom sprzyja,
jak gwiazda,
która wieczorem we mgle gęstej moknie,
i jak smutny cień brzozy
porzucony na oknie.
Znajdziesz moje odbicie
we wszystkich wodach świata,
lecz gdy zanurzysz dłonie,
ażeby je schwytać,
przecieknie ci przez palce
poświatą księżyca.

TVSiódemka
Internetowy miesięcznik niesformatowany
Redakcja: Marek Koszur, Małgorzata Wrzosek
Współpraca: Zenon Szostak, „Zeszyty Żeglarskie"
Skład i opracowanie graficzne: Malgorzata Wowczak
Wydawca: MK NET - TV Siódemka,
Adres: Pochyła 13/5, 71-745 Szczecin,
Tel. 785 00 2222, 7@tvsiodemka.pl